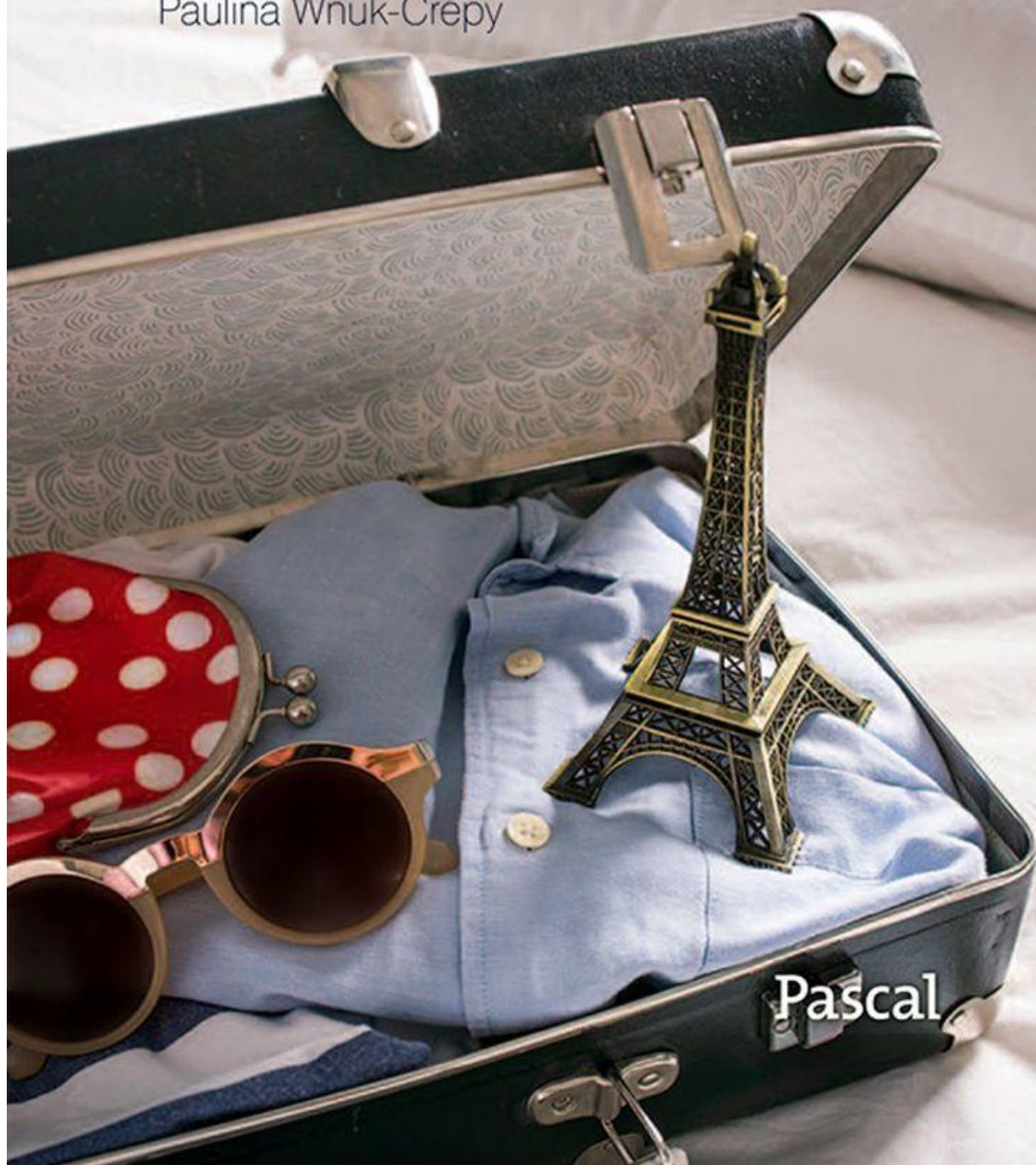


mój Paryż *moja miłość*

Paulina Wnuk-Crépy



Pascal

mój Paryż
moja miłość

Paulina Wnuk-Crépy

Pascal

*Dla moich córeczek: Liliany i Ophelii, które powoli stają się
polskimi paryżankami*



Wstęp

Paryż pokochałam od pierwszego wejrzenia, mimo że on nie odwzajemniał mojego uczucia. Najpierw szydził ze mnie, młodej, naiwnej i niedoświadczonej łodzianki, która przyjechała z pustym portfelem i głową pełną marzeń. Później traktował mnie bezlitośnie, skazując na łaskę i niełaskę nie zawsze miłych i uprzejmych paryżan. Ostatecznie jednak mnie zaakceptował i wziął pod swoje skrzydła. Dziś jak stare dobre małżeństwo czasami się kłócimy, często się nie zgadzamy i wytykamy sobie słabe strony, jednak zawsze potrafimy dojść do porozumienia. Bo Paryż bywa zmienny jak kobieta, raz zachwyca, innym razem rozczarowuje. Czasami urzeka, a kiedy indziej zawodzi. Skrywa wiele sekretów, ale dzieli się nimi tylko z wybranymi. Choć ma wiele wad, potrafi oczarować i zawrócić w głowie. Brudne i tłoczne, lecz także piękne, tajemnicze i magiczne – takie jest miasto, w którym mieszkam już od kilkunastu lat. Bo Paryż, który kocham i o którym wam opowiem, składa się z przeciwieństw i właśnie dlatego jest wyjątkowy.



Paryżanie

Wysiadając na lotnisku Charles'a de Gaulle'a z komfortowego i prawie pustego samolotu Air France, po raz pierwszy stanęłam na francuskiej ziemi. Od Paryża dzieliło mnie już tylko kilka kilometrów. Miałam szesnaście lat, głowę pełną marzeń, serce wypełnione nadzieją, wrażliwą duszę, uśmiech na twarzy i... najgorszy styl, jaki można sobie wyobrazić. W dniu przylotu do światowej stolicy mody byłam ubrana w jeansowe ogrodniczki, pomarańczowy podkoszulek i szare vansy. Wyróżniałam się na tle otaczających mnie ludzi, bynajmniej nie pozytywnie.

Przez kolejne tygodnie przekonywałam się, że nie tylko ubiór odróżnia mnie od paryżan. Byłam ich przeciwieństwem pod prawie każdym względem. Po wielu latach pobytu w tym wyjątkowym mieście nauczyłam się tutejszych reguł gry. Po dokładnej analizie sposobu życia paryżan rozumiałam ich, zaakceptowałam, a ostatecznie sama stałam się taka jak oni. W Paryżu, inaczej niż w Londynie czy Nowym Jorku, nowo przybyli nie narzucają mieszkańcom swoich przyzwyczajzeń. Paryżanie od lat kroczą własną ścieżką, a reszta świata musi się do nich dostosować. Dzięki temu każdy może się stać paryżaninem. Wystarczy tylko chcieć.

A jacy naprawdę są mieszkańcy miasta nad Sekwaną? Przyjrzyjmy się im z bliska.

Kolorowo mi

Podczas pobytu w Paryżu możecie być bardzo zaskoczeni tym, co zobaczycie. Mieszkańcy stolicy Francji przypominają raczej ludzi z reklamy włoskiego producenta odzieży United Colors of Benetton niż postaci z obrazów Pissarra czy Sisleya.

Paryżanie, podobnie jak mieszkańcy całej Francji, to nie tylko potomkowie Asteriksa i Obeliksa. To również dzieci, wnuki i prawnuki imigrantów przybyłych do Francji w ciągu ostatnich dziesięcioleci za sprawą polityki i bogatej historii francuskiego kolonializmu. Część z nich doskonale się zaadaptowała i zaakceptowała tutejsze kulturę,

język i obyczaje. Dziś już tylko obco brzmiące nazwisko, ewentualnie znajomość ojczystej mowy rodziców czy dziadków świadczą o ich niefrancuskich korzeniach. Géraldine Nakache, popularna aktorka, Żydówka algierskiego pochodzenia, paryżanka do szpiku kości, czy Rama Yade, prawicowa polityk urodzona w Senegal, mogą stanowić przykład udanej asymilacji.

Niestety, nie wszystkim imigrantom się to udało. Część z nich wolała pozostać w swoich enklawach. Niektórzy, mimo że mieszkają pod francuskim niebem od wielu lat i mają francuskie dokumenty, nie są w stanie porozumieć się w języku Moliera. Inni po prostu nie chcą się dostosować. Dlatego spotkanie z kelnerem pracującym w chińskiej restauracji, który posługuje się tylko dialektem kantońskim, krągłą Afrykanką w barwnym turbanie i szerokiej sukni w kolorowe kwiaty czy Arabką ukrytą za nikabem nie należy tutaj do rzadkości. Z reguły ci mieszkańcy Paryża zajmują całe dzielnice metropolii lub jej obrzeża, tworząc miasta w mieście i żyjąc w zgodzie ze zwyczajami swoich przodków, a ignorując zasady obowiązujące we współczesnej Francji. Najmniejszy sprzeciw rodowitych Francuzów wobec takiego stanu rzeczy poprawna (do przesady!) lewica odbiera jako atak na mniejszości etniczne i religijne.

Jeszcze kilka wieków temu Francuzi byli wyjątkowo dumnym i walecznym narodem. Kochali swój kraj i afiszowali się ze swoim pochodzeniem. Jednak prawie trzy wieki skrajnie lewicowego prania mózgu niemal całkowicie wyrugowały takie postawy. Dziś manifestującym swój patriotyzm Francuzom zarzuca się poglądy rasistowskie oraz brak tolerancji. Wywieszanie flagi narodowej na fasadzie domu czy oknie balkonowym jest dopuszczalne tylko podczas rozgrywek piłkarskich lub innych ważnych wydarzeń sportowych. Na co dzień Francuzi jak strusie chowają głowy w piasek i pozwalają narzucać sobie reguły gry.

Jednak w stolicy kraju, będącej kwintesencją współczesnej wielorasowej i wieloetnicznej Francji, znajdziemy grono ludzi, którzy są prawdziwymi paryżanami bez względu na swe korzenie. Inès de la Fressange, słynna paryska modelka, jest córką Argentynki. A Jean-Charles de Castelbajac, jeden z największych francuskich

projektantów mody, urodził się w Casablance. Dlatego podkreślam, że paryżaninem nie trzeba się urodzić. Paryżaninem trzeba się stać.

Il n'y a pas un Paris, mais des Paris. De même, le parisien type, n'existe pas, nie ma jednego Paryża, ale jest ich kilka, tak samo, jak nie istnieje jeden typ paryżanina, powiedziała kiedyś Virginie Coupérie-Eiffel, wnuczka sławnego konstruktora. I myślę, że miała rację, gdyż mieszkańcy Paryża są różni, tak jak różne oblicza ma ich ukochane miasto.

Sami swoi

Arogancy, bezczelni i opryskliwi – tacy wydają się paryżanie na pierwszy rzut oka. Uważają siebie i swoje miasto za pępek świata. Doskonale oddaje to typowe paryskie powiedzenie: „Paryż jest jeden, a reszta to prowincja”. Cóż, po kilkunastu latach mieszkania w stolicy przekonałam się, że to prawda. Paryż nie jest miniaturą Francji, a paryżanie nie są typowymi Francuzami. Prawdziwi paryżanie żyją według własnych zasad, często niezrozumiałych dla turystów, mieszkańców dalekich przedmieść i reszty obywateli ich pięknego państwa. Mają inny styl bycia i ubierania się. Ale zacznijmy od początku.

Mój pierwszy kontakt z mieszkańcami Paryża był, delikatnie mówiąc, mało zachęcający. Gdy zgubiłam się na ulicy, niechętnie wskazywali mi drogę. Gdy pytałam o coś po angielsku, często odwracali głowy i uciekali gdzie pieprz rośnie. Także przyjaciele mojego męża Martina, wówczas narzeczonego, początkowo byli wobec mnie uprzejmi, ale bardzo zdystansowani.

Paryżanie słyną ze swojego chłodnego podejścia do obcych. Zresztą znani są nie tylko z tego. Według jednego z sondaży przeprowadzonych całkiem niedawno przez gazetę „Le Figaro” paryżanie uważają się za osoby eleganckie, inteligentne i błyskotliwe. Pozostali mieszkańcy kraju zgadzają się z tym, lecz równocześnie twierdzą, że paryżanie są także egzaltowani, nieuprzejmi i wyjątkowo zarozumiali. Faktycznie, mieszkańcy stolicy mogą się wydawać pretensjonalni i nadęci, jednak gdy pozna się ich bliżej, często okazuje

się, że to niezwykle sympatyczni i życzliwi ludzie. A ich wady, o których się tyle mówi, wynikają z tego, że żyją w zupełnie innym świecie.

W drodze

Paryżanie, jak większość mieszkańców wielkich miast, są wiecznie zabiegani i notorycznie się spóźniają, co według tutejszych standardów nie stanowi większego problemu. Jednak należy ich usprawiedliwić, gdyż długie stanie w ulicznym korku, jazda metrem, w którym pasażerowie są ściśnięci jak sardynki w puszcze, a w końcu ciągły zgiełk i zamęt u każdego wywołałyby lekkie podenerwowanie. W dodatku w Paryżu często wybuchają strajki, także pracowników komunikacji, a gdy ani kolejka podziemna, ani nawet autobusy nie kursują, mieszkańcy stolicy nie są w stanie poruszać się po mieście. Rozwiązaniem mogłyby być rowery miejskie, ale ich liczba jest ograniczona i zwykle okazuje się, że wszystkie już dawno zostały wypożyczone.

Tak źle i tak niedobrze

Paryżanie są bardzo marudni. Niezwykle często powodem ich ubolewania jest pogoda: narzekają na upał latem, na chłód zimą, na padający deszcz, na wiejący wiatr i tak dalej. Drugim tematem, nad którym mogą się rozwodzić godzinami, jest działalność partii politycznych – stale je krytykują. Czy rządzi lewica, czy prawica, zawsze znajdą coś, co im się nie podoba.

Mała czarna

Paryżanie twierdzą, że najlepiej znają się na modzie, bo przecież u nich odbywa się *fashion week*. Mimo że sami ubierają się mało oryginalnie i tak naprawdę wszyscy są do siebie podobni, uważają się za wyjątkowo stylowych. Robią zakupy w tych samych baaardzo paryskich butikach oferujących dość zachowawcze stroje pozbawione choćby

grama szaleństwa. Bez względu na porę roku czy dnia czerń jest ich faworytem. Zamiłowanie paryżan do tej barwy ma kilka przyczyn. Po pierwsze, o czym wszyscy wiedzą, czarny wyszczupla. Po drugie, to kolor bardzo elegancki i nadaje się na wszystkie okazje, no może z wyjątkiem ślubu czy chrzcina. Po trzecie, bo tak jest po prostu łatwiej. Wybierając czerń, trudno popełnić gafę stylistyczną. Czarny jest bezpieczny. Czasami jednak paryżanie szaleją. Wiosną i latem pozwalają sobie na włożenie czegoś białego, ewentualnie beżowego, a jesienią i zimą szarego lub brązowego. Krzykliwe barwy dobrze wyglądają na modelkach ze zdjęć w kolorowych czasopismach, ale nie na stonowanych paryżanach.

Koneserzy

Paryżanie zwykle myślą, że doskonale znają się na sztuce, a to dzięki licznym muzeom, galeriom i teatrom, które odwiedzają. Bardzo chętnie wybierają się na wystawy twórców współczesnych, mimo że absolutnie nie są zainteresowani dziełami artystów. Czują się jednak zobowiązani do zobaczenia czegoś, o czym wszyscy mówią. Poza tym sztuka to zawsze świetny temat do rozmowy z innym ambitnym i obeznanym paryżaninem.

Za kółkiem

Paryżanie sądzą, że są świetnymi kierowcami, gdyż nie mają problemów z prowadzeniem samochodu nawet po kilku kieliszkach wina. Aby to udowodnić, jeżdżą, jak się im podoba, bez pasów, z telefonem komórkowym przy uchu, nie respektując ani znaków drogowych, ani świateł ulicznych.

Najlepszy dowód na to, że paryżanin w stolicy jest naprawdę u siebie, to parkowanie. Mnie jakoś nigdy to nie zastanawiało, ale mój tata za każdym razem nie może się nadziwić, jak bardzo bezproblemowi są mieszkańcy stolicy Francji. Parkują, gdzie chcą, także na rondach, skrzyżowaniach i przejściach dla pieszych, a auto stojące tuż pod znakiem oznaczającym zakaz parkowania nikogo już nie dziwi. Jednak

to nie miejsca parkowania, ale metoda ustawiania pojazdu najbardziej zaskoczyła mojego tatę, który stwierdził, że nigdy nie zostawi swojego samochodu na ulicy. Mimo że większość aut ma wielkość pudełka od zapalek, to zawsze brakuje miejsc parkingowych. Dlatego, parkując swój samochód, paryżanin bez najmniejszego zażenowania popchnie pojazdy z przodu i z tyłu, aby samemu mieć więcej miejsca. I absolutnie nikt tu nie robi z tego problemu.

Kurka paryska

Paryżanie, choć na ogół nie są wulgarni, potrafią kląć jak szewc, a francuskie słowo *putain* nabiera w ich ustach zupełnie nowego wydźwięku. *Putain*, będące dokładnym odpowiednikiem najbardziej popularnego polskiego przekleństwa, przez paryżan nie jest uważane ani za zbyt śmiałe, ani ordynarne. Może wyrażać zachwyty, zaskoczenie, niezadowolenie czy rozczarowanie. Stanowi wyjątkowo paryski synonim wielu przymiotników całkowicie akceptowany zarówno w towarzystwie, jak i w pracy. W Paryżu chyba tylko przedszkolaki nie mówią *putain*.

Na zdrowie

Paryżanie oprócz tego, że przeklinają i wcale się tego nie wstydzą, piją również hektolitry wina. Spożywanie alkoholu w porze obiadowej nikogo nie dziwi. Zimą czerwone wino podaje się do cięższych mięsnych potraw. Francuzi uważają, że świetnie rozgrzewa i zapobiega przeziębieniom. Latem, przy pięknej pogodzie, paryżanie chętniej piją białe czy różowe wino do lekkich sałatek konsumowanych w restauracyjnych ogródkach. Co ważne, alkohol musi być wytrawny.

Po lunchu i kilku lampkach wina paryżanie wracają do swoich zajęć. Oczywiście, nie zawsze udaje im się spokojnie zjeść posiłek w porze obiadowej, ponieważ jako ludzie wyjątkowo zabiegani i zapracowani mają coraz mniej czasu na gastronomiczne przyjemności w ciągu dnia. Dlatego często muszą poprzestać na kanapce.

Eksperci

Paryżanie charakteryzują się ogromnym tupetem i chętnie zabierają głos we wszystkich sprawach, nawet takich, na których się nie znają. Uważają jednak, że jako mieszkańcy metropolii mają prawo, a nawet obowiązek wyrazić swoją opinię na każdy temat. Konflikt zbrojny na Bliskim Wschodzie? Paryżanin wie, jak go rozwiązać. Problem ekonomiczny w Grecji? Paryżanin może podsunąć kilka propozycji. Brak spójności w Unii Europejskiej? Dlaczego nadal nikt tego nie skonsultował z paryżaninem, przecież on wie, co robić!



Na walizkach

Mieszkańcy stolicy Francji kochają podróżować. Chętnie wyruszają zarówno na długie wakacyjne wyjazdy w różne zakątki świata, jak i na wycieczki weekendowe w okolice Paryża.

Latem często odwiedzają ekskluzywne i imprezowe Saint-Tropez, filmowe Cannes czy popularną Niceę, słowem, paryżanie uwielbiają Lazurowe Wybrzeże.

Leżąca na południu Francji Prowansja jest jednym z ulubionych celów wakacyjnych wояży mieszkańców stolicy. Mogą tu do woli delectować się piękną pogodą i schłodzonym różowym winem. Będąc na wakacjach w Prowansji, paryżanin chętnie spożywa lokalne produkty. Kupuje je na cotygodniowych *marché*, targach, gdzie sprzedaje się świeżą i zdrową żywność. Szczególną miłością darzy oliwę z oliwek, oczywiście tę z pierwszego tłoczenia. Już dawno zapomniał o maśle, oleju słonecznikowym i innych tłuszczach. Jedynym konkurentem oliwy jest ocet balsamiczny, dla którego paryżanie również tracą głowę. Ich zdaniem potrawa, w której skład wchodzi oliwa z oliwek i ocet balsamiczny, musi być smaczna.

Mimo że paryżanie chętnie jeżdżą na południe kraju, to nigdy nie spotkacie ich w Marsylii, gdyż mieszkańcy tych dwóch miast żywią do siebie ogromną niechęć. Według paryżan powodów jest wiele, zaczynając od głośnego, nieprzyjemnego sposobu wypowiedzania się mieszkańców Marsylii, a na ich zbytnej niefrasobliwości kończąc.

Na stoku

Paryżanie kochają mróz i śnieg. Ale oczywiście nie w Paryżu! Zimą chętnie wybierają się na narty do drogich ośrodków narciarskich, takich jak Chamonix, Méribel czy Courchevel. Mimo iż na nartach szusują tylko raz w roku, robią to wspaniale. Najważniejsze dla paryżanina jest to, aby z tygodniowego wyjazdu w Alpy przywieźć... opaleniznę. I choć przed kolegami w pracy kryguje się potem, mówiąc, że wygląda trochę głupkowato, to jednak w głębi duszy rozpiera go duma. Opalenizna nabyta na tego typu wyjeździe jednoznacznie

wskazuje na wysoki status finansowy jej właściciela, gdyż pobyt na nartach sporo kosztuje.

Pepek świata

Paryżanie wychodzą z założenia, że ponieważ mieszkają w stolicy Francji, Europy, a nawet świata, mają prawo do bycia innymi niż wszyscy. Od najmłodszych lat wmawia się im, że są lepsi, wyjątkowi. Uważają się za kwiat narodu i jego przyszłość, bo przecież to w Paryżu znajdują się firmy o największej renomie, siedziby międzynarodowych koncernów i oczywiście najważniejsze urzędy decydujące o losach państwa.

Całkiem niedawno na wielu profilach użytkowników Facebooka można było zobaczyć mapę Francji widzianą oczami paryżanina. Okręgiem zaznaczono stolicę i jej peryferie. Resztę kraju opisano jednym słowem: prowincja. To dokładnie ilustruje nastawienie paryżan do pozostałych Francuzów. Jeśli chcecie się przypodobać mieszkańcom stolicy, oto kilka wskazówek:

Dziesięć rad, jak nie wkurzyć paryżanina

1. Odwiedzając paryżanina, nigdy, przenigdy nie pytajcie, jak może mieszkać w takiej klitce i dlaczego: w budynku nie ma windy / łazienka jest połączona z toaletą / nie ma pokoju gościnnego (to pytanie kuzynki mojego męża mieszkającej na południu Francji, gdy po raz pierwszy przyjechała do nas w odwiedziny).

2. Korzystając z metra, nie należy głośno się nim zachwycać. Nie wolno również skarżyć się, że... cuchnie. Wchodząc na ruchome schody, zawsze stawajcie po prawej stronie, inaczej zostanieie stratowani. I pozwólcie, aby paryżanin najpierw wysiadł z zatłoczonego wagonu, zanim sami się do niego wepchniecie...

3. Idąc z paryżaninem na kolację lub drinka, nigdy nie informujcie go, że w waszym mieście piwo kosztuje cztery razy mniej, a w cenie paryskiej przystawki można zjeść cały obiad. Paryżanin wie, że jego miasto jest drogie, nie musicie mu o tym przypominać.

4. Robiąc zakupy w supermarkecie, kupując bilet na metro czy zaopatrując się w znaczki na pocztę, nie wdawajcie się w rozmowę

z kasjerką czy urzędniczką. Wy tu jesteście na wczasach, ale paryżaninowi się spieszy, więc jeśli chcecie uniknąć nieprzyjemnych komentarzy, załatwcie szybko, co macie do załatwienia, i jeszcze szybciej opuśćcie kolejkę.

5. Nie umawiajcie się na spotkanie z paryżaninem w miejscu typowo turystycznym, takim jak Champs Élysées czy plac przed katedrą Notre Dame, gdzie będzie mnóstwo obcokrajowców i przybyszów z prowincji. Po pierwsze, nie zgodzi się, a po drugie, uzna was za nieznających miasta głupków.

6. Nigdy nie mówcie, że Paryż jest wspaniały i chcielibyście tu zamieszkać, że miasto was zachwyca i że przecież nie można tu tak szybko chodzić, bo nie da się podziwiać zabytków. Wy Paryża nie znacie, a paryżanin tu żyje na co dzień i jeśli by gapił się na zabytki, to... wszedłby w psią kupę!

7. W towarzystwie paryżanina nigdy nie kupujcie pamiątek od wścibskich ulicznych handlarzy / róż od natrętnych kwiaciarzy w restauracji / butelek wody od podejrzanych sprzedawców (podobno są przechowywane nielegalnie w studzienkach kanalizacyjnych i chodzą po nich szczury).

8. Nie proponujcie paryżaninowi obiadu lub kolacji w fast foodzie, a tym bardziej kebaba u Turka czy sajonka u Chińczyka, jeśli nie znacie knajpki. Chyba że waszym celem jest otrucie mieszkańca stolicy. Większość tych lokali już dawno powinna zostać zamknięta ze względów sanitarnych. Co rusz wybucha kolejna afera dotycząca na przykład podawania mięsa gołębi zamiast kurczaka.

9. Nigdy nie wymagajcie od paryżanina, aby zgasił papierosa, nawet jeśli pali w miejscu niedozwolonym. Nie zwracajcie mu uwagi, że właśnie rzucił papierek na podłogę lub nie sprzątnął po swoim psie. To on jest u siebie, a wy jesteście tylko gośćmi.

10. Najważniejsze, aby nigdy nie porównywać paryżanina do mieszkańców innych metropolii, a już na pewno nie do londyńczyków i nowojorczyków (paryżanie mają wobec nich kompleksy, do których się nie przyznają). Pamiętajcie, że największą obrazą dla mieszkańca stolicy Francji jest powiedzenie mu, że... jest miły jak na paryżanina.

Paryska „dobra partia”

Paryska burżuazja nazywana potocznie *les bourgeois* to niezwykle ciekawa grupa społeczna warta głębszej analizy. Jej reprezentanci zamieszkują drogie dzielnice miasta: siódmą, ósmą, szesnastą i siedemnastą. W większości pochodzą z rodziny od pokoleń dysponującej sporym majątkiem, dlatego mają zupełnie inne podejście do pieniędzy niż nowobogaccy. *Les bourgeois* kończą dobre i drogie prywatne szkoły, aby w przyszłości zająć kierownicze stanowiska w największych francuskich firmach, ewentualnie jako członkowie partii prawicowej piastują ważne funkcje polityczne.

Można ich rozpoznać już na pierwszy rzut oka dzięki specyficznemu stylowi bycia i ubierania. Kobiety wybierają białe koszule, apaszki i perły, a mężczyźni niebieskie koszule, spodnie z materiału, sweter zarzucony na ramiona i buty typu *bateau*¹⁾. Panowie prowadzą zwykle duże błyszczące bmw, panie można zobaczyć za kierownicą filigranowych mini. Ich dzieci na szczęście są nieco mniej konserwatywne i bardziej inspirują się modą niż ich rodzice. Mimo to młodzi mężczyźni z tej klasy zawsze ubierają się podobnie, a mianowicie kochają polówki w krzykliwych kolorach od Ralphi Laurena, koniecznie z postawionym kołnierzykiem, obcisłe jeansy, okulary Ray-Ban i zamszowe mokasyny. Młode kobiety często zakładają zwiewne tuniki od francuskich projektantów, skórzane kurtki i baleriny. Preferują umalowane na wyrazisty kolor usta i fryzury „wiatrem czesane”. Młodych przedstawicieli tej grupy można spotkać wieczorem w ogródkach knajpek i restauracji, gdzie przy butelce szampana rozmawiają o problemach trapiących świat dwudziestego pierwszego wieku. Długie świąteczne weekendy spędzają poza miastem, udając się do *maison de campagne*, wiejskich domów, należących do ich zamożnej rodziny – te wspaniałe posiadłości rozsiane są na terenie całego kraju.

1) *Bateau* – obuwiu przypominające mokasyny, pierwotnie przeznaczone do noszenia na pokładzie statku.

Któregoś dnia mój mąż zaprosił do nas na kolację kolegę z biura wraz z żoną. Ustaliliśmy, że kolacja odbędzie się w piątek. Martin mówił

mi, że to młodzi ludzie, niewiele starsi od nas, pochodzący z wyjątkowo zamożnych rodzin typu *vieille France*, stara Francja. To wyższa klasa społeczna często dysponująca dużymi zasobami finansowymi, w większości wierząca i praktykująca. Jednak jej poglądy zdecydowanie różnią się od obecnie najpopularniejszych w kraju norm. Wiedziałam również, że małżonkowie przyjdą osobno, gdyż każde z nich przyjedzie prosto z pracy.

W piątkowy wieczór Martin wrócił do domu, a chwilę później w drzwiach pojawił się jego kolega. Jak na Francuza przystało, przyniósł wspaniałe czerwone wino do kolacji. Przywitaliśmy się, po czym powiedziałam, że jest mi go żal, bo w taki piękny letni dzień musi się męczyć w garniturze. Mężczyzna z uśmiechem wzruszył ramionami i odparł, że taki już los mężczyzn w garniakach. Niedługo potem dołączyła do nas jego żona. Gdy otworzyłam drzwi, ujrzałam młodą kobietę w granatowej garsonce, białej koszuli, pomarańczowej apasce, perłowych kolczykach i naszyjniku. Na nogach miała cieliste rajstopy i czółenka na kilkucentymetrowym słupku. Gdybym nie wiedziała, że jest nauczycielką historii, to sądząc po jej stroju, pomyślałabym, że pracuje jako stewardessa w jednej z wielu firm lotniczych. Przywitaliśmy się, dostałam od niej piękny bukiet kwiatów i zaprowadziłam ją do salonu. Po chwili rozmowy zapytałam, czy nie czuje się niekomfortowo. Spojrzała na mnie zdziwiona, więc dodałam, że podobnie jak nasi mężowie, nie miała czasu się przebrać po pracy. W tym samym momencie otrzymałam znaczącego kopniaka pod stołem. To mój mąż dawał mi do zrozumienia, że popełniłam wielką gafę.

Dziś się z tego śmiejemy. Nasi znajomi zostali wychowani w typowo paryskich katolickich rodzinach. Oprócz konserwatywnych poglądów mieli również dość staromodny sposób ubierania. On opowiadał nam kiedyś, jak jego rodzice zabronili mu nosić jeansy, mówiąc, że to strój roboczy i nie wypada w nich chodzić na co dzień. Ona przez wiele lat uważała, że najlepszą ozdobą oprócz tradycyjnych pereł jest welurowa przepaska we włosach, nawet jeśli się ma pięćdziesiąt lat. Na szczęście, kiedy rozpoczęli pracę, poznali ludzi z innych kręgów, dzięki czemu ich garderoba się zmieniła i dziś, mimo że są dziesięć lat starsi, wyglądają młodziej, niż kiedy ich poznaliśmy.

Zachowali jednak swoje poglądy na temat rodziny i gdy niedawno na świat przyszła moja druga córeczka, im urodził się już piąty potomek. Pewnie jak inne dzieci z katolicko-burżuazyjnych rodzin, on również otrzyma jedno z tradycyjnych francuskich imion, takich jak Jeanne (Janina), Apolline (Apolonia) czy Eugénie (Eugenia) dla dziewczynki albo Clément (Klemens), Paul (Paweł) lub Julien (Julian) dla chłopca.

Chłopaki z miasta

Całkowitym przeciwieństwem paryskiej burżuazji są *les racailles*, czyli młodzi ludzie, zwykle typowa łobuzerka, zamieszkujący podejrzane okolice i peryferie miasta. Niestety, zdecydowana większość z nich to potomkowie dawnych imigrantów z Czarnego Lądu. I chociaż ich rodzice mniej lub bardziej zintegrowali się z francuskim społeczeństwem, zaakceptowali tutejszy sposób życia i kulturę, to młodsze pokolenie nie ma ochoty żyć według „zasad systemu”, jak określają panujące w kraju normy. *Les racailles* zawsze przemierzają się w grupach i tylko wtedy są odważni. Paryżanie na ich widok spuszczaają głowy lub przechodzą na drugą stronę ulicy. *Les racailles* nie mają nic do stracenia, a przede wszystkim nic do zrobienia, dlatego dla rozrywki i zabicia czasu mają się kradzieży, napaści czy rozbojów.

Sama miałam z nimi do czynienia i któregoś wieczoru wylądowałam na komisariacie tylko dlatego, że odpyskowałam im, gdy usłyszałam wulgarne komentarze na mój temat. A ponieważ jedną z cech charakteryzujących tych chuliganów jest brak szacunku dla kobiet (zwłaszcza tych, które mają odwagę wyrażać swoje zdanie), nasze spotkanie zakończyło się bójką, interwencją policji i moim podbitym okiem.

Les racailles nie należą do znawców mody. Mają wyjątkowy styl i nie jest to bynajmniej komplement. Paryscy łobuzi noszą ortalionowe dresowe spodnie z podwiniętą jedną nogawką. Kiedyś naiwnie myślałam, że w ten sposób chronią spodnie przed ubrudzeniem od łańcucha roweru, ale wkrótce się przekonałam, że oni nie jeżdżą na rowerach, tylko na małych skuterach z celowo popsutymi tłumikami, żeby robiły więcej hałasu. Ci młodzi mężczyźni wkładają też

podkoszulki z logo ulubionego klubu sportowego, zwykle Marsylii. Dlaczego? Podobno dzięki temu identyfikują się z „braćmi” z południa Francji, gdzie mieszka ogromna liczba imigrantów z Algierii i Maroka. Inni twierdzą, że chuligani wybierają ten klub na złość prawdziwym paryżanom, którzy marsylczyków nie cierpią. Obowiązkowymi elementami stroju są też białe skarpetki podciągnięte do połowy łydek i czapeczka z daszkiem typu bejsbolówka, którą przekręcają na bok. Do tego noszą torebkę-biodrówkę typu banan, ewentualnie saszetkę na cienkim pasku przerzucaną przez ramię. Bogatsi *racailles* uwielbiają znane firmy, na przykład Lacoste, ku rozpaczy marki, której nareszcie niedawno udało się zmienić swój niechlubny wizerunek.

Paryscy chuligani posługują się nawet własnym slangiem – znanym jako *le verlan* – całkowicie niezrozumiałym dla przeciętnego Francuza. Tworzą wyrazy, przestawiając lub skracając sylaby w jakimś istniejącym już słowie. Slang ten narodził się na paryskich przedmieściach – *cités*, gdzie w wysokich na kilkanaście pięter blokach władze powojennej Francji ulokowały większość imigrantów napływających do kraju. Wysiłki ówczesnych architektów, którzy chcieli uczynić te blokowiska miłymi dla oka, spełzły na niczym, a w dodatku ich nowi mieszkańcy raczej nie dbają o otoczenie. Na obrzeżach Paryża znajduje się mnóstwo tego typu osiedli. Mieszkająca tam łobuzerka chętnie przyjeżdża do centrum, aby podczas publicznych manifestacji lub imprez masowych móc zrobić rozróbę.

Krótki słownik paryskiego slangu

a donf – (fr.) *à fond* – dokładnie (chodzi o robienie czegoś dokładnie, z pasją)

chelou – *louche* – podejrzany, wątpliwy

keuf – *flic* – potocznie gliniarz

meuf – *femme* – kobieta

oim – *moi* – ja

oit – *toi* – ty

ouf – *fou* – zwariowany, szalony

pécho – *choper* – potocznie złapać, poderwać dziewczynę/chłopaka

reum – *mère* – matka

reup – *père* – ojciec
teuf – *fête* – przyjęcie, impreza
turevoi – *voiture* – samochód
véner – *énervé* – zdenerwowany
zarbi – *bizarre* – dziwny

Na szczęście dla turystów niezdających sobie sprawy z powagi sytuacji, ale przede wszystkim dla mieszkańców stolicy *les racailles* stanowią zdecydowaną mniejszość w Paryżu i unikając pewnych miejsc oraz masowych imprez i darmowych koncertów, możecie ich wcale nie spotkać.

Małe co nieco

Paryż słynie z wyjątkowej gastronomii, a paryżanie uwielbiają odwiedzać restauracje. Jednak niedawno nastąpiła moda na inny rodzaj jedzenia na mieście. Paryż staje się europejską stolicą sushi na wynos. Każdy paryżanin, aby być modnym, musi mieć iPhone'a, nosić jeansy i jeść sushi.

W ciągu ostatniej dekady sushi stało się wyznacznikiem stylu życia, typowym paryskim posiłkiem. Przeciętny paryżanin konsumuje sushi minimum raz w tygodniu w porze obiadowej, często zamawia na wynos kolejny zestaw, tym razem w porze kolacji. Zdecydowaną większość restauracji serwujących sushi w Paryżu prowadzą Wietnamczycy lub Chińczycy.

Karty dań zawsze ilustrowane kolorowymi zdjęciami nie mają wiele wspólnego z prawdziwą japońską kuchnią. Wiem, co mówię, bo mieszkałam w Japonii przez dość długi czas. Mówiąc o sushi w Paryżu, tak naprawdę mam na myśli pseudojapońskie zestawy, w skład których wchodzi zarówno typowe *maki*, popularne *california roll*, a także świeże *sashimi* i uwielbiane przez paryżan małe mięsne szaszłyki w sosie *teriyaki*.

Niektóre restauracje dowożące *sushi* do domu proponują dania kosherne lub halal. Cóż, japońskie sushi z religijnym posmakiem może świadczyć o wielokulturowości miasta.

Paryżanie zamawiają najwięcej japońskiego jedzenia w niedziele

z kilku powodów. Po pierwsze, większość restauracji tego dnia wieczorem jest zamknięta. Po drugie, paryżanin właśnie wtedy relaksuje się po intensywnym, towarzyskim weekendzie. Po trzecie, wśród młodych paryżan to już niemal tradycja, że w niedzielę po seansie kinowym (kina to kolejne miejsca oblegane w tym czasie) zamawiają sushi.

Tak więc paryżanin zafascynowany kuchnią Nipponu, którą zna jedynie z restauracji szybkiej obsługi, będzie delektował się sushi, aż... pewnego dnia odkryje jedną z wielu cudownych japońskich knajpek przy rue Sainte-Anne, gdzie skosztuje prawdziwych przysmaków prosto z Kraju Kwitnącej Wiśni.

Nawodnienie

Paryżanie, jak większość Francuzów, do posiłków oprócz wina piją tylko wodę mineralną. W latach osiemdziesiątych rynek zdominowała woda z bąbelkami. W Paryżu można kupić jej dwa rodzaje. Pierwsza to mocno gazowana woda Perrier podawana w wysokich szklankach z lodem i plasterkiem cytryny. Sprzedaje się ją w charakterystycznych szklanych zielonych butelkach o pojemności 0,33 litra.

Druga modna woda to włoskie San Pellegrino dostępne w szklanych butelkach o pojemności 0,5 lub 1 litra. Stała się tak popularna, że paryżanie zaczęli zdrabniać jej nazwę. Jeśli będziecie więc w stolicy Francji, pamiętajcie, by zamawiając do posiłku najbardziej paryską z włoskich wód gazowanych, poprosić o San Pé.

Być albo nie być

Ser czy deser? To jedno z ważniejszych pytań, które pada w prawie każdej restauracji we Francji na zakończenie posiłku. Paryżanie często rezygnują z serów, ponieważ uważają, że są zbyt kaloryczne. O ile w domowym zaciszu z przyjemnością zjedzą dojrzały brie, najlepiej z trufkami, to w restauracji zamówią tylko mozzarellę z pomidorami jako przystawkę.

W knajpach kelner zawsze zapyta, czy goście mają ochotę na

deser. Bo paryżanie, choć nigdy się do tego nie przyznają, są wielkimi łakomczuchami. Kochają słodczyce. Zresztą trudno im się dziwić: gdy spojrzycie na tutejsze słodkości, to nie pozostaje nic innego, jak się nimi delectować. Mimo to zarówno paryżanin, jak i paryżanka bardzo się pilnują i zwracają uwagę na to, co jedzą. Istnieje jednak pewien deser, który stanowi tak wielką pokusę, że prawie wszyscy jej ulegają.

Le moelleux au chocolat jest dla paryżan tym, co *cheesecake* dla nowojorczyków. To wspaniałe, intensywnie czekoladowe ciastko podawane na ciepło z dodatkiem gałki lodów waniliowych. Istotą tego przysmaku jest to, że po przekrojeniu z jego wypieczonej warstwy zewnętrznej wylewa się półpłynne czekoladowe serce... Mniem, palce lizać! To ulubiony deser paryżan. Kilka lat temu została nawet wydana maleńka książeczka zawierająca listę restauracji serwujących najlepsze *moelleux au chocolat* oraz przepisy na różne wariacje tego wspaniałego deseru: z nutellą, białą czekoladą, skórką pomarańczową, migdałami – każda inna i każda bardzo smaczna. Jednak moim zdaniem najlepsza jest wersja tradycyjna.

Paryskie *le moelleux au chocolat*

składniki na około 6 porcji

200 g gorzkiej czekolady dobrej jakości

100 g brązowego cukru

50 g masła

5 jajek

1 płaska łyżka mąki

Czekoladę połamaną na kawałki oraz miękkie masło rozpuścić na wolnym ogniu do uzyskania płynnej i jednolitej masy. Nie dopuścić do zagotowania. Dodać cukier, zdjąć z ognia i mieszać aż do jego rozpuszczenia. Masę schłodzić do temperatury pokojowej, a następnie wlać do niej wcześniej rozbite i roztrzepane całe jajka, dokładnie połączyć składniki. Wsypać mąkę i wymieszać. Przelać do foremek do pieczenia. Ciastka wstawić do piekarnika rozgrzanego do 180 stopni na 10–13 minut.

Sekret ciastka tkwi w tym, by w odpowiednim momencie przerwać pieczenie. Ciasto musi być upieczone z wierzchu i miękkie, lejące się

w środku. Przed wyjęciem ciastek z foremek należy odczekać około 5 minut. Podawać letnie z kulką lodów waniliowych.

Magiczna filiżanka

Paryżanie uwielbiają kawę, która wieńczy każdy ich posiłek. Rano mieszkanki stolicy piją *café crème*, czyli kawę z niewielką ilością mleka, często w pobliskiej kawiarni, przeglądając jednocześnie e-maile w telefonie. Przez cały dzień paryżanie w biegu przy kontuarze wypijają *café serré*, czyli niewielką filiżankę mocnej, czarnej kawy. Wieczorem po kolacji zwykle wybierają *déca*, czyli kawę bezkofeinową, pitą dla smaku, a nie pobudzenia. Natomiast po obiedzie z wielką radością wybierają *café gourmand*.

„Łakoma kawa”, jak można przetłumaczyć tę nazwę, to nic innego jak rozgrzeszenie dla łakomczucha. Paryskie desery są prawdziwymi bombami kalorycznymi. Paryżanie, którym bardzo zależy na smukłych sylwetkach, a którzy nie należą do fanów sportów (wyjątkiem może być jogging) i diet, muszą dbać o linię. Jednocześnie pragną, jak sami mówią, korzystać z życia. Dlatego *café gourmand* to dla nich idealne rozwiązanie. Oprócz filiżanki z ciepłym napojem na talerzyku otrzymują zestaw miniaturowych słodkich przysmaków. W większości są to tradycyjne desery francuskie jak *crème brûlée* (deser przygotowywany na bazie kremu z jajek, śmietany i cukru z warstwą karmelu na górze), mus czekoladowy, *clafoutis* (deser ze świeżych owoców upieczonych pod warstwą ciasta), gałka lodów lub mój faworyt: *financier*, czyli wspaniałe migdałowe ciasteczka.

Financier

50–100 g pudru migdałowego (drobno mielone migdały)

50 g delikatnej i drobnej mąki

100 g brązowego cukru

75 g masła

4 białka jajek

½ łyżeczki ekstraktu z naturalnej wanilii

szczypta soli

Puder migdałowy, cukier, mąkę i ekstrakt z wanilii dokładnie wymieszać. Do białek wsypać szczyptę soli i ubić je na sztywną pianę. Delikatnie połączyć białka z pozostałymi składnikami. Masło rozpuścić na wolnym ogniu, poczekać, aż ostygnie, i dodać do wcześniej przygotowanej masy. Dokładnie wymieszać i przelać ciasto do małych kwadratowych foremek do financiers (można wykorzystać foremki do keksów lub magdalenek). Piec w piekarniku rozgrzanym do 200 stopni przez 15–20 minut.

Intelektualnie... lub nie

Pijąc poranną kawę, paryżanie chętnie czytają mniej lub bardziej ambitne czasopisma. Mimo że paryżanka chętnie przegląda popularny plotkarski tygodnik „Voici”, a paryżanin z przyjemnością będzie kartkował najnowsze wydanie dziennika sportowego „L'Équipe”, to żadne z nich nigdy się do tego przyzna. Czasami można spotkać mieszkańców stolicy czytających „Libération”, jednak nie będą tego robić zbyt ostentacyjnie, ponieważ gazetę uważa się za lewicową. Paryżanin nie będzie się afiszował również z „Le Figaro”, gdyż jest to bardzo prawicowy periodyk. Poprawny politycznie paryżanin, który chce błyszczeć w towarzystwie i mieć wyrobioną opinię na każdy temat, sięgnie po najbardziej opiniotwórczy dziennik na rynku. Z osobą, która czyta poranne wydanie „Le Monde” w kawiarni na rogu swojej ulicy, popijając espresso i prezentując trzydniowy zarost, należy się liczyć. Albo po prostu chce ona zrobić dobre wrażenie.

Paryskie balety

Paryżanie, jak sami mówią, kochają korzystać z życia. Wiąże się to z częstym bywaniem w galeriach sztuki, kinach czy teatrach, a także wyjściami do różnych restauracji czy wielogodzinnym przesiadywaniem w knajpkach i piciem wina. Czerpanie z życia pełnymi garściami to również nierzadkie imprezy, które organizowane są w klubach, a także w mniejszych i większych mieszkaniach. A sąsiedzi? No cóż, jeśli młody paryżanin wynajmuje lokal w bogatej dzielnicy, a obok niego mieszkają

starsi, zamożni ludzie, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że wyjadą na weekend do swojego wiejskiego domku, czyli kilkuhektarowej posiadłości. A jeśli sąsiedzi są młodzi, to albo sami wyjadą w sobotę, albo również urządzają przyjęcie.

Chociaż większość mieszkańców paryskich kamienic jest wyjątkowo wyrozumiała, to jednak czasami i im kończy się cierpliwość. Jeden z naszych kolegów po kilku latach kawalerskiego wyjątkowo rozrywkowego życia otrzymał wezwanie do sądu. Udał się tam i spokojnie oświadczył sędziemu, że głośne przyjęcie, na które skarżyli się sąsiedzi, zorganizował po raz pierwszy i że świętował w ten sposób własne zaręczyny. Jednak składający pozew sąsiedzi przedstawili grubą teczkę z zeznaniami składanymi na komisariacie, relacjami z interwencji policji i tym podobnymi. Przyjaciel dostał karę za zakłócanie spokoju publicznego: mandat w wysokości kilku tysięcy euro. W końcu zmienił tryb życia na spokojniejszy, ale – jak twierdzi – nie przez sąsiadów, lecz za sprawą żony i nowo narodzonej córeczki. Cóż, paryżanin też potrafi się ustatkować.

Przepis na udaną imprezę „po parysku”

- goście ubrani na czarno (bez względu na porę roku!);
- ogromna ilość schłodzonego wytrawnego szampana;
- dużo niedopałków wyrzuconych przez okno;
- mnóstwo przekąsek, miniaturowych keksów, tart i blinów z łososiem;
- piosenka *I gotta feeling* odtwarzana co najmniej trzy razy podczas wieczoru;
- chociaż jedna kłótnia o muzykę, bo każdy chce być DJ-em;
- impreza zamknięta najczęściej odbywająca się w kuchni, łazience lub innym pomieszczeniu przeznaczonym do palenia;
- wizyta (lub nawet kilka) sąsiadów, niekoniecznie kurtuazyjna;
- interwencja policji, pierwszy raz, aby pouczyć, drugi, aby wlepić mandat;
- wyjście do całodobowego sklepu pod domem, aby uzupełnić braki w barku;
- przynajmniej jedna zgubiona kurtka któregoś z gości;
- kilka kompromitujących zdjęć zamieszczonych na Facebooku

i Instagramie;

- nowa kanapa lub krzesło zalane czerwonym winem, w wyniku czego powstała niemożliwa do wywabienia plama;
- przynajmniej jedna nowa para, która się właśnie w sobie zakochała;
- godzinne poszukiwanie taksówki, aby wrócić do domu;
- dwugodzinne dzwonienie po taksówkę, które nie przynosi żadnego rezultatu;
- oczekiwanie na peronie na pierwsze metro, ewentualnie powrót rowerem miejskim;
- poranny kac i leczenie go espresso w pobliskiej kawiarence.

Wszystkie składniki dokładnie wymieszać, dodać radość, śmiech, zabawę, dużo „ach”, „och” i „oh là là”, a wyjdzie wam typowe paryskie przyjęcie! Miłej zabawy!

Przemiana

Wiecie już dużo na temat mieszkańców stolicy Francji, ale na pewno wciąż się zastanawiacie, jak to się stało, że z zahukanej łodzianki stałam się dumną paryżanką. Cóż, na tę przemianę złożyło się wiele lat treningu, sporo wzlotów i tyle samo upadków oraz dokładna obserwacja i głęboka analiza paryskiej rzeczywistości. Nie było łatwo, często wychodziłam na głupka, ale bardzo się starałam i jakoś mi się udało. Dochodzę więc do wniosku, że jeśli ja mogłam, to każdy z was też może stać się paryżaninem. Przemysślałam to, zrobiłam wiele notatek i... przygotowałam dla was miniporadnik, jak stać się stuprocentowym mieszkańcem stolicy Francji.

Piętnaście przykazań prawdziwego paryżanina

1. Paryż zawsze będzie waszym ukochanym miastem, będziecie go wielbić i podziwiać.
2. Musicie mieszkać w Paryżu, nawet jeśli mielibyście zajmować mieszkanie wielkości pudełka po butach na poddaszu.
3. Będziecie całkowicie *overbooké*, czyli zabiegani i wiecznie

spóźnieni.

4. Będziecie korzystać z transportu publicznego w postaci metra i autobusu, ewentualnie z roweru i własnych nóg.

5. Zrozumiecie, jak funkcjonują taksówki, a nawet nauczycie się je łapać na ulicy. Z czasem będziecie nawet w stanie wymusić na kierowcy kierunek jazdy.

6. Na widok turystów z niezadowoleniem będziecie kręcić głową i unikać wszelkich odwiedzanych przez nich miejsc.

7. Nauczycie się żyć w symbiozie z gołębiami na ulicach i szczurami w metrze.

8. Będziecie robić zakupy na paryskich ryneczkach, przed zakupem dokładnie wachając każdy smakołyk i go dotykając.

9. Robienie zakupów w paryskich butikach nie będzie dla was problemem, nauczycie się polować na okazje niczym prawdziwy myśliwy.

10. Weekendowe imprezy w mieście nie będą miały dla was sekretów, poznacie ochroniarzy pracujących w najlepszych klubach Paryża.

11. Będziecie jeść posiłki o konkretnych porach, ani minuty później lub wcześniej.

12. Na długie weekendy będziecie wyjeżdżać poza miasto.

13. Będziecie nosić czarne ubrania i okulary przeciwsłoneczne bez względu na porę roku i dnia.

14. Wasze dzieci prawie zawsze będą się grzecznie zachowywać, siedzieć przy stole podczas posiłku, uprzejmie się witać i żegnać oraz z wielką radością wcinać szpinak, ryby, ostre sery, a nawet krewetki.

15. Nigdy, przenigdy nie powiecie, że jesteście paryżanami... Przecież to oczywiste!



Paryż niejedną ma modę

Kilkanaście lat temu, gdy przyjechałam do Paryża po raz pierwszy, liczba i jakość tamtejszych sklepów powaliły mnie na kolana. W moim rodzinnym mieście wówczas tylko na Piotrkowskiej można było zrobić większe zakupy i znaleźć fajne ubrania. Wtedy nie istniały jeszcze galerie handlowe takie jak wspaniała łódzka Manufaktura, a ciuchy kupowało się w sklepikach odzieżowych przyklejonych do Carrefoura czy Auchana. Gdy po raz pierwszy odkryłam potencjał handlowy stolicy Francji, jednocześnie popadłam w zachwyt, szal, furię i rozpacz. Moje możliwości finansowe były wyjątkowo ograniczone: dysponowałam kieszonkowym od agencji modelek oraz stu pięćdziesięcioma dolarami podarowanymi mi przez rodziców na czarną godzinę. Nowe spodnie czy bluzka nie były mi niezbędne, dlatego nie pozwoliłam sobie na wydanie pieniędzy zarobionych przez mamę i tatę na ubrania.

Jednak gdy dostałam pierwszą tygodniówkę, którą tak naprawdę można nazwać kredytem bezprocentowym udzielanym modelkom przez ich agencje, a który należy zwrócić, postanowiłam iść na zakupy. W kieszeni miałam dokładnie pięćset franków francuskich, czyli mniej więcej osiemdziesiąt euro. Musiało to wystarczyć na tygodniowy bilet na metro, jedzenie, picie i inne konieczne wydatki. Pierwsze kieszonkowe ukradziono mi w metrze, więc z moich planów nic nie wyszło, a w dodatku przez tydzień jadłam suche bagietki. Gdy dostałam drugą tygodniówkę, natychmiast kupiłam bilet na metro, kilka paczek makaronu i sosy w Leader Price¹⁾ (bo taniej!), a resztę odłożyłam i czekałam na weekend.

1) Leader Price – sieć tanich sklepów, a zarazem marka własna hipermarketów Géant.

W sobotę rano cała w skowronkach pojechałam do drugiej dzielnicy Paryża, w okolice Les Halles, które słynęło ze wspaniałych butików z ciuchami dla młodych ludzi. Chodziłam po sklepach caluteńki dzień, oglądając i przymierzając niezliczone ilości ubrań i akcesoriów. Musiałam się dobrze zastanowić, na co wydam pieniądze. Po wielu godzinach podjęłam decyzję: w sklepie francuskiej marki Naf Naf

kupiłam jeansy i granatową torbę z ortalionu. Wróciłam do domu zachwycona i ogromnie zmęczona. Oglądałam moje nabytki, aż w końcu zasnęłam, tuląc je do siebie. Do dziś pamiętam, ile radości sprawiły mi te pierwsze paryskie zakupy.

Modelką być

Gdy pierwszy raz przyjechałam do Paryża, o świecie mody wiedziałam tyle, co o fizyce kwantowej, czyli niewiele. Nic w tym dziwnego, bo modelką zostałam w zasadzie przez przypadek.

Poszłam na casting do łódzkiej agencji, ale nie snułam planów na karierę w branży modowej. Moja mama myślała, że jeśli będą mną zainteresowani, to może nareszcie nauczą mnie chodzić prosto i z podniesioną głową. Jednak zamiast nauki prawidłowej postawy otrzymałam pierwszy kontrakt, a w ciągu kilku miesięcy kolejny w Warszawie. Po trzech miesiącach od pierwszego castingu dostałam propozycję wyjazdu do światowej stolicy mody.

Kilka tygodni przed moim wylotem telewizja kablowa w Polsce udostępniła kanał Fashion TV, który natychmiast stał się dla mnie głównym źródłem wiedzy o modowym świecie. Namiętnie oglądałam pokazy i zastanawiałam się, jakim cudem dziewczyny jeszcze nie połamały sobie nóg, chodząc w tak przedziwnych butach na obcasach. Muszę się wam przyznać, że gdy już napatrzyłam się na światowe wybiegi, wyginałam się przed lustrem w przedpokoju, próbując poruszać się jak modelki na pokazach. Nie najlepiej mi to wychodziło i bardzo często kończyło się upadkiem zamiast zgrabnym półobrotem.

Gdy przyjechałam do Paryża, w agencji przesłam szybkie szkolenie dotyczące prezentowania się na wybiegu, ale również na castingach. Wytłumaczono mi, w jaki sposób powinnam się ubierać i zachowywać, aby zwrócić na siebie uwagę i zostać wybraną.

Oczywiście, na początku szalenie podobało mi się „bycie modelką w Paryżu”. Dopiero z czasem zrozumiałam, że to praca jak każda inna, choć często wymagająca otwartości i pokonywania swoich lęków. Uświadomiłam też sobie, że świat mody widziany oczami profesjonalisty wygląda zupełnie inaczej, niż mogłoby się to wydawać.

Za krótko?

Większość młodziuteńkich dziewczyn przyjeżdża do stolicy Francji z niewielkich miejscowości i nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństw, jakie czyhają na nie w tym mieście. Na początku mojej kariery na casting zakładałam sukienki i spódniczki, a latem króciutkie obcisłe szorty. Jednak gdy po raz kolejny na ulicy usłyszałam pseudokomplementy typu: „Niezła z ciebie lala” od młodych imigrantów zamieszkujących przedmieścia Paryża, postanowiłam wybierać głównie jeansy i sportowe obuwie, a potrzebne ubrania na zmianę nosić w torbie. Wiele moich koleżanek modelek również tak postępowało ze względu na własne bezpieczeństwo. Należy dodać, że większość studiów fotograficznych znajduje się w nieciekawych, wręcz obskurnych dzielnicach, gdzie lepiej nie przebywać po zmroku. Wynika to z faktu, że studia fotograficzne zajmują dużą przestrzeń, a to oczywiście kosztuje, więc zwykle zlokalizowane są w tanich rejonach miasta.

Któregoś dnia wraz z moją koleżanką Brazylijką wychodziłyśmy właśnie z castingu. Był środek lata, jednego z gorętszych, jakie miałam okazję spędzić we Francji. Gdy żar leje się z nieba, Paryż jak każde duże miasto staje się nie do wytrzymania. Nie miałyśmy więc wyboru i na spotkanie z fotografami i przedstawicielami agencji reklamowych wybrałyśmy się ubrane w krótkie spodenki. Po ostatnim spotkaniu ruszyłyśmy w kierunku pobliskiego metra, by wrócić do domu. Po drodze minęłyśmy grupkę młodych kolorowych mężczyzn, którzy – zaintrygowani naszą rozmową po angielsku i naszym wyglądem – zaczęli na nas gwizdać. Nie reagowałyśmy, więc gwizdy przerodziły się w krzyki i coraz to bardziej obraźliwe wyzwiska. W pewnym momencie zorientowałyśmy się, że mężczyźni idą za nami. Przyspieszyłyśmy kroku, a potem zaczęłyśmy biec do metra. Oni nie rezygnowali z pościgu i nadal obrzucali nas wulgarnymi obelgami. Błyskawicznie zbiegłyśmy po schodach na stację i przeskoczyłyśmy barierki. Nasi dręczyciele zrobili dokładnie to samo. Zdyszane i przerażone wpadłyśmy na peron i w ostatniej chwili zdążyłyśmy wsiąść do wagonu, którego drzwi właśnie się zamykały. Zatrzasnęły się tuż przed nosem napastników,

którzy nadal nam ubliżali i grozili. Tym razem poczułam się bezpieczna, oddzielona ciężkimi, metalowymi drzwiami od łobuzów, i z uśmiechem na twarzy pokazałam im środkowy palec, podczas gdy metro wyjeżdżało z peronu.

Tak więc, drodzy czytelnicy, a właściwie czytelniczki, będąc w Paryżu, zastanówcie się dwa razy, zanim założycie krótką sukienkę czy bluzkę z głębokim dekoltem, bo nawet taki modowy raj jak Paryż ma swoje ograniczenia.

Sukienka czy jedzenie? Oto jest pytanie

Na kolejne zakupy postanowiłam się wybrać z bardziej zasobnym portfelem niż na pierwsze. Dlatego zaczęłam odkładać pieniądze, żeby móc na nich zaszaleć. W tym czasie poznałam Martina, dziś mojego męża, a wtedy tylko kolegę, który marzył o tym, żeby się ze mną umówić. Obiecał, że zabierze mnie na zakupy, gdy będę miała czas. Któregoś dnia w ostatniej chwili odwołano mi sesję zdjęciową. Zadzwoiłam więc do Martina, a ten zabrał mnie na obiecany shopping. Mój kochany mąż przyznał się później, że na tym zakupowym spotkaniu chciał mi zaimponować i dlatego postanowił zaprowadzić mnie do Galeries Lafayette, jednego z najstarszych, najmodniejszych i bardzo ekskluzywnych domów handlowych w Paryżu. Takiego przepychu nie widziałam nigdy wcześniej. Galeries Lafayette nie jest zwykłym dużym sklepem odzieżowym. To miejsce słynące z unikatowej architektury, wspaniałych wnętrz i wielu pięter wypełnionych luksusowymi produktami. Dziś można tam kupić wspaniałą biżuterię, piękne torebki i buty od najlepszych projektantów, ale również ubrania bardziej popularnych i przystępnych cenowo marek. Jednak w tamtym czasie sklep był zdominowany przez paryską i międzynarodową śmietankę projektantów *prêt-à-porter* i *haute couture*. Pół dnia chodziłam po butikach, oglądając i przymierzając ubrania, niestety za każdym razem, gdy patrzyłam na metkę, przeżywałam szok, dowiadując się, że tyle może kosztować bluzka czy sukienka. Wstydziłam się przyznać, że sklep nie jest na moją kieszeń i że znowu będę musiała jeść suche bagietki, więc w końcu zdecydowałam się na zakup sukienki. Była niebieska

w drobne granatowe kwiatuszki, bardzo krótka, na ramiączkach, prosta w kroju i dobrze się w niej czułam. Martin mówił, że wyglądam rewelacyjnie, co troszkę poprawiło mi nastrój, minorowy ze względu na tak wielki wydatek.

Po zakończonych zakupach Martin zaproponował, abyśmy poszli razem na kolację. Ponieważ mój portfel świecił pustkami, uprzejmie odmówiłam. Jednak on, jak na prawdziwego Francuza przystało, nie przyjął takiej odpowiedzi do wiadomości i nalegał na wspólne spędzenie wieczoru. Po długich namowach w końcu się zgodziłam i udaliśmy się do pobliskiej knajpy. Gdy kelner podał nam karty, natychmiast sprawdziłam, które danie jest najtańsze. Podczas gdy ja ograniczyłam się do tradycyjnej sałatki, Martin zamówił sobie przystawkę w postaci krewetek, drogą rybę na główne danie i oczywiście nie pogardził czerwonym winem. W trakcie posiłku bardzo się denerwowałam, bo nie miałam czym za niego zapłacić. Na szczęście Martin, jako że to on zaprosił mnie na kolację, uregulował nieszczęsny rachunek za nas dwoje.

Moje pierwsze wrażenia dotyczące zakupów w stolicy Francji były bardzo pozytywne, ale do dziś kojarzą mi się z dużym stresem. Jednak kilka miesięcy później zaczęłam zarabiać pieniądze jako modelka i nareszcie było mnie stać na prawdziwy paryski shopping. To właśnie wtedy za jedną z pierwszych modelingowych wypłat kupiłam czarną skórzaną kopertówkę włoskiej firmy Gucci. Wtedy też zaczęła się moja miłość do pięknych i często luksusowych torebek.

Tylko bez wstydu, proszę

Jednym z pierwszych zleceń, jakie otrzymałam, była sesja zdjęciowa dla znanej i cenionej fotografki Bettiny Rheims. Wszyscy w agencji byli podekscytowani i ciągle tłumaczyli mi, jakim zaszczytem jest pracować dla tak wielkiej artystki. Nikt mnie jednak nie uprzedził, że większość prac tej fotografki to akty. Gdy więc pięknego słonecznego popołudnia dotarłam do jej atelier, jednocześnie będącego wspólnym mieszkaniem typu loft, nie denerwowałam się ani trochę. Fryzjer i wizażystka od razu usadzili mnie na taborecie i zajęli moim wyglądem. Następnie pojawiła się stylistka i pokazała trzy pary kolorowych

bawełnianych majtek, pytając, które wolę. Widząc moją minę, domyśliła się, że nie poinformowano mnie wcześniej, iż na zdjęciach będę toples. Pozowanie z nagim biustem było dla mnie wówczas ogromnym wyzwaniem. Tego typu fotografie kojarzyły mi się z czasopismami dla niegrzecznych chłopców, a nie z paryskim światem mody. Musiałam stoczyć walkę ze swoim wstydem. I do końca nie wiedziałam, czy dobrze robię, pozując w negliżu. Miałam wyrzuty sumienia, że się na to godzę, a moje katolickie wychowanie bynajmniej nie ułatwiało sprawy. Bałam się reakcji moich rodziców, przyjaciół i innych bliskich mi osób. Poza tym dały o sobie znać moje wieloletnie kompleksy związane z małym biustem.

Na szczęście artystka okazała się osobą wyrozumiałą i niezwykle uprzejmą. Porozmawiała ze mną, pokazała mi swoje prace, które absolutnie nie były wulgarne, i wytłumaczyła, że moda i sztuka są ze sobą ściśle powiązane i że teraz wspólnie stworzymy niezwykle dzieło. Przekonała mnie i po kilkunastu minutach stanęłam niepewnie przed obiektywem jej aparatu: w bawełnianych majtkach, bez stanika...

Rezultatem sesji były fantastyczne zdjęcia, które oprócz tego, że stanowiły wspaniały materiał do mojego portfolio, stały się dowodem mojej odwagi i ostatecznej akceptacji swego ciała. To był mój chrzest w paryskim świecie mody.

Nie każdy zna się na modzie

Kilka lat później przekonałam się, że to, co niektórzy uważają za krzyk mody, inni postrzegają jako estetyczną porażkę. Pracowałam przy kampanii reklamowej jednego z najmodniejszych salonów fryzjerskich we Francji. Alexandre Zouari, znany stylistą fryzur największych francuskich gwiazd i celebrytów, należy do paryskiej elity. Podobnie jak wielcy projektanci odzieżowi, a także wielu jego sławnych kolegów po fachu, dwa razy do roku prezentuje swoje kolekcje na sezony wiosna – lato oraz jesień – zima. Jak widać, dziś moda to nie tylko ubrania, ale również fryzury, makijaż, akcesoria i inne rzeczy, które poprawiają i urozmaicają nasz wygląd. Skoro miałam być twarzą jednej z tych kolekcji, wiadomo było, że muszę się liczyć ze zmianą wizerunku.

Przewidywano farbowanie i cięcie, w sumie kilka różnych fryzur.

Gdy rano poszłam do salonu, w którym zainstalowano prowizoryczne studio fotograficzne, byłam blondynką o włosach opadających na ramiona. A kiedy po kilku godzinach pracy całego sztabu stylistów, fryzjerów i wizażystek zobaczyłam swoje odbicie w lustrze, po prostu się załamalam. Moje włosy były ognistoczerwone, zrobiono mi grzywkę i ufarbowano ją na czarno, a cała fryzura okazała się asymetryczna: prawa strona była dłuższa od lewej... a może na odwrót? Podczas gdy znany stylistka i pozostali fryzjerzy zachwycali się efektem swojej pracy, ja starałam się powstrzymać łzy.

Po skończonej sesji zadzwoniłam do kolegi, prosząc, aby po mnie przyjechał, bo wstydziłam się wyjść na ulicę – uważałam, że wyglądam jak czupiradło. Gdy kolega zobaczył mnie wymykającą się z salonu, tylko uśmiechnął się z politowaniem, zdjął swoją czapeczkę z daszkiem i wręczył mi ją. Cóż, on również, tak jak ja, nie poznał się na modzie i panujących trendach.

Na szczęście moja fryzjerska gehenna nie trwała długo i kilka tygodni później kolor moich włosów przypominał już ciemny blond, a krótkie cięcie pozwoliło mi wrócić do bardziej naturalnego wyglądu.

Za kulisami

Fashion week to bardzo ważne wydarzenie w kalendarzu każdego projektanta, stylisty czy modelki. Już kilka tygodni wcześniej Paryż zalewa fala dziewczyn ze wszystkich kontynentów, które stają w szranki na castingach, by wziąć udział w najważniejszych pokazach mody. Większość z nich to młodziutkie dziewczyny, po raz pierwszy próbujące swoich sił na wybiegu. Można tam oczywiście spotkać także doświadczone modelki, biorące udział w pokazach w Mediolanie, Nowym Jorku i Paryżu już od kilku sezonów.

Atmosfera zarówno na rewii, jak i na castingach zawsze jest nerwowa, ale jeśli myślicie, że podzielę się z wami opowieściami o przykrych wydarzeniach, które mi się przydarzyły, to jesteście w błędzie. Takie sytuacje jak kradzież butów tuż przed wejściem na wybieg czy rozcięcie sukienki można zobaczyć głównie w filmach. No

dobrze, doświadczyłam kilku takich złośliwości na polskich pokazach, jednak nigdy w Paryżu. W kraju starsze koleżanki nie zawsze przychylnie patrzyły na nowicjuszek, zwłaszcza te, które dostały szansę na wyjazd za granicę. Na polskich pokazach modelki potrafiły nie tylko warczeć na siebie, ale również nie ustąpić miejsca na wybiegu, a czasami nawet mocno szturchnąć debiutantkę, którą mijały podczas pokazu. W Paryżu zawsze spotykałam się z życzliwością. Kiedy przed pokazem Stéphane'a Rollanda podczas paryskiego *fashion weeku* dostałam zdecydowanie za duże buty, jedna z bardziej doświadczonych dziewczyn zamieniła się ze mną, proponując mi swoje, o numer mniejsze. Gdy prezentowałam kolekcję Roberta Abi Nadera i tuż przed wejściem na wybieg naderwało mi się ramiączko wspaniałej koronkowej sukni, stojąca za mną modelka wyjęła wsuwkę ze swoich włosów i szybko wpięła ją w materiał, dzięki czemu mnie uratowała.

Za kulisami panuje zgiełk, pośpiech i zamieszanie. Zdarza się, że wizażystka wsadzi modelce pędzelek do oka, a fryzjer przypali jej ucho lokówką. Podczas jednego z pokazów dla paryskiego domu mody Chanel nieuwważna asystentka stylistki przycięła mi skórę na udzie zamkiem błyskawicznym wysokich skórzanych szpilek. Głośno krzyknęłam (przyznaję, użyłam dość wulgarnych polskich słów), a skutkiem tego nieprzyjemnego incydentu był ogromny siniak oraz kilka kropel krwi, które poplamiły mój strój. Inna młoda dziewczyna, stażystka u Soni Rykiel, niechcący wbiła mi szpilkę w brzuch, usiłując podwinąć mój sweter. Były to jednak wypadki wynikające z chaosu panującego podczas przygotowań. Obie asystentki serdecznie mnie przeproszały i były zażenowane własną nieuwagą.

Wyzwanie to ubranie

To nieprawda, że modelki w związku z wykonywanym zawodem mają dobry gust.

Wydawałoby się, że mieszkając w Paryżu i pracując w branży modowej, dziewczyny powinny wyróżniać się smakiem i wyglądać jak z żurnala. Część z nich to faktycznie fanki mody, które potrafią się dobrze zaprezentować, bez problemu łączą ubrania, tworzą świetne

stylizacje i zawsze wyglądają rewelacyjnie. Jednak inne bardziej przypominają klauna niż ikonę mody. Chcąc się wyróżnić w środowisku, gotowe są zrobić wszystko. Niestety, to najlepsza droga, by stać się pośmiewiskiem tego stylowego świata.

Jedną z takich ofiar mody była młodziutka Rosjanka, która mimo wielkiej szafy pełnej markowych ciuchów ubierała się jak strach na wróble. Jej narzeczony, wyjątkowo bogaty, starszy od niej Rosjanin, nie szczędził pieniędzy na zachcianki swojej ukochanej. Wydawałoby się, że kupując ubrania u wielkich projektantów, takich jak Céline, Nina Ricci, Dior czy Lanvin, nie da się popełnić modowego *faux pas*. Okazuje się jednak, że jest to możliwe – wystarczy zestawić niepasujące do siebie bogato zdobione jeansy, szpilki z jasnej skóry i przypominającą gorset bluzkę w krzykliwych kolorach. A jeśli do tego doda się mnóstwo biżuterii: kolczyki, łańcuszki, bransoletki i pierścionki, to efekt bożonarodzeniowej choinki gwarantowany. Agencja Rosjanki zatrudniła personal shoppera, czyli osobistego doradcę zakupowego, aby zabrał dziewczynę do sklepów i ubrał jak seksowną i elegancką kobietę, a nie podrzędną tancerkę kabaretową.

Jeśli będąc w Paryżu, zechcecie skorzystać z usług doradcy zakupowego specjalizującego się w stylu *vintage* i nic za to nie zapłacić, polecam wizytę w butiku Thanx God I'm a V.I.P. przy rue de Lancry. Markowe ciuchy od projektantów w bardzo przystępnych cenach i porady wspaniałej właścicielki sklepu, stylistki z powołania, przemienią was w prawdziwe paryżanki. Wyszywana cekinami wieczorowa suknia od Guya Laroche'a wygląda jak z filmu z lat osiemdziesiątych, letnia, zwiewna kreacja w kwiaty projektu Johna Galliano przeniesie was w lata dziewięćdziesiąte, a piękny płaszcz z futerkiem ze srebrnego lisa z kolekcji Diora i klasyczna kopertówka Chanel pozwolą się wam poczuć jak dama z lat pięćdziesiątych. Sklep Thanx God I'm a V.I.P, nazywany przez paryżan TGV²⁾, to więcej niż butik odzieżowy. To prawdziwy *concept store*³⁾ z pomysłem nie tylko na wizerunek, ale również na sposób bycia. Mimo że lubię styl *vintage*, wolę nosić bardziej współczesne ubrania, jednak wiele moich koleżanek uważa ten sklep za najlepszy modowy butik Paryża.

2) TGV – to dowcipne nawiązanie do skrótu nazwy francuskiej

sieci szybkich kolei: Train à Grande Vitesse (TGV).

3) *Concept store* – sklep z pomysłem, stworzony zgodnie z określoną ideą, myślą przewodnią, najczęściej właściciela sklepu; miks sklepu i galerii stanowiący alternatywę dla zwykłych, popularnych butików w centrach handlowych.

Ubranie czy przebranie?

W stolicy mody nawet przebrani za błazna nie wzbudzić zainteresowania. Na ulicach Paryża często można spotkać kobiety i mężczyzn afrykańskiego pochodzenia ubranych w tradycyjne stroje z Czarnego Lądu. Codziennie mijam Hinduski czy Pakistanki w sari albo Arabki w długich sukniach i chustach. Zwróciłam uwagę, że bez względu na porę roku i temperatury panujące na zewnątrz te kobiety prawie zawsze chodzą po ulicy w klapkach, czasami tylko zakładają do nich skarpetki, co wygląda dość zabawnie, zwłaszcza zimą w zestawieniu z kurtką puchową. Niektóre matki odprowadzają rano swoje pociechy do przedszkola czy szkoły w swetrze zarzuconym na piżamę, co również nikogo nie dziwi.

Przyznam się, że ja także czasami wychodzę z domu ubrana jak na bal maskowy. Wielokrotnie zdarzyło mi się pójść w niedzielę wieczorem do pobliskiego araba, czyli sklepiku spożywczego czynnego do późna, w spodniach dresowych Martina, japonkach założonych na skarpetki w zimie lub butach Ugg w środku lata, a w dodatku w okularach słonecznych w nocy, aby nie było widać, że nie jestem umalowana i straszę, oraz oczywiście z wielkim kołtunem na głowie.

Moja mama na zimowych wyprzedażach kupiła słomkowy letni kapelusz z wielkim rondem, nadający się na piaszczyste plaże Saint-Tropez, a nie na paryskie ulice o tej porze roku. Kapelusz nie mieścił się do reklamówki, więc mama włożyła go na głowę i była bardzo zdziwiona, że nikt nie przyglądał jej się z dziwną miną, choć paradowała w nim przez pół dnia.

Może paryżanie nie przebierają się aż tak bardzo jak na przykład

londyńczycy czy mieszkańcy Tokio, ale są zdecydowanie bardziej liberalni w kwestii wyglądu niż Polacy.

Gustownie i szykownie

Efektom upodobania paryżan do ekstrawagancji są sklepy, gdzie można znaleźć ubrania, które spodobają się ludziom o przeróżnych gustach. Lubicie styl gotyckiej mangi rodem z Japonii? Wolicie styl hippy? Preferujecie second-hand? Świetnie. W Paryżu znajdziecie coś dla siebie. W stolicy Francji wciąż można uszyć gorset dopasowany do waszej figury, zamówić ręcznie robiony parasol z rączką ze srebra i inicjałami przyszłego właściciela czy ręcznie szyte eleganckie skórzane buty. Oczywiście, luksusowe usługi mają horrendalne ceny, ale w stolicy Francji zawsze znajdą się na nie chętni. Ja również skusiłam się na ręcznie wykonane arcydzieło...

Gdy po raz pierwszy zobaczyłam moją teściową, miała na sobie długą suknię wieczorową, piękne kolczyki i kolie z ogromnym kamieniem szlachetnym. Przypatrując się jej aparycji i zachowaniu, doszłam do wniosku, że reprezentuje paryską klasę wyższą. Matka mojej teściowej, francuska arystokratka, wychowała ją na osobę zwracającą uwagę na wygląd. Przez siedemnaście lat znajomości nigdy nie widziałam jej w dresie, legginsach czy niedbałym stroju domowym. Moja teściowa to typowa paryżanka starej daty: zawsze szykowna, bo przecież nigdy nie wiadomo, kogo spotka lub kto ją niespodziewanie odwiedzi. Od wielu lat czyta najbardziej paryski z paryskich magazynów: „Elle”, ubiera się u paryskiej projektantki Soni Rykiel, nosi paryskie torebki od Louisa Vuittona, pije herbatę z paryskiej herbaciarni Mariage Frères, a na ważne uroczystości wybiera bardzo paryskie kapelusze...

Le chapeau, kapelusz, w powojennej Polsce zdecydowanie stracił na popularności. Niestety, sytuacja polityczno-ekonomiczna naszego kraju nie sprzyjała modzie i wyszukanej elegancji. W Paryżu sprawy potoczyły się zupełnie inaczej. Kapelusz nie jest dziś równie popularny, jak na początku dwudziestego wieku, jednak stolica Francji o nim nie zapomniała. To wciąż bardzo ważny element stroju, zakładany na

specjalne okazje, dodający szyku każdej kobiecie. Coco Chanel, zanim stała się najbardziej znaną i rozpoznawalną projektantką na świecie, robiła kapelusze.

Paryżanki na eleganckich przyjęciach ślubnych zawsze pojawiają się w kapeluszach. Gdy z moim francuskim narzeczoną podjęliśmy decyzję, że ślub i wesele odbędą się w Polsce, moja teściowa spytała, czy będą kapelusze. No i były. Zarówno teściowa i wszystkie jej koleżanki, jak i moje polskie przyjaciółki przyszły na ślub w barwnych i szykownych nakryciach głowy. Polki zaproszone na uroczystość były zachwycone informacją o francuskim zwyczaju zakładania kapeluszy i wiem, że pojawienie się w kościele w stylowych nakryciach głowy sprawiło im ogromną radość. Moja mama, siostra, ale również ciocie i przyjaciółki stanowiły dużą konkurencję dla paryżanek.

Ja na swoim ślubie oczywiście kapelusza nie nosiłam, ale miałam wiele innych okazji do założenia tego wspaniałego dodatku. Większość kapeluszy kupiłam w sklepach specjalizujących się w sprzedaży gotowych nakryć głowy. Jednak gdy moja młodsza siostra się zaręczyła, a wkrótce potem ogłosiła datę ślubu, skorzystałam z okazji, aby zamówić mój pierwszy – i chyba już ostatni ze względu na cenę – kapelusz u prawdziwego modysty. Mimo że ten zawód odchodzi w Polsce w zapomnienie, nadal w kilku większych miastach można znaleźć salony, gdzie wytwarza się nakrycia głowy. We Francji, a zwłaszcza w Paryżu, nie jest to popularna profesja, mimo to istnieje wiele butików, w których robi się kapelusze na zamówienie. To właśnie do jednego z takich miejsc udałam się, aby zamówić moje wymarzone nakrycie głowy.

Monsieur Pinabel jest jednym z najlepszych modystów w Paryżu i jednym z lepszych we Francji. Dowiedziałam się od niego wielu ciekawych rzeczy o kapeluszach. Pomógł mi dobrać odpowiedni kształt i rozmiar i udzielił wielu rad. Powiedział, że przy twarzy drobnej i szczupłej powinniśmy zdecydować się na nakrycie głowy, które ją powiększy. Gdy natomiast buzia jest dość duża i krągła, należy wybrać kapelusz, który ją wysubtelni. Poinformował mnie również, że kapelusz musi być dopasowany do sylwetki i proporcjonalny do wzrostu, dając mi do zrozumienia, że przy moich stu osiemdziesięciu centymetrach nie

zapropnuje mi toczka.

Po kilku tygodniach i dwóch przymiarkach odebrałam prawdziwe dzieło sztuki: piękny, wymarzony i jedyny w swoim rodzaju kapelusz, którego nie powstydziałaby się nawet księżna Kate – czarny, wykonany z delikatnie plecionego sizalu, z wielkim rondem, z wplecioną ogromną kokardą i udekorowany piórami. Teraz leży w specjalnym pudle w mojej garderobie, czekając na kolejne wyjątkowe okazje. Może kiedyś wybierę się na Prix de Diane, wyścigi konne odbywające się co roku w Chantilly, gdzie oprócz rasowych koni można zobaczyć paryskie arystokratki w strojnych nakryciach głowy.

Paryskie marki

Mówiąc o modzie i Paryżu, koniecznie trzeba wspomnieć o tutejszych znanych domach mody oraz ekskluzywnych butikach i galeriach. To właśnie w Paryżu karierę rozpoczynali najwięksi światowi projektanci.

To tutaj w 1910 roku Coco Chanel otworzyła swój pierwszy sklep przy 21 rue Cambon, który nadal istnieje i jest mekką wszystkich miłośników mody. Również w Paryżu w połowie lat czterdziestych ubiegłego wieku Christian Dior założył swój pierwszy butik przy 30 avenue Montaigne. Dziś ulica kojarzona jest z luksusem, przepychem i sukniami *haute couture*. To w stolicy Francji przy rue du Faubourg Saint-Honoré rodzina Hermès, specjalizująca się w produkcji siodeł i akcesoriów do jazdy konnej, sprzedawała galanterię skórzaną. Dziś na torebki marki Hermès, takie jak Birkin czy Kelly, wykonane ze skóry pytona lub krokodyla, międzynarodowe modnisie czekają miesiącami. Także w Paryżu całkiem niedawno, bo w latach dziewięćdziesiątych, młody Christian Louboutin otworzył swój pierwszy butik i wykreował ponadczasowy model szpilek: Pigalle – lakierowane czółenka profilowane w lekki szpic na niebotycznie wysokim obcasie w kolorze czarnym lub beżowym. Dziś przed sklepem Louboutina codziennie ustawiają się kolejki kobiet z różnych państw, które jako pamiątkę z wycieczki do Paryża pragną sobie przywieźć wymarzoną parę szpilek sławnego projektanta. Oczywiście, trzeba jeszcze wspomnieć o klasyku:

w 1854 roku Louis Vuitton, produkujący wówczas walizki, rozpoczął działalność właśnie w stolicy Francji.

Miasto przyciąga młodych projektantów, którzy tak jak ich poprzednicy marzą o sukcesie na skalę międzynarodową. Organizowane są tu pokazy *prêt-à-porter* pozwalające kreatorom zaprezentować ich najnowsze kolekcje i pokazać nam, jak będziemy się ubierać w przyszłym sezonie.

Paryż wspomaga również młodych projektantów i studentów. Najstarsza, powstała w 1841 roku, i zarazem jedna z najbardziej prestiżowych szkół mody na świecie to właśnie paryska École supérieure des arts et techniques de la mode, potocznie zwana ESMOD. Wielu sławnych projektantów i stylistów może się pochwalić jej dyplomem i wygraną w konkursie na najlepszego młodego kreatora. Do tego znakomitego grona należą między innymi Olivier Rousteing i Christophe Decarnin, dyrektorzy artystyczni luksusowego domu mody Balmain. Również siostry Ece Ege i Ayşe Ege, założycielki znanej firmy Dice Kayek, są laureatkami paryskiej szkoły mody. ESMOD co roku organizuje wielki wysokobudżetowy show, na którym prezentuje kreacje swoich studentów i promuje ich w hermetycznym świecie mody. W jury połączonego z pokazem konkursu prawie zawsze zasiadają modowe gwiazdy, takie jak Azzedine Alaïa, Chantal Thomass, Paco Rabanne, Jean-Charles de Castelbajac, a nawet sam Karl Lagerfeld.

Od ubrań do sztuki

Paryski świat mody to przede wszystkim *haute couture*, czyli kwintesencja elegancji i oryginalności. *Haute couture* dosłownie znaczy „wysokie krawiectwo”. Kreacje tego typu to w większości piękne suknie, często szyte ręcznie i wyłącznie na zamówienie. Pojedyncze, unikatowe egzemplarze powstają z wysokiej jakości tkanin, a czasem nawet z kamieni szlachetnych. Termin *haute couture* jest prawnie zastrzeżony i aby dołączyć do elitarnego grona projektantów wytwarzających tego typu ubrania, należy spełniać wiele różnych warunków.

Mimo że za ojca *haute couture* uważa się Anglika, niejakiego Mr.

Wortha, to jednak początki tego prestiżowego nurtu krawiectwa sięgają wcześniejszej epoki. Pierwszy salon kobiecej mody został otwarty przez *madame* Rose Bertin w 1770 roku, a jej główną klientką była sama Maria Antonina. *Madame* Rose wprowadzała na francuskim dworze awangardowe rozwiązania i stylizacje, tak jak współcześni kreatorzy.

Ćwierć wieku później Louis Hippolyte Leroy został mianowany królem krawców swojej epoki. Ubierał cesarzową Józefinę, ale również Napoleona. Jako właściciel renomowanego butików sam mógł decydować, kto będzie jego klientem.

Dopiero gdy w dziewiętnastym wieku Paryż zaczął przyciągać setki młodych i kreatywnych krawców z całej Europy, do stolicy Francji przybył wspomniany Worth. Anglik wprowadził innowacyjne techniki sprzedaży strojów. Ekskluzywny butik w samym sercu Paryża oraz pierwsze pokazy mody, podczas których kolekcje prezentowały modelki, to tylko preludium zapoczątkowanej przez niego odzieżowej rewolucji. Młody projektant podbił stolicę Francji swoją energią, entuzjazmem i oryginalną strategią rynkową, stając się ulubieńcem modnych paryżan. Z czasem został okrzyknięty ojcem *haute couture*.

Kolejne rozdziały historii mody tworzyły takie postaci jak Paul Poiret, Elsa Schiaparelli, Jeanne Lanvin czy Christóbal Balenciaga. Wielcy kreatorzy podnieśli rangę mody, czyniąc z niej gałąź sztuki.

Nasi też tu są!

Dziś kolekcje *haute couture* są prezentowane wyłącznie przez poważane domy mody należące do światowej czołówki. To zamknięte grono ostatnio powiększyło się o polskie nazwisko.

Gosia Baczyńska, znana i ceniona w Polsce projektantka, w październiku 2013 roku jako pierwsza Polka pokazała swoją kolekcję podczas oficjalnego programu *haute couture*. Znalazła się w doborowym towarzystwie między innymi włoskiej marki Miu Miu i francuskiej Hermès. Miałam wielką przyjemność znaleźć się na widowni podczas tego niezwykle ważnego wydarzenia dla polskiego świata mody. Gosia Baczyńska stworzyła piękną kolekcję, która została wspaniale przyjęta przez paryski świat mody. Zaproszeni goście, a także międzynarodowa

prasa byli zauroczeni stylizacjami projektantki. Zwiewne, proste w kroju stroje wyróżniały się na tle dotychczasowych kreacji stylistki. Odniosłam wrażenie, że zostały stworzone dla kobiety silnej i niezależnej, która decyduje o sobie i swoim losie. Bardzo mi się podobały.

Pokaz odbył się w surowych wnętrzach Palais de Tokyo, paryskiego muzeum sztuki nowoczesnej. Mimo licznych obowiązków projektantka znalazła czas, aby ze mną porozmawiać i zrobić pamiątkowe zdjęcie. Była również na tyle miła, że umówiła się ze mną na kawę kolejnego dnia w celu przeprowadzenia wywiadu dla polonijnej gazety internetowej, z którą wówczas współpracowałam. Rozmowa przebiegła w bardzo miłej atmosferze, a sama projektantka była uśmiechnięta i zadowolona ze swojego debiutu. Nasza rozmowa przedłużyła się i gdy w końcu dotarliśmy do showroomu, gdzie prezentowała kolekcję, okazało się, że francuski asystent zamknął lokal, a wszyscy pracujący w nim ludzie poszli już do domu. Było dużo zamieszania, bo Gosia następnego dnia rano wraz z polską ekipą i całą kolekcją wracała do Warszawy. Na szczęście po wielu telefonach i szukaniu konsjerżki udało nam się znaleźć osobę, która ponownie otworzyła biura.

W sobotę rano Gosia Baczyńska została przyjęta w Polsce jak prawdziwa gwiazda. No cóż, weszła do elity mody. Mimo to pozostała wierna sobie i gdy spotkałyśmy się po jej kolejnym pokazie, nadal była równie uprzejma i skromna.

Cudze cenicie, swego nie znacie – tak bym podsumowała postrzeganie tej projektantki. Niemal żaden przedstawiciel polskich mediów nie pofatygował się na paryski tydzień mody, aby zobaczyć pierwszy w historii pokaz Polki wpisanej na listę *haute couture*. Jednak gdy okazało się, że Baczyńska odniosła sukces, dziennikarze zaczęli się interesować tym wydarzeniem. Na jej kolejnym pokazie można już było dostrzec polskie gwiazdy, celebrytki i blogerki modowe siedzące w pierwszym rzędzie... Szkoda, że zabrakło ich kilka miesięcy wcześniej.

Moda na co dzień

Na szczęście Paryż to nie tylko luksusowe sklepy z bardzo drogimi ubraniami i akcesoriami. Przeciętą paryżanka nie zarabia fortuny i nie biega po ulicy w szpilkach od Rogera Viviera kupionych w butikach przy rue du Faubourg Saint-Honoré. Prawdziwa paryżanka gustuje za to w lokalnych markach odzieżowych i zna najlepsze adresy, pod którymi można dostać fajne ciuchy w przystępnej cenie.

Do najbardziej rozpoznawalnych paryskich marek należy Claudie Pierlot, już od lat osiemdziesiątych ubierająca *parisiennes*. Eleganckie stroje w stonowanych barwach nierzucających się w oczy, a jednak zawsze podążające za trendami natychmiast podbiły serca kobiet uwielbiających szyk i minimalizm. Od niedawna brand Claudie Pierlot połączony z Sandro, jedną z ważniejszych marek paryskich, i jej młodszą siostrą Maje stanowią mocną grupę odzieżową na tutejszym rynku. Wszystkie miejscowe modnisie kupują tam ciuchy.

Rynek odzieżowy stolicy Francji tworzą marki ubierające już kolejne pokolenia modnych paryżanek. Jedną z ważnych postaci tego świata jest Agnès Troublé, która w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku stworzyła Agnès B., dziś jedną z lepiej prosperujących firm odzieżowych, ale również kosmetycznych. Swobodny, często chłopięcy styl, prosty krój i minimalizm kolorystyczny sprawiły, że paryżanki szybko pokochały kreacje projektantki. Ubrania Agnès B. to kwintesencja paryskiego stylu, prostego i nonszalanckiego. Sam Quentin Tarantino poprosił Agnès Troublé o zaprojektowanie ubrań dla bohaterów kultowego już filmu *Pulp Fiction*. Również David Lynch, zafascynowany prostotą kroju, zaproponował jej stworzenie kostiumów do filmu *Mulholland Drive*. To między innymi dzięki temu paryska marka stała się popularna także w Anglii, Stanach Zjednoczonych i Japonii.

Ikona *prêt-à-porter*, bez której tutejszy rynek odzieżowy nie byłby tym, czym jest, jest paryżanka od pokoleń: Sonia Rykiel, właścicielka imperium modowego, w skład którego wchodzi kilka marek sygnowanych jej nazwiskiem. Kolekcje żeńska, męska, dziecięca, akcesoria dla domu, a nawet *sex toys* składają się na jej designerskie królestwo. Projektantka stała się znana w latach sześćdziesiątych, gdy

popularna aktorka Audrey Hepburn podczas zakupów w jej butikku zaopatrzyła się w kilka oryginalnych, kolorowych sweterków w charakterystyczne paski. Stroje sygnowane nazwiskiem Rykiel są wygodne, dzianinowe, bawełniane i wełniane, zawsze eleganckie. Sweter tej projektantki wisi w szafie każdej modnej paryżanki. Sama jestem fanką pościeli jej projektu, kilka sztuk trzymam w komodzie w sypialni.

Kolejną paryską marką, najbardziej rockową, jest Zadig et Voltaire. Nazwa pochodzi od eseju *Zadig, czyli Los* Voltaire'a, a jej twórcą jest Thierry Gillier, który zafascynowany odwagą i charyzmą tytułowego Zadiga postanowił jego imieniem nazwać swoją firmę odzieżową. Marka, stworzona pod koniec lat dziewięćdziesiątych, przebojem weszła na tutejszy rynek, a jej kaszmirowe swetry z deseniem trupiej czaszki czy skrzydeł anioła to paryski hit już od kilku lat. Firma zdobyła również renomę na rynku azjatyckim i stała się niezwykle popularna w Japonii czy Hongkongu.

Azzedine Alaïa jest najbardziej arabskim z paryskich projektantów. Jego kreacje to w większości wyjątkowo piękne suknie, doskonale podkreślające kobiece kształty. Projekty artysty nosiły takie gwiazdy jak Cindy Crawford, Grace Jones i Tina Turner. Jeśli chcecie dołączyć do tego grona i stać się właścicielkami jednej ze zmysłowych kreacji projektanta, to jego outletowy butik spełni wasze marzenia.

Gdyby nie Stella McCartney, ubrania marki Chloé nie podbiłyby Hollywood. Kirsten Dunst, Natalie Portman czy Sofia Coppola należą do wielu klientek tego paryskiego domu mody. Młode paryżanki z dumą noszą torebki Paddington czy Camera Bag będące obiektem pożądania każdej dziewczyny, która pragnie być modna. Niestety, to bardzo droga marka i taka wymarzona torebka może kosztować nawet kilka tysięcy euro. Na szczęście w Paryżu znajduje się outlet Chloé, gdzie można taniej nabyć piękne ubrania i akcesoria.

Buty, buty i jeszcze raz buty

Obuwie stanowi ważny element ubioru modnej paryżanki, a buty marki Repetto to synonim połączenia paryskiego szyku i wygod.

W 1947 roku krawcowa Rose Repetto na prośbę swojego syna, tancerza baletowego, stworzyła pierwszą parę baletek pointów, które były zdecydowanie bardziej komfortowe niż inne tego typu produkty dostępne na ówczesnym rynku. Gdy okazało się, że jej baletki podbijają serca tancerzy, postanowiła otworzyć swój pierwszy butik i szyc buty na miarę. Kilka lat później w jej atelier powstały baletki do chodzenia – w tych butach Brigitte Bardot wystąpiła w filmie *I Bóg stworzył kobietę*. Dzięki tej produkcji aktorka stała się międzynarodową gwiazdą kina, a baleriny Repetto zyskały rozpoznawalność i uznanie. Od tej pory popularność Repetto rosła. Dziś marka wciąż wytwarza obuwie przeznaczone do tańca, ale przede wszystkim proponuje szeroką gamę baletek do codziennego użytku. Jeśli chcecie kupić te najbardziej paryskie z francuskich butów, balerinki Repetto można dostać w butikach przy rue de la Paix lub... w outlecie mającym w ofercie większość modeli po bardziej atrakcyjnych cenach.

Jonak to istniejąca już od ponad pięćdziesięciu lat paryska firma obuwnicza, której pierwszy butik powstał na lewym brzegu Sekwany, w słynnej Dzielnicy Łacińskiej. To stamtąd marka rozpoczęła podbój pozostałej części miasta, stając się z czasem najpopularniejszą firmą obuwniczą na francuskim rynku. Buty Jonak to synonim wysokiej jakości, przystępnej ceny i paryskiego szyku. Uwielbiam tę markę i osiemdziesiąt procent zawartości mojej szafy z butami to właśnie ich produkty. Jonak oferuje zarówno szpilki i baleriny, jak i botki stylizowane na motocyklowe. Jeśli macie ochotę na oryginalną, estetyczną i praktyczną pamiątkę z Paryża, to polecam wizytę w ich outlecie.

Shopping Queen

Moda to ubrania, buty, torebki. To pokazy projektantów, edytoriale w ekskluzywnych magazynach i reklamy telewizyjne, które dyktują nam, co jest *in*, a co już *out*. Dla mnie zaś moda to przede wszystkim przygoda, dzięki której mogę zdobywać nowe i ciekawe doświadczenia.

Bardzo podobało mi się chodzenie po wybiegach, a jeszcze bardziej oglądanie pokazów. Jednak moją największą modową przygodą

było uczestnictwo w programie telewizyjnym *Les reines du shopping*⁴). Któregoś dnia, skacząc po kanałach, natrafiłam na jego pilotażowy odcinek i pomyślałam, że to coś dla mnie. W szranki staje pięć kandydatek, które mając określony budżet, muszą skompletować stylizację zgodną z tematem narzuconym przez prowadzącą konkurs, Cristinę Cordulę. Piękna i dowcipna Cristina, Brazylijka z pochodzenia, to była modelka od wielu lat mieszkająca w Paryżu i będąca gospodynią licznych programów modowych w tutejszej telewizji. Podbiła serca wielu ludzi mieszkających nad Sekwaną.

4) Polska wersja tego programu nosi tytuł *Shopping Queen*.

Dziewczyny mają ograniczony czas na zakupy: tylko trzy godziny i ani sekundy dłużej. Mogą odwiedzać wyłącznie butiki wcześniej wybrane przez producenta programu. Każdego dnia jedna z kandydatek do tytułu Królowej Zakupów rusza na podbój Paryża, mając nadzieję, że to właśnie jej stylizacja zostanie uznana za najlepszą. Po zakupach uczestniczki konkursu prezentują swój *outfit* prowadzącej i konkurentkom. Odbywa się minipokaz, podczas którego pozostałe kandydatki dokładnie przyglądają się modelce, a następnie publicznie, zwykle bez skrpułów i nie siląc się na dyplomację, wygłaszają swoją opinię. Dziewczyny potrafią być w stosunku do siebie niemiłe, czasami wręcz aroganckie, co tylko dodaje pikanterii programowi. *Les reines du shopping* oglądają Francuzki w każdym wieku, a ponieważ paryżanie oprócz samych siebie i jedzenia kochają również modę, od ponad roku bije on rekordy popularności.

Gdy po wysłaniu zgłoszenia dostałam telefon z prośbą o pojawienie się na castingu, bardzo się ucieszyłam. Skakałam ze szczęścia, gdy potwierdzono moje uczestnictwo w programie i ustaliliśmy jego szczegóły. Musiałam wziąć wolne w pracy (szefowi powiedziałam, że zachorowała moja córeczka, bo przecież gdybym mu zakomunikowała, że będę biegać po mieście w poszukiwaniu stroju na wybieg, to by mnie wyśmiał). To był bardzo długi i męczący, lecz jednocześnie fascynujący i pełen emocji tydzień. Ja robiłam zakupy w czwartek.

Gdy rano rozpoczęły się zdjęcia do programu, czułam lekkie

zdenerwowanie. Dziewczyny prezentujące się przede mną podniosły poprzeczkę bardzo wysoko. Oczywiście wszyscy w kółko powtarzali, że jestem bardzo groźną kandydatką ze względu na to, że wcześniej pracowałam jako modelka. Presja była olbrzymia.

Gdy stoper zaczął odmierzać czas, rozpoczęłam szalony wyścig po krętych uliczkach miasta. Dopiero w trzecim sklepie udało mi się kupić sukienkę, która pasowała do tematu: „Uwodzicielska w skórze”. Zadowolona z siebie odetchnęłam, gdyż pozostały mi do kupienia już tylko buty, torebka i dodatki. No i oczywiście powinnam zrobić się na bóstwo w jednym z paryskich salonów urody.

Po obiedzie zjedzonym w towarzystwie ekipy filmowej zaczęłam buszowanie po kolejnych sklepach. Producent programu wybrał dla mnie dwa salony obuwnicze. Pierwszy okazał się sklepikiem z obuwiem sportowym. Musiałam więc znaleźć wymarzone pantofle na obcasie w drugim. Ten butik znajdował się tuż obok placu Pigalle, co wcale nie oznacza, że miał w ofercie model Louboutina o tej samej nazwie. Gdy weszłam do środka, załamalam się. We wnętrzu unosił się zapach plastiku zmieszany z silną wonią kleju. Na półkach stały szpilki i koturny, które bardziej nadawałyby się dla transwestyty pracującego po godzinach w Lasku Bulońskim niż dla Królowej Zakupów. Wśród wielu plastikowych i gumowych modeli znalazłam dwa wyglądające dość dobrze. W pierwszych butach nie dałam rady przejść nawet kilku metrów. Zrobiono je chyba z metalu, a przynajmniej takie sprawiały wrażenie. Zdecydowałam się więc na drugą parę. Czarne lakierowane buciki na dziesięciocentymetrowym obcasie były źle wykończone, ale nie miałam wyjścia.

Na sukienkę i buty wydałam nieco ponad dwadzieścia procent zakupowego budżetu. Byłam przekonana, że kolejne dwa sklepy z akcesoriami, które odwiedzę, będą zaopatrzone w przepiękne torebki i dodatki i chociaż na tym etapie będę się mogła cieszyć zakupami. Pierwszy z butików okazał się sklepem z biżuterią robioną na zamówienie. Młoda projektantka zaproponowała mi wiele subtelnych ozdób. Zdecydowałam się na dwie bransoletki i naszyjnik na cieniuteńkim łańcuszku.

Mimo kolejnego zakupu nadal miałam dużo pieniędzy, sądziłam

więc, że w następnym sklepie wydam dużą kwotę na fantastyczną torebkę. Jednak przeżyłam ogromne rozczarowanie. Spodziewałam się designerskiego butiku i młodego projektanta, a trafiłam do lumpeksu, który udawał stylowy sklep *vintage*. Po szybkim przejrzaniu modeli proponowanych przez właścicielkę second-handu zdecydowałam się na czarną lakierowaną kopertówkę z ekologicznej skóry imitującej skórę krokodyla. (Tak naprawdę torebkę wykonano z plastiku, ale ekoskóra lepiej brzmi).

Niezadowolona wyszłam z butiku, licząc na pełen relaks w salonie urody. Za pieniądze, które mi zostały, mogłam śmiało prosić o uczesanie, makijaż, manicure i sama nie wiem co jeszcze. Jednak producent programu zaproponował mi zakład fryzjerski, w którym czas zatrzymał się w latach dziewięćdziesiątych. Na szczęście dokładnie wiedziałam, jak ma wyglądać moja fryzura, więc błyskawicznie usiadłam w fotelu i pokazałam fryzjerce zdjęcie w telefonie, dodając, że ma dziesięć minut na jej zrobienie i że ktoś musi mnie umalować. Okazało się, że wizażystki nie ma akurat w salonie. Musiałam więc natychmiast znaleźć swoją kosmetyczkę na dnie torebki i rozpocząć przeobrażanie się z istoty zmęczonej i zestresowanej w zmysłową i ponętną kobietę. Gdy stoper się zatrzymał, byłam już uczesana i umalowana. Ekipa zabrała mnie do studia nagraniowego, gdzie czekały moje konkurentki.

I oto nadszedł czas prezentacji! Byłam gotowa: ubrana w czarną krótką sukienkę z dekoltem na plecach, ciemne rajstopy, czarne lakierowane szpilki, z torebką z krokodyla w dłoni. Delikatny naszyjnik założyłam tak, że opadał na moje nagie plecy, sięgając dokładnie linii łopatek. Włosy miałam elegancko upięte z boku głowy. *Smoky eyes* w ciemnej tonacji oraz gruba warstwa przezroczyściego błyszcząca dopełniały całości.

Z głośników huknęła muzyka, a ja ruszyłam na wybieg. Denerwowałam się bardziej niż na profesjonalnych pokazach. Z uśmiechem na twarzy starałam się pokazać, że jestem zadowolona ze swoich zakupów i swojego wyglądu. Modeling nauczył mnie, że nieważne, co włożysz, ważne, jak to będziesz nosić. Nawet jeśli macie na sobie worek po ziemniakach, a pokażecie, że świetnie się w nim

czujecie i dobrze wyglądacie, to inni w to uwierzą. Jednak moje konkurentki obserwowały mnie z pokerowymi twarzami. Ich spojrzenia niczego nie wyrażały.

Po zakończonej prezentacji usiadłam na wysokim taborecie naprzeciwko jury. Krytyka była na poziomie i konstruktywna. Dziewczyny zarzuciły mi tylko monotonię kolorystyczną – byłam cała w czerni. Uważały też, że mój strój... nie pasuje do tematu. Przyznały, że wyglądałam zmysłowo, ale zwróciły uwagę, że sukienka nie jest cała skórzana, tylko łączy skórę z dzianiną. Eee... Nigdzie nie było powiedziane, że mam być w skórze od stóp do głów jak jakiś harleyowiec. Tylko jedna z nich stwierdziła, że podoba jej się całość i nie ma mi nic do zarzucenia.

Następnego dnia ostatnia kandydatka do tytułu Królowej Zakupów pokazała nam rezultat swoich starań, a później przyszedł czas na finał. Gdy już wszystkie oceniłyśmy stylizacje pozostałych dziewczyn, pisząc na lustrze czerwoną szminką noty w skali od jednego do dziesięciu, na wybiegu pojawiła się prowadząca program, która ma decydujący głos w kwestii wygranej. Oceniała nas po kolei, udzielając przy tym wartościowych rad, a potem ogłosiła wyniki konkursu. Okazało się, że wygrałam. Moje zdziwienie było ogromne. Nie spodziewałam się, że to właśnie ja zostanę Królową Zakupów w jednym z najmodniejszych miast świata. Udowodniłam, że nawet w nieciekawych sklepach i za niewielkie pieniądze można się dobrze ubrać.

Jako wygraną otrzymałam oczywiście cały strój, łącznie z plastikowymi butami z Pigalaka oraz pseudowężową torebką. Jednak główną nagrodą był czek o wartości tysiąca euro, który kandydatki zwykle wydają na zakupy. Ja jednak miałam już dość shoppingu, dlatego przeznaczyłam te pieniądze na inny cel. Dzięki mojej wygranej kilkunastoletnia nieuleczalnie chora dziewczynka spełniła swoje marzenie. Przyjechała do Paryża, wzięła udział w profesjonalnej sesji zdjęciowej z wizażystką, stylistą i fryzjerem i na jeden dzień zmieniła się w prawdziwą modelkę.

Bo przecież moda jest dla wszystkich.



Przemierzając Paryż wzdłuż i wszerz

Paryż może się pochwalić wieloma rzeczami, z których jego snobistyczni mieszkańcy są niezwykle dumni. Zalicza się do nich sieć komunikacji miejskiej – bardzo dobrze rozwinięta, praktyczna i nowoczesna. W Paryżu można skorzystać z autobusu miejskiego, tramwaju, podmiejskiej kolejki RER, metra lub ostatnio bardzo modnych velibów, czyli rowerów miejskich. Tak duży wybór środków transportu to próba rozwiązania odwiecznego problemu, jaki stanowią ciągnące się w nieskończoność paryskie korki.

Za kółkiem w Paryżu

W przeciwieństwie na przykład do nowojorczyków paryżanie mają samochody, ale nie korzystają z nich na co dzień. Wielu mieszkańców stolicy uwielbia wyjeżdżać na weekend do pobliskiej Normandii czy zwiedzać okoliczne zamki. Dlatego ich małe samochodziki wytrwale stoją zaparkowane wzdłuż krawężników i ruszają z miejsca zwykle dopiero w sobotę rano.

Tylko nieliczni paryżanie jeżdżą samochodem do pracy. Nie ma takiej potrzeby, gdyż transportem publicznym można dostać się wszędzie i to zdecydowanie szybciej. Mimo to ulice miasta są wiecznie zakorkowane. Istnieje kilka przyczyn takiego stanu rzeczy. Po pierwsze, już od kilku lat w Paryżu w imię ekologii prowadzi się politykę antysamochodową. Wielkie dwu- lub trzypasmowe bulwary są modernizowane i stają się jednopasmowymi ulicami z szerokimi chodnikami i zieleńcami. Poza tym od wielu lat zamyka się dla samochodów pewne rejony miasta, na przykład przelotowe szlaki nad brzegiem Sekwany, które obecnie w większości stanowią wspaniałe trasy spacerowe. Tworzy się również buspasy, którymi mogą jeździć – jak nazwa wskazuje – autobusy, ale też taksówki. Paryscy władze wprowadzają ograniczenia i robią wszystko, aby zniechęcić kierowców do korzystania z samochodu w mieście. Stają jednak na wysokości zadania i jednocześnie starają się ułatwić mieszkańcom przemieszczanie się transportem publicznym. I jak do tej pory, no cóż... Przyjedźcie, to

zobaczycie i ocenicie efekty pracy paryskich urzędników.

Przez wiele lat nie miałam prawa jazdy. Wydawało mi się ono całkowicie zbędne. Jednak w pewnym momencie sytuacja życiowa, a dokładnie praca na podparyskim prywatnym lotnisku, zmusiła mnie do zmiany zdania. Ciągłe kłopoty z dojazdem bardzo mnie męczyły, dlatego zapisałam się na kurs prawa jazdy. Podeszłam do egzaminu teoretycznego i... go nie zdałam. Pomyliłam funkcje przycisków w pilocie egzaminacyjnym, przez co prawie wszystkie moje odpowiedzi okazały się nieprawidłowe. Za drugim razem było zdecydowanie lepiej. Po trzydziestu minutach wyszłam z sali z kwitkiem umożliwiającym mi podejście do egzaminu praktycznego. Teraz dopiero zaczęłam się denerwować. Wszystkie koleżanki udzielały mi wskazówek, jak się zachowywać, aby zdać. Zakazały mi więc iść na egzamin umalowaną, uczesaną i ładnie ubraną, miałam się nie odzywać, tylko kiwać głową i przerysowywać każdy ruch, aby egzaminator lepiej widział, co robię. Oczywiście, nie wzięłam sobie do serca żadnej rady i na egzamin włożyłam eleganckie ubrania, zrobiłam pełny makijaż i wybrałam buty na obcasie, które przed jazdą zamieniłam na trampki. Na powitanie uścisnęłam egzaminatorowi mocno rękę, chcąc mu przekazać: „Popatrz, wcale się nie boję” i starając się ukryć roztrzęsienie, wsiadłam do samochodu.

Egzamin jakimś cudem zdałam, a dziś, po kilku latach przemieszczania się po stolicy samochodem, stwierdzam, że jeździ się tu bardzo łatwo. Choć może się wydawać, że wokół panuje chaos i nikt nie przestrzega przepisów, to tak naprawdę każdy bardzo się pilnuje. Wszyscy jeżdżą niezwykle ostrożnie i powoli, ponieważ przede wszystkim obowiązuje pierwszeństwo z prawej strony. Kierowcy, choć czasem nerwowi, są uprzejmi, więc jazda na zakładkę lub wpuszczanie innych pojazdów to nic nadzwyczajnego. Uważają też na pieszych i częściej niż w Polsce przepuszczają ich na pasach. Chociaż Francuzi zajęli pierwsze miejsce w europejskim rankingu najbardziej przeklinających kierowców, a paryżanie okazali się najbardziej francuscy pod tym względem i uplasowali się na samym szczycie zestawienia, to wciąż są mili w porównaniu z polskimi kierowcami.

Paryżanie za kółkiem zniosą korki i niesfornych pieszych,

przetrwają deszcz, a nawet śnieg, jednak nie potrafią zaakceptować rowerzystów. A tych jest w stolicy Francji coraz więcej.

W życiu zawsze pod górkę

Moja pierwsza przejażdżka rowerem miejskim odbyła się pewnego wiosennego poranka, gdy z Martinem wybraliśmy się na całodniową wyprawę w okolice Galeries Lafayette, aby zrobić zakupy, zjeść obiad w pobliskiej japońskiej dzielnicy i przespacerować się po Ogrodach Tuileries. Piękna pogoda, pierwsze wiosenne promienie słońca i znudzenie codziennymi przejazdami metrem sprawiły, że z wielką przyjemnością wskoczyliśmy na rowery i ruszyliśmy w stronę opery. Przejażdżka nie była męcząca, ponieważ jako mieszkańcy wzgórza Montmartre mieliśmy cały czas z górki. W niespełna dwadzieścia minut dotarliśmy na miejsce, zaparkowaliśmy rowery na pobliskiej stacji i zadowoleni ruszyliśmy na zakupy. Wracaliśmy metrem, ponieważ – jak na kwiecień przystało – pogoda się zmieniła i nagle zaczął padać deszcz.

Kilka tygodni później poszliśmy z przyjaciółmi na kolację, a potem do dyskoteki. Po wyjściu z klubu około czwartej rano nie mogliśmy znaleźć wolnej taksówki, co w Paryżu stało się normą. W stolicy w późnych godzinach wieczornych i nocnych zawsze jest za mało taksówek (lub zbyt wielu imprezowiczów). Po dłuższym czasie zrezygnowani postanowiliśmy wrócić do domu, korzystając z veliba. Wsiadliśmy więc na miejskie rowery i ruszyliśmy. Martin dawał radę, podczas gdy ja w połowie drogi nie miałam już siły. Nie dość, że cały czas jechaliśmy pod górkę i byliśmy po kilku drinkach, to jeszcze pedałowałam w butach na wysokim obcasie. W okolicach placu Clichy niemal rzuciłam rower na chodnik i sfrustrowana wybrałam się do domu pieszo, ze szpilkami w dłoni. Martin odprowadził rower na stację, a ja podarłam rajstopy, idąc boso po chodniku. Tak mniej więcej wyglądała moja ostatnia przygoda z velibem.

Klient nasz pan?

Zdecydowanie bardziej niż rowerem wolę przemieszczać się po

mieście na wygodnych siedzeniach tutejszych taksówek.

W ciągu dnia, gdy wszystkie inne środki transportu są ogólnie dostępne, paryżanie niechętnie korzystają z taksówek. Wolą szybkie metro lub tańsze autobusy. Jednak gdy nadchodzi wieczór i kochający nocne życie mieszkańcy miasta udają się do klubów i restauracji, sytuacja się zmienia. Taksówkarze, w mniejszym gronie niż w ciągu dnia, stają się wyjątkowo niemili w stosunku do pasażerów. Przygoda zaczyna się od długiego machania ręką na taksówki, które nie zatrzymają się, jeśli na przykład wasz wygląd nie odpowiada kierowcy. Gdy już uda się wam skłonić taryfę do zatrzymania, taksówkarz zwykle opuszcza szybę i pyta, dokąd chcecie jechać. Gdy udzielicie mu przemiłej odpowiedzi, pełnej sympatii i wdzięczności za to, że zechciał zwrócić na was uwagę, on zacznie się zastanawiać. Po czym opryskliwie odpowie, że to mu nie po drodze, zamknie bezczelnie okno tuż przed waszym nosem i z piskiem opon odjedzie, dmuchając spalinami w twarz swym niedoszłym klientom. A wam nie pozostanie nic innego, niż ponownie zacząć machać ręką, aby złapać kolejnego niebiańsko uczynnego kierowcę.

Paryscy taksówkarze mają swoje przywileje i z zapalem ich bronią. Ostatnio zorganizowali strajk i manifestacje, aby zmusić rząd do delegalizacji i zamknięcia niezwykle popularnej platformy Uber, która umożliwia paryżanom podwożenie innych za pewną opłatą. Taksówkarze nie chcą mieć żadnej konkurencji. Jeszcze chwila i zaczną protestować przeciwko transportowi miejskiemu, bo również kradnie im klientów.

Od dyliżansu do autobusu

Na szczęście paryska sieć komunikacji miejskiej ma się bardzo dobrze i mimo częstych strajków funkcjonuje w miarę sprawnie. Może to dzięki jej długiej historii i bogatej tradycji? Już za panowania Ludwika XIV w mieście pojawiły się pierwsze karoce, w których można było wykupić przejazd. Później, w 1662 roku, powstało pięć linii pojazdów konnych wożących pasażerów po Paryżu. Jednak niewygoda, długi czas przejazdu, fatalny stan dróg pamiętających jeszcze

średniowiecze oraz wygórowane ceny sprawiły, że pięć lat później firma splajtowała.

Trzeba było czekać aż sto pięćdziesiąt lat, by po okresie licznych przebudów, a także zmian w mentalności paryżan po stolicy ponownie zaczęły kursować pojazdy komunikacji publicznej. Przyczynił się do tego Stanislas Baudry, który na początku dziewiętnastego wieku w okolicach Nantes otworzył łaźnie parowe. Okazało się jednak, że mieszkańcy miasta niechętnie korzystają z usług jego zakładu ze względu na brak swobodnego dojazdu. Baudry wymyślił więc, że klientów z centrum miasta do jego łaźni będą przywozić regularnie kursujące dorożki. Pierwszy przystanek powstał na placu Port au Vin, naprzeciwko butiku modysty o nazwisku Omnes. Na szyldzie sklepu widniał łaciński napis: *Omnes Omnibus*, co znaczy „Omnes dla wszystkich”. Z czasem pasażerowie zaczęli nazywać dorożki omnibusami. Baudry zauważył, że choć interes przewozowy kwitnie, jego łaźnie pozostają puste. Zamknął je więc i wdrożył w życie inny pomysł.

W kwietniu 1829 roku, po długich przepychankach z paryskim prefektem i skomplikowanych procedurach biurokratycznych, ambitny Baudry otworzył firmę transportową L'Entreprise Générale de l'Omnibus, co można przetłumaczyć jako Główne Przedsiębiorstwo Omnibusów, i ruszył na podbój stolicy z dwoma liniami dorożek. Zaprzęg na trzy konie, czternaście miejsc siedzących podzielonych na trzy kategorie i niewygórowana cena dwudziestu pięciu centymów bez względu na długość trasy okazały się receptą na sukces.

Kilka lat później omnibusy ulepszono, zwiększając komfort podróży i bezpieczeństwo pasażerów. Firma zatrudniała dwustu pracowników, miała osiemset koni i osiemdziesiąt dziewięć pojazdów. Stała się znana daleko poza granicami Francji, a władze Londynu i Nowego Jorku szybko zdecydowały się na zakup omnibusów i wprowadziły transport publiczny.

Tymczasem w Paryżu powstawały kolejne konkurencyjne firmy zmniejszające zyski Baudry'ego. Mroźne zimy, które spowodowały śmierć setek koni, i podwyżki cen przejazdów ostatecznie przyczyniły się do upadku Przedsiębiorstwa Omnibusów. Zdesperowany Baudry

w lutym 1830 roku popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę.

Jednak większość przedsiębiorców nie poddała się i przetrwała kryzys. Już kilka lat później w stolicy funkcjonowało piętnaście niezależnych od siebie firm przewozowych. Łącznie miały dwieście sześćdziesiąt cztery dyliżansy, oficjalnie nazywane omnibusami, a do połowy dziewiętnastego wieku prawie trzydzieści milionów osób skorzystało z tego nowego środka komunikacji.

Z czasem sieć paryskich omnibusów rozrastała się i rozwijała. Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku konne zaprzęgi zaczęły być wypierane przez pojazdy z silnikiem parowym, a następnie przez autobusy o napędzie spalinowym. Ich popularność wśród paryżan ciągle rosła i nawet przerwa wymuszona przez pierwszą wojnę światową, podczas której autobusy służyły do transportu wojsk, rannych oraz żywności na front, nie zniszczyła ich statusu. Także budowa metra nie mogła im zaszkodzić.

Dziś stolica ma pięćdziesiąt sześć linii autobusowych codziennie przewożących mieszkańców miasta. I podczas gdy oni korzystają z autobusu wyłącznie jako z prozaicznego środka transportu na trasie dom – praca – dom, ja proponuję wam wycieczkę turystyczną trzema – moim zdaniem – najbardziej widokowymi liniami.

Linia 29 – zabierze was na uroczą przejażdżkę, którą najlepiej rozpocząć na przystanku przy dworcu Saint-Lazare. Zajmijcie wygodne miejsce pod oknem, bo przez najbliższe pół godziny będziecie mogli podziwiać jedno z najpiękniejszych miejsc w stolicy. Autobus mija wspaniałą Operę Garniera, aby chwilę później znaleźć się pod paryską giełdą. Kolejne punkty wycieczki to malowniczy Place des Victoires z posągiem Ludwika XIV, tętniąca życiem dzielnica Montorgueil i muzeum sztuki współczesnej imienia Georges'a Pompidou, czyli słynne Centre Pompidou. Stamtąd w mgnieniu oka dotrzecie do serca gejojskiej dzielnicy Marais słynącej również z pięknych rezydencji arystokratów i burżuazji. Kolejnym przystankiem będzie Place des Vosges, jedno z najpiękniejszych i najstarszych miejsc w mieście, gdzie możecie zakończyć podróż i pod zabytkowymi arkadami wypić filiżankę kawy.

Linia 68 – pokaże wam Paryż taki, jaki jest on naprawdę:

różnorodny, zatłoczony, a przy tym barwny i pełen życia. Ze względu na częste korki na ulicach, którymi przebiega trasa tej linii, najlepiej podróżować nią pomiędzy jedenastą a piętnastą, aby uniknąć zbyt częstych postojów. Do autobusu warto wsiąść na placu Clichy. Zobaczycie tam paryżan o wszystkich kolorach skóry. Dalej jedziemy do przystanku Blanche, aby móc podziwiać wielki czerwony wiatrak na dachu Moulin Rouge, i przez handlowe ulice w pobliżu Galeries Lafayette, gdzie można wsiąść na szybkie zakupy. Następnie autobus podwiezie was pod majestatyczną Operę Garniera, a później pojedzie na esplanadę pod samym Luwrem. Zapewniam, że widoki będą niezapomniane. Kolejnym punktem na trasie linii 68 jest Muzeum Orsay – w dawnym dworcu kolejowym można podziwiać wspaniałe zbiory malarstwa impresjonistycznego. Chwilę później znajdziecie się w Dzielnicy Łacińskiej i będziecie mogli zobaczyć paryżan i turystów przesiadujących w kawiarnianych ogródkach. Z autobusu można wsiąść w okolicach dworca Montparnasse. Ciekawym zakończeniem wycieczki będzie wjazd na ostatnie piętro wieżowca znanego jako Wieża Montparnasse, gdzie w barze z panoramicznym widokiem koniecznie zamówicie kieliszek szampana.

Linia 72 – gwarantuje szykowną podróż wzdłuż Sekwany. Do autobusu wsiadźcie na przystanku Pont Mirabeau znajdującym się na wysokości stacji metra o tej samej nazwie (kursuje tamteży linia nr 10). Siadźcie twarzą w kierunku jazdy po prawej stronie autobusu. Już po kilku minutach waszym oczom ukaże się wspaniały widok na wieżę Eiffla, którą zresztą będziecie mogli podziwiać przez znaczną część podróży. Kolejne zabytki na tej trasie to Pałac Inwalidów ze złotą kopułą oraz niezwykle hale wystawowe zbudowane na wystawę światową z 1900 roku, czyli Petit Palais i Grand Palais. Autobus przejedzie również przez Place de la Concorde, skąd widać pnącą się w górę Avenue des Champs-Élysées. Później zawiezie was w stronę Châtelet, mijając po drodze Muzeum Orsay, aby wzdłuż Ogrodów Tuileries dotrzeć pod sam Luwr. Jeszcze kilka przystanków i możecie wsiąść pod paryskim ratuszem. Koniecznie sprawdźcie, co aktualnie jest prezentowane w jego salach, gdyż regularnie organizuje się tam ciekawe wystawy, na które wstęp jest bezpłatny.

Jeśli po tych krótkich wycieczkach paryskimi autobusami będziecie mieć dosyć hałasu i korków, to nie pozostaje wam nic innego, jak przesiąść się do metra.

Métro, boulot, dodo

Metro, mimo że brudne, zaniedbane i brzydko pachnące, jest podstawowym środkiem lokomocji w Paryżu. Prawdziwi paryżanie nie tylko przemieszczają się za pomocą podziemnej kolejki po całym mieście, oni w metrze spędzają znaczną część doby. Powiedzenie: *métro, boulot, dodo*, metro, robota, spanie, wspaniale obrazuje realia życia w stolicy Francji.

Jeżeli myślicie, że paryskie korki uliczne to problem z przełomu dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku, to jesteście w wielkim błędzie. Liczba mieszkańców miasta stale rośnie, podobnie zresztą jak liczba samochodów, jednak korki zaczęły się tworzyć wcześniej, niż mogłoby się wydawać. Już na początku dziewiętnastego wieku paryżanie narzekali na zbyt duży ruch uliczny. W 1845 roku pojawiły się pierwsze wzmianki na temat konstrukcji podziemnej kolei w Paryżu. To jednak w Londynie, a nie w stolicy Francji powstało pierwsze metro. Niedługo potem metro wybudowano w kolejnych wielkich miastach, takich jak Nowy Jork, Wiedeń czy Berlin.

Paryż pozostał w tyle, jednak jego mieszkańcy, których duma została urażona, nie dawali za wygraną. Kolejne plany przedstawiane wysokim rangą dygnitarzom miejskim były odrzucane. I to wcale nie przez złośliwość biurokratów, ale ze względu na jakość projektów. Szaleni architekci i inżynierowie prezentowali pomysły jak z filmów science fiction. Toczyły się dyskusje na temat wagonów metra poruszających się dzięki pochyłym tunelom, a następnie wyciąganych na powierzchnię za pomocą lin. Pojawił się projekt kanałów i pływającego w nich metra. Zaproponowano również budowę metra parowego sunącego ponad głowami mieszkańców oraz metra bez kół przemieszczającego się po jednej szynie. Sam Juliusz Verne mógłby pozazdrościć kreatywności i fantazji ówczesnym inżynierom.

Ostatecznie zatwierdzono innowacyjny projekt kolei o napędzie

elektrycznym, którego autorem był Edmond Huet. Poparł go Fulgence Bienvenüe, szef inżynierii lądowej podczas budowy paryskiego metra. I tu zaczęły się typowe dla Francji problemy administracyjne... Po dziesięciu latach ustalania, kto, jak i kiedy będzie nadzorował projekt, w końcu ruszyły prace. Na szczęście dla metra zbliżał się rok 1900 i wystawa światowa, która miała się odbyć w stolicy Francji, co przyspieszyło podjęcie ostatecznej decyzji. Wstępnie wytyczono trasę trzech linii i w lipcu 1897 zatwierdzono rozpoczęcie ich budowy. Teraz zaczęła się zacięta walka o to, kto ma zarządzać metrem: państwowe koleje publiczne czy rada miasta. Koniec końców metro zostało uznane za dobro publiczne i całkowicie przeszło w ręce miasta, uniezależniając się od kolei. Do dzisiaj dziękujemy za to ówczesnym radnym Paryża, bo gdy kolejarze strajkują, nawet kilka razy w roku, metro funkcjonuje. No chyba że pracownicy metra też zdecydują się na protesty...

Gdzie dwóch się bije, tam Belg korzysta

Gdy problem zarządzania metrem został ostatecznie rozwiązany, pojawił się kolejny: kto je zbuduje? Francuskie spółki zaciekle walczyły ze sobą o zdobycie kontraktu, a tymczasem przetarg wygrał niezależny belgijski konstruktor: Édouard Empain. W 1898 roku założył towarzystwo budowlane, Compagnie du Chemin de Fer Métropolitain de Paris, i natychmiast sprawił, że prawy brzeg Sekwany na wiele miesięcy zamienił się w ogromny plac budowy. Oczywiście, tamtejsi handlarze i właściciele kawiarni i restauracji natychmiast zgłosili się do ratusza z prośbą o zwolnienie z płacenia podatków, gdyż ze względu na gigantyczne wykopy ich sklepy i lokale właściwie nie funkcjonowały.

Mimo kilku większych wpadek, takich jak obsunięcie się ziemi na Polach Elizejskich, skutkiem czego na najpiękniejszej alei świata powstała dwudziestometrowa dziura, prace budowlane postępowały błyskawicznie. Już po dwudziestu dwóch miesiącach, 19 lipca 1900 roku, otwarto pierwszą linię paryskiego metra.

Podziemna kolej zachwyciła mieszkańców Paryża, którzy natychmiast ją zaakceptowali i uznali za wygodny, bezpieczny i najszybszy środek transportu w mieście. Ponieważ metro okazało się

ogromnym sukcesem, zdecydowano się na budowę kolejnej linii. Miała ona biec na osi północ – południe i łączyć oba brzegi Sekwany. Planowano, że trasa będzie przebiegać pod rzeką, co zdecydowanie utrudniało budowę.

Początkowo linię chciano poprowadzić pod Luwrem, lecz uczeni odpowiedzialni za zgromadzone tam zabytki nie wyrazili zgody na przekopy pod tak ważnym budynkiem. W związku z tym trasę wyznaczono pod placem Châtelet, czemu już nikt się nie sprzeciwiał. Budowa tunelu metra pod rzeką była wyzwaniem. Inżynier Bienvenüe zdecydował się wykorzystać odważny, nietypowy projekt jednego z podwykonawców. W Sekwanie zatopiono gotowe metalowe części tunelu, które powstały w pobliskich Ogrodach Tuileries. Ze spuszczonej do wody elementów wypompowywano wodę, a następnie wykańczano konstrukcję. Budowa podwodnego tunelu trwała dwa długie lata, pięciu robotników straciło życie podczas pracy w wyjątkowo trudnych i niebezpiecznych warunkach. Metoda okazała się jednak tak skuteczna, że latem 1974 roku RATP¹⁾ zdecydował się na ponowne wykorzystanie tego oryginalnego pomysłu.

1) RATP (Régie autonome des transports parisiens) – francuskie przedsiębiorstwo państwowe zarządzające transportem publicznym w Paryżu.

Cudze chwalicie, swego... nie doceniacie!

Francuzi uwielbiają być prekursorami. Kochają tworzyć piękne rzeczy i wyróżniać się na arenie międzynarodowej. Zresztą mają się czym pochwalić zarówno w kraju, jak i w stolicy. Osiągnięcia w dziedzinie designu, dekoracji wnętrz czy projektowaniu ubioru są ich narodową wizytówką, a sam Paryż pełni funkcję międzynarodowej stolicy kultury i sztuki. Mimo to Francuzi nie zawsze potrafią docenić swoich artystów.

Gdy w 1899 roku zarząd budowy metra ogłosił konkurs na najlepsze projekty wejść do podziemnych stacji, nie brakowało chętnych do wzięcia w nim udziału. Choć przedstawiane prace były ciekawe,

w większości zostały uznane za zbyt mało oryginalne. Wówczas dyrektor zarządu Compagnie du chemin de fer métropolitain de Paris, Adrian Bénard, zaproponował kandydaturę młodego Hectora Guimarda tworzącego kontrowersyjne dzieła w stylu modnej wówczas secesji. Dziś na pewno podniosłyby się głosy oburzenia, że artysta otrzymał zlecenie po znajomości oraz dzięki wpływowi bogatego dyrektora, ale wtedy nikt nie protestował. Guimard zaproponował dwa rodzaje wejść. Pierwsze z nich, nazywane potocznie *édicule*, świątyniami, były wysokimi konstrukcjami ze szkła i metalu, a drugie wyjątkowo prostymi w formie bramkami z płotkiem. Zdecydowano się na oba rozwiązania, a na skutek tej decyzji powstało trzynaście wspaniałych budowli o fantazyjnych kształtach.

Niestety, ówczesni paryżanie nie byli przygotowani na tak rewolucyjne projekty. Gdy kontrakt Guimarda dobiegł końca, kolejne wejścia do metra tworzone w formie zdecydowanie bardziej klasycznej, niemającej w sobie ani krzty secesyjnego uroku poprzednich. Jednak władze Paryża i jego mieszkańcy, którzy szybko znudzili się widokiem uważanych za frywolne kreacji Guimarda, zdecydowali się pójść o krok dalej. I mimo że dziś w duchu tego żałują, to pewnie nigdy głośno nie przyznają się do popełnienia okropnego błędu. Bramki metra projektu Guimarda zaczęto usuwać, stawiając w ich miejsce inne, zupełnie bezduszne. Jako pierwsze już w 1908 roku zniszczono wejście do stacji Franklin D. Roosevelt, co dało początek trwającemu wiele lat powolnemu unicestwianiu prawdziwych dzieł sztuki. W 1962 roku rozebrano najbardziej okazały z projektów w stylu art nouveau, znajdujący się na placu Bastylli. Na szczęście już w 1965 roku weszła w życie ustawa chroniąca niektóre bramki. W latach sześćdziesiątych i późnych siedemdziesiątych ochroną konserwatorską objęto osiemdziesiąt siedem konstrukcji zdobiących wejścia do paryskiego metra. Dziś zielone bramy o fantazyjnych kształtach i z tabliczkami z napisem *Metropolitain* stanowią jeden z wielu symboli Paryża. W takich miastach jak Moskwa, Chicago, Meksyk czy Lizbona skopiowano te niepowtarzalne konstrukcje.

W zapchanym wagonie

Od poniedziałku do piątku w godzinach porannych w metrze zobaczycie biznesmenów z otwartymi laptopami, studentów uczących się do egzaminu czy nauczycieli poprawiających klasówki swoich uczniów. Również w metrze paryżanie rozwijają swoje pasje, czytając książki, słuchając muzyki lub grając na różnego rodzaju elektronicznych gadżetach. To w podziemnej paryskiej kolei rozpoczynają się spotkania towarzyskie i najlepsze imprezy w mieście i również tutaj się kończą. W piątkowy czy sobotni wieczór można tutaj spotkać tłumy radosnych młodych ludzi, którzy ruszają na podbój miasta. Kilka godzin później w pierwszych składach opuszczających zajezdnię zobaczycie ich zmęczonych i przysypiających.

W metrze można poznać przedstawicieli wszystkich grup społecznych. Staruszka w kapelusiku z woalką, afrykańska imigrantka w turbanie, intelektualistka w czarnym wyciągniętym sweterku i okularach w rogowych oprawkach, chłopak z przedmieścia w dresie firmy Lacoste i matka wielodzietnej, katolicko-burżuazyjnej rodziny spotykają się codziennie w jednym wagonie i wspólnie podróżują w tym samym kierunku. Gdy drzwi paryskiej podziemnej kolejki zatrzaskną się już z wielkim hukiem, rozejrzycie się wokół. Zwłaszcza w godzinach szczytu zobaczycie, że oprócz zupełnie przeciętnych ludzi wśród podróżnych można wyróżnić:

- intelektualistów, którzy mimo wielkiego tłoku bez najmniejszego skrępowania rozkładają poranne wydanie „Le Monde” i nie zwracając uwagi na niezadowolone pomruki innych, zagłębiają się w lekturze;
- podczytywaczy, którzy stają za nimi i z pseudodyskrecją ponad ich ramieniem starają się dojrzeć choć fragment artykułu, a najbardziej zadowoleni są, jeśli uda się im go przeczytać w całości i sami nie będą musieli kupować gazety;
- imprezowiczów, którzy słuchają muzyki przez słuchawki tak głośno, że reszta wagonu mogłaby tańczyć w rytm ich ulubionych piosenek;
- brudasów, którzy zapomnieli wziąć prysznic nie tylko rano, ale i poprzedniego wieczoru. I chyba też wczorajszego poranka i jeszcze wcześniejszego wieczoru. Albo w ogóle zapomnieli, co to woda

z mydłem, i stojąc obok nich, chciałoby się założyć klamerkę na nos;

- czyściochów, którzy przed wyjściem z łazienki wpadli chyba do wanny wypełnionej perfumami i teraz roztaczają wokół siebie zapach tak intensywny, że nawet Sephora na Champs-Élysées nie mogłaby z nimi konkurować;

- zakochanych, którzy mimo pełnych dezaprobaty spojrzeń współpasażerów obściskują się publicznie i robią mnóstwo dziwnych rzeczy ze swoimi ciałami;

- turystów, którzy nie znają miasta i zamiast poczekać, aż miną godziny szczytu, wpakowali się z mapą i przewodnikiem pod ręką w największy transportowy kocioł, a teraz z niezadowoleniem kręcą głową, że takie to metro zapchane;

- podróżnych, którzy wracają do miasta lub z niego wyjeżdżają i ciągną za sobą ogromne walizki blokujące pół przedziału, przez co wszyscy są na nich źli;

- matki, a dokładniej te, które są na tyle szalone i nieodpowiedzialne, że przemieszczają się metrem z wózkami i siedzącymi w nich dziećmi, nie zwracając uwagi na tłok, ścisk, brak ruchomych schodów czy jakichkolwiek innych udogodnień;

- artystów ze spalonego teatru, którzy zarabiają na życie graniem w wagonach i od rana wprawiają nas w zły nastrój, ponieważ o siódmej rano mało kto ma ochotę słuchać fałszującego muzykanta z akordeonem grającego *Kalinkę* lub *Bésame Mucho*;

- utalentowanych muzyków, którzy pobrzękują na gitarze i anielskim głosem śpiewają piosenkę Bena E. Kinga *Stand by me*, po czym oprócz kilkunastu euro dostają wielkie brawa od wagonowej publiczności;

- leni, którzy mimo ogromnego tłoku nie chcą wstać z rozkładanych krzesełek i będą na nich siedzieli, aż reszta pasażerów albo ich rozdepcze, albo zlinczuje;

- tropicieli, którzy poszukują wolnych miejsc niczym zagubionego skarbu, a gdy już jakieś wypatrzą, przepychają się przez cały wagon, dzielnie wszystkich szturchając łokciami;

- spóźnialskich, którzy wpadli do wagonu w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem drzwi, i teraz nie mogą złapać oddechu, ponieważ

biegli sprintem przez pół peronu;

- uczynnych, którzy im te drzwi przytrzymali i w ten sposób je zablokowali, przez co motorniczy musiał wygłaszać pogrożki przez mikrofon, a teraz metro ma już opóźnienie;

- dyskretnych, którzy mają 4G w swoich najnowszych telefonach komórkowych, dzięki czemu nie gubią zasięgu i mogą głośno dyskutować z przyjaciółmi, mimo że cały wagon przysłuchuje się ich wymianie zdań.

Metro jest pełne prawdziwych paryżan!

Quo vadis?

Gdy pierwszy raz zobaczyłam mapę paryskiego metra, najpierw zrobiło mi się gorąco, potem zimno, a następnie słabo. Moja ówczesna agentka odwiozła mnie do mieszkania, pokazała najbliższą stację podziemnej kolejki, wręczyła jej mapkę i powiedziała: *Au revoir!*, do widzenia. Stałam na środku swojego miniaturowego mieszkania i wpatrywałam się w białą kartkę papieru poprzecinaną kolorowymi szlakami poszczególnych linii. Początkowo myślałam, że to ogromny galimatias i że nigdy się w tym nie połapię. Na szczęście wieczorem nowo poznany kolega polskiego pochodzenia wytłumaczył mi, w jaki sposób funkcjonuje paryskie metro. Okazało się, że tak naprawdę poruszanie się podziemną kolejką jest wyjątkowo łatwe. Trzeba tylko znać numery linii i kierunki, w których jadą pociągi.

Będąc na przykład na stacji George V, która znajduje się na samym środku Champs-Élysées, i chcąc dojechać na stację Opéra, wystarczy... wziąć (paryżanie nie jeżdżą metrem, oni je biorą) linię nr 1 w kierunku Château de Vincennes, wysiąść na stacji Concorde, przesiąść się do linii nr 8 w kierunku Créteil i wysiąść na stacji Opéra! Uwierzcie mi, to objaśnienie jest bardziej zawile niż sam przejazd.

Żeby jednak bezproblemowo i sprawnie poruszać się w paryskich podziemiach kolejowych, trzeba opanować mapę metra. Właśnie po tym poznacie prawdziwego paryżanina. Gdy zapytacie go, w jaki sposób dotrzeć do jakiegoś miejsca, on z pamięci, bez zaglądania do mapy niemal od razu udzieli wam odpowiedzi.

Dwieście dwadzieścia kilometrów podziemnej podróży

Zapraszam was w paryską *voyage*, podróż, szesnastoma liniami tutejszego metra. Wspólnie przejedziemy prawie dwieście dwadzieścia kilometrów i mimo że nie zatrzymamy się na wszystkich trzystu dwóch stacjach, to opowiem wam o najciekawszych z nich. Warto dodać, że pomysł, by stacje metra prezentowały podróżnym francuską kulturę, gospodarkę czy historię, powstał całkiem niedawno. W 1968 roku polityk i pisarz André Malraux postanowił w ten właśnie sposób przybliżyć zarówno rodowitym Francuzom, jak i turystom kraj nad Sekwaną.

Linia nr 1

La Défense — Château de Vincennes

To najstarsza linia metra otworzona w 1900 roku z okazji wystawy światowej zorganizowanej w stolicy w tym samym czasie. Mimo upływu lat linia ma się bardzo dobrze, ponieważ ze względu na jej ogromne obłożenie jest sukcesywnie odnawiana i restaurowana. Trasa jedynek biegnie wzdłuż prawego brzegu Sekwany. Można na niej spotkać zagranicznych turystów wybierających się do Luwru i na Champs-Élysées, chłopaków z przedmieść rozrabiających w okolicach Châtelet oraz dystyngowanych eleganckich pracowników wysokich szklanych biurowców w futurystycznej dzielnicy miasta La Défense. Kolejka nie jest podzielona na wagony i od niedawna jeździ bez maszynisty ku wielkiej uciechu wszystkich podróżujących nią dzieci.

Louvre – Rivoli – to prawdziwe zaproszenie do odwiedzenia słynnego muzeum. W 1968 roku ówczesny minister kultury i sztuki nazwał tę stację podziemną wizytówką Luwru. Od tej pory znajduje się tam stała ekspozycja z kopiami znanych dzieł z pobliskiego muzeum, której oglądanie umila czas oczekującym na pociąg. Pięknie zdobione ściany stacji wyłożono kamieniem z Burgundii i udekorowano szkicami Luwru. Panuje tu spokój i tylko wjeżdżający od czasu do czasu pociąg sprawia, że pasażerowie wracają do rzeczywistości. Uwaga, stacja nie

jest połączona z wejściem do muzeum. Chcąc udać się do Luwru, należy wysiąść na Palais Royal – Musée du Louvre.

Palais Royal – Musée du Louvre – od 1989 roku podziemne korytarze stacji prowadzą bezpośrednio do najslawniejszego muzeum Francji. Znajdujące się nieopodal Comédie Française wejście do metra zaprojektowane zostało przez Jean-Michela Othoniela w 2000 roku i odznacza się niezwykle oryginalnością. Wielokolorowa metalowa konstrukcja już z daleka przyciąga spojrzenia. Bardziej przypomina drogocenną biżuterię niż bramę wiodącą na stację podziemnej kolejki.

Tuileries – to stacja znajdująca się przy bocznym wejściu do jednego z najpiękniejszych parków Paryża. Jej dekoracja, nowoczesna, a jednocześnie lekko infantylna, nawiązuje do formy kolażu i przedstawia historię Francji z przymrużeniem oka. Ściany stacji zdobią fotografie znanych osób, takich jak Brigitte Bardot, czy przedmiotów, które stały się symbolami Francji, na przykład samolotu Concorde.

Bastille – stację zbudowano na miejscu dawnego więzienia zdobytego przez lud podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej, o której przypominają ceramiczne obrazy.

Linia nr 2

Porte Dauphine — Nation

Linia powstawała niemal równocześnie z jedyką. Jej trasa, która łukiem biegnie przez północną część miasta, została wytyczona wzdłuż zewnętrznych bulwarów wyznaczających ówczesne granice Paryża. Budowa drugiej linii była bardzo kłopotliwa ze względu na tereny, na których, a właściwie pod którymi powstawała. Od okolic Montmartre'u aż do dzielnicy Belleville ze względu na twardość podłoża nie dało się poprowadzić metra pod ziemią. Dlatego też dość długi odcinek dwójki został zbudowany nad ziemią. Od stacji Anvers aż do stacji Colonel Fabien wagony metra suną po ogromnej żelaznej konstrukcji, niemal unosząc się nad miastem. Stacja Couronnes zapisała się w historii jako miejsce największej katastrofy w dziejach paryskiego metra. W sierpniu 1903 roku dym z pożaru, który wybuchł na pobliskiej stacji, przedostał się na przystanek Couronnes, zabijając osiemdziesiąt

cztery osoby. Pasażerowie dwójki to zwykle zamożni katolicy wynajmujący mieszkania w siedemnastej dzielnicy, ale również imigranci afrykańscy z dzielnicy Barbès, Pakistańczycy i Hindusi z La Chapelle oraz Azjaci, w większości Chińczycy, zamieszkujący rejony Belleville. Nadziemny fragment tej linii metra pozwala obejrzeć paryskie slumsy, jeszcze kilka lat temu uznawane za bardzo niebezpieczną okolicę. Jednak czasy się zmieniają, ceny mieszkań idą w górę, a biedne dzielnice stają się łakomym kąskiem dla deweloperów i ulegają pozytywnym przemianom.

Porte Dauphine – od strony Avenue Foch; mimo że główne trasy turystyczne nie prowadzą w pobliżu tej stacji, warto przejechać się tutaj, do samego końca linii, i wyjść na zewnątrz. Na tej stacji zachowało się jedno z dwóch oryginalnych wejść do metra projektu Hectora Guimarda (drugie – patrz linia 12).

Stacje od Barbès – Rochechouart do Jaurès – to stacje naziemne, które wspaniale prezentują industrialny styl początków dwudziestego wieku. Ze stacji Barbès widać sklep Tati znany z tanich produktów i toreb w różowo-białą kratę, a po przeciwnej stronie niepowtarzalne kino Louxor. Stacja Jaurès słynie z okien, na których przedstawione są flagi francuskie symbolizujące zdobycie Bastylji.

Linia nr 3

Pont de Levallois – Bécon — Gallieni

Trzecia linia metra wozi licznych pracowników firm z podparyskiego Levallois Perret. Można tu spotkać krawaciarzy, biegnących na złamanie karku do paryskiej La Bourse, czyli tutejszej giełdy. W godzinach szczytu na tej trasie zawsze jest tłok, gdyż dochodzi ona do dworca Saint-Lazare. Moje pierwsze samodzielnie wynajmowane paryskie mieszkanie znajdowało się właśnie przy tej linii.

Louise Michel – mimo że stacja nie jest ani ładna, ani ciekawa, to jednak warto o niej wspomnieć, bo z ponad trzystu przystanków paryskiego metra tylko ta jedna została nazwana na cześć kobiety! I to dopiero w latach czterdziestych ubiegłego wieku... Czyżby ludzie odpowiedzialni za metro byli seksistami? Wydaje się to

nieprawdopodobne w kraju feministek. Louise Michele, zwana również Czerwoną Wdową, to jedna z ikon Komuny Paryskiej.

Anatole France – stacja jest tak nietypowa, że patrząc na nią, zastanawiamy się, czy to architekt, czy wykonawca wypił o kieliszek czerwonego wina za dużo... Perony przesunięte nieco w bok w stosunku do ścian wyglądają dość surrealistycznie.

Réaumur – Sébastopol – nazwa nawiązuje do bitwy Francuzów i ich odwiecznych wrogów, za jakich uważano Brytyjczyków. Okolice stacji to rejon ważny dla lokalnej prasy, dlatego ściany peronów ozdobiono przedrukami z dawnych gazet, głównie z początku dwudziestego wieku. Przeważają informacje dotyczące drugiej wojny światowej i wydarzeń z nią związanych.

Parmentier – stacja została nazwana na cześć Antoina Parmentiera, agronoma i farmaceuty, który uświadomił Francuzom, że ziemniaki są jadalne. Od jego nazwiska pochodzi również nazwa jednego z francuskich przysmaków: *hachis Parmentier* – zapiekanki ziemniaczano-mięsnej. Na stacji udekorowanej w bardzo... hm, oryginalny sposób na ścianach można zobaczyć siatkę symbolizującą worki na ziemniaki, choć mnie bardziej kojarzy się ona z drewnianym płotkiem, i oczywiście podobiznę samego Parmentiera wręczającego kartofle tutejszej biedocie. Dla łakomczuchów zamieszczam przepis na ziemniaczaną zapiekankę:

Hachis Parmentier

2 cebule

2 ząbki czosnku

2 duże pomidory

2 jajka

1 łyżka mąki

400 g mielonego mięsa wołowego

400 g purée z ziemniaków

starty ostry żółty ser

sól, pieprz, zioła prowansalskie, gałka muszkatołowa

Drobno posiekane cebule i czosnek podsmażyć, dorzucić obrane ze skórki i pokrojone w kostkę pomidory oraz mięso mielone, wcześniej doprawione solą, pieprzem i ziołami prowansalskimi. Usmażoną masę

odstawić. Po ostudzeniu dodać mąkę, a następnie jajka. Wszystko dokładnie wymieszać i przełożyć do naczynia żaroodpornego. Następnie przygotować purée z ziemniaków, masła i gałki muszkatołowej. Ułożyć je w naczyniu żaroodpornym na warstwie masy mięsnej. Wierzch posypać startym serem i wstawić do piekarnika rozgrzanego do 180 stopni na około 20 minut.

Linia nr 3bis

Porte des Lilas — Gambetta

To nie tylko najkrótsza linia metra w Paryżu, ale chyba również na świecie: w jej skład wchodzi cztery (sic!) stacje. Jaki był sens jej budowy? Otóż nie konstruowano jej na zamówienie – to niechlubna pamiątka po próbach przedłużania linii nr 3 na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

Haxo – najbardziej oryginalna stacja w Paryżu, ponieważ nie ma wejścia! Nigdy nie została oddana do użytku. Nie znajdziecie jej również na mapie, a mimo to istnieje.

Linia nr 4

Porte de Clignancourt — Mairie de Montrouge

To linia, która jako pierwsza przecięła Sekwanę. Łącząca północ z południem i jednocześnie krzyżująca się ze wszystkimi innymi liniami metra (z wyjątkiem niepotrzebnych linii bis) oraz wszystkimi liniami RER2) jest jedną z najbardziej zatłoczonych w mieście. Z północnej części miasta czwórka zabiera paryżan pochodzenia afrykańskiego zamieszkujących tamte rejony i zawozi ich w okolice dworców Północnego i Wschodniego, zatrzymując się po drodze na licznych stacjach, wokół których mieszczą się salony fryzjerskie *black beauty* czy arabskie kosmetyczki wykonujące hennę na dłoniach. Znajdujące się w samym środku miasta stacje Les Halles i Châtelet to skupisko podparyskiej, często rozrabiającej młodzieży. Młodzi chłopcy z czapkami na bakier i podwiniętymi nogawkami dresowych spodni snują się po peronach metra. Choć wszystko obserwują wszędobylscy

policjanci, uważajcie na torebki i portfele. Dalej czwórka przekracza Sekwanę, aby dostać się na burżuazyjny lewy brzeg i w okolice Saint-Germain, gdzie będziemy podróżować w towarzystwie snobistycznych staruszków i studentów Sorbony. Czwórka chyba najlepiej pokazuje, jak wiele twarzy ma dzisiejszy Paryż.

2) RER (Réseau express régional d'Île-de-France) – paryska kolejka podmiejska.

Château d'Eau – nazwa tej stacji w dosłownym tłumaczeniu znaczy „zamek wodny”, a w mniej dosłownym, ale bardziej poprawnym „wieża ciśień”. Mimo że znajduje się w nieciekawej dzielnicy, gdzie afrykańscy naganiacze koniecznie będą chcieli zrobić wam warkoczyki, ewentualnie tipsy, warto ją odwiedzić. Na ścianie peronu znajduje się piękne przedstawienie fontanny, która kiedyś mieściła się na placu o tej samej nazwie, co stacja (dziś to plac Republiki). Z paszczy ośmiu lwów strzegących fontanny tryska krystalicznie czysta woda.

Châtelet – w podziemnych przejściach łączących perony różnych linii metra na tej ogromnej stacji przesiadkowej można posłuchać koncertu muzyki klasycznej. Orkiestra składająca się z wielu utalentowanych muzyków za przyzwoleniem RATP przeniesie was daleko od paryskiego zgiełku.

Stacje Dzielnicy Łacińskiej – Cité, mimo że może odstraszyć zapachem, na pewno zaskoczy was oryginalnym wyglądem, przypominającym kadr z powieści Juliusza Verne'a. Na stacji Odéon, czekając na metro, możecie podziwiać popiersie jednego z przywódców Wielkiej Rewolucji Francuskiej – Dantona, oraz zapoznać się z jego życiorysem. Stacja Saint-Germain-des-Prés jako jedyna nie jest „ozdobiona” reklamami, a jej ściany to ekrany, na których wyświetlane są fragmenty największych dzieł literatury francuskiej.

Linia nr 5

Bobigny – Pablo Picasso — Place d'Italie

Linia ta, rozwijając pasażerów po wschodniej części stolicy Francji, zahacza o najbardziej rozrywkowe części miasta, w których można

spotkać paryskich hipsterów nielegalnie pijących absynt w barach przy rue Oberkampf. Ponieważ piątka nie obsługuje typowo turystycznego centrum, nie spotkacie tu Japończyków z aparatami fotograficznymi, ale Afrykańczyków zamieszkujących północną część stolicy. Z nadziemnej części linii roztacza się nietypowy widok. Między stacją Quai de la Rapée a Gare d'Austerlitz miniecie Zakład Medycyny Sądowej (Institut médico-légal) i jego kostnicę... Brrr.

Bastille – na tej stacji znajdziecie wyeksponowane za szkłem resztki fundamentów najślawniejszego francuskiego więzienia. Na ścianach można oglądać płaskorzeźby przedstawiające twierdzę w całej okazałości.

Porte de Pantin – białe ściany stacji zdobią oryginalne malowidła ścienne (tym razem nowoczesne) przedstawiające wielobarwne i radosne partytury muzyczne.

Hoche – to kolejne miejsce poświęcone historii rewolucji francuskiej. Tym razem mamy przyjemność zapoznać się z generałem Hoche: umieszczono tu jego popiersie, biografię oraz listę osiągnięć.

Linia nr 6

Charles de Gaulle – Etoile — Nation

Szóstka jest najbardziej malowniczą linią metra, bo nie tylko biegnie obok wspaniałych zabytków, takich jak Łuk Triumfalny i wieża Eiffla, ale również gwarantuje niesamowite widoki, ponieważ jej duża część jest nadziemna. Pasażerowie tej linii to elegancy i bogaci mieszkańcy południowych rejonów miasta. Między stacją Passy a Bir-Hakeim rozciąga się jeden z najpiękniejszych widoków, jakie można sobie wyobrazić. Przygotujcie aparat fotograficzny!

Pasteur – na stacji nazwanej na cześć tego znanego naukowca można zobaczyć dekoracje przybliżające ewolucję medycyny i biologii od czasów Pasteura do dziś.

Saint-Jacques – ściany peronów pokrywa okładzina z kamienia typu piaskowiec, znanego jako *pierre meulière*, kamień młyński, i popularnego materiału budowlanego w Paryżu i okolicach. Dekoracyjne ściany są osłonięte plastikowymi szybami, dzięki czemu do

tej pory nie uległy zniszczeniu.

Linia nr 7

La Courneuve – 8 Mai 1945 — Mairie d’Ivry / Villejuif – Louis Aragon

Nazwa linii, a właściwie nazwy jej końcowych stacji są równie skomplikowane, jak długa i kręta jest sama trasa. Północna część siódemki wychodzi poza granice miasta i, o zgrozo!, dowozi do stolicy mieszkańców dzielnic o wyjątkowo złej reputacji, znajdujących się w 93 departamencie.

Pont Neuf – jedna z piękniejszych stacji paryskiego metra znajdująca się w pobliżu mennicy. Bogate zdobienia ścian, a nawet sufitu przedstawiają ogromne monety unoszące się nad podróżnymi. W gablotach króluje ekspozycja numizmatyczna – repliki z różnych epok. Można nawet obejrzeć prawdziwą maszynę do bicia monet, która została ustawiona w pobliżu ilustracji ukazującej proces produkcji.

Chaussée d’Antin – La Fayette – na suficie zobaczymy ogromny zajmujący czterysta siedemdziesiąt metrów kwadratowych fresk przedstawiający... rewolucję. Ach, ci wiecznie wojujący Francuzi! Tym razem chodzi o rewolucję amerykańską, w której brali czynny udział. Malowidło jest naprawdę imponujące, przedstawia między innymi markiza de la Fayette, od którego nazwiska pochodzi nazwa stacji.

Cadet – wystrój tej stacji to kolejny ukłon w stronę Nowego Świata, ewidentny znak przyjaźni między zjadaczami ślimaków a amatorami hamburgerów. Kolorystycznie i tematycznie nawiązuje do flagi Stanów Zjednoczonych. Mozaika zdobiąca stację przedstawia między innymi amerykańskiego żołnierza gwardii konnej walczącego podczas rewolucji amerykańskiej.

La Courneuve – 8 Mai 1945 – mimo że stacja nie znajduje się w dobrym rejonie miasta, ma niezwykle zadbane i fantastyczny wygląd, a to dzięki przedstawieniom ogromnych niebieskich ptaków fruujących nad pasażerami oraz malowniczemu zachodowi lub wschodowi (zależy od interpretacji) słońca.

Linia nr 8

Balard — Pointe du Lac

Ta najdłuższa (*ex aequo* z siódemką) linia paryskiego metra ma aż trzydzieści osiem stacji. Ósemka zabierze was między innymi do paryskiego Aquaboulevard (stacja Balard), wielkiego centrum wodnego z basenami i zjeżdżalniami przeznaczonego dla rodzin z dziećmi, a w rzeczywistości eksploatowanego przez podmiejską łobuzerkę.

Bonne Nouvelle – to jedyna godna uwagi stacja linii numer osiem. Z okazji obchodów stulecia metra nazwa stacji, która znaczy „dobra nowina”, została zapisana w stylu mającym przypominać znany ze wzgórz Los Angeles napis Hollywood.

Linia nr 9

Pont de Sèvres — Mairie de Montreuil

Bardzo długa linia, która w dużej części pokrywa się z trasą ósemki, łączy dwa światy: zachodnią część miasta zamieszkaną przez lokalną burżuazję ze wschodnią, zdecydowanie bardziej... hmm, ubogą. Dziewiątka to również linia, którą w sobotnie lub niedzielne wieczory przemieszczają się młodzi mężczyźni ubrani w barwy klubu piłkarskiego Paris Saint-Germain. Okolice Parc des Princes, stadionu piłkarskiego nazwanego dość pretensjonalnie Parkiem Księżąt, lepiej omijać podczas sportowych rozgrywek ze względu na wielki tłok i zgiełk, ale również wyjątkowo agresywne i nachalne zachowania chuliganów uważających się za kibiców.

Franklin D. Roosevelt – stacja powstała w 1946 roku i została nazwana na cześć ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Całkiem niedawno ją wyremontowano i odzyskała dawny blask. Znajduje się przy słynnej Avenue des Champs-Élysées. Jest wyjątkowo nowoczesna i należy do najbardziej eleganckich stacji w stolicy.

Saint-Martin – kolejna stacja, której nie znajdziecie na mapie metra. Nazywana przez paryżan *station fantôme*, stacją zjawą, została zamknięta ponad sześćdziesiąt lat temu. Mimo to nie stoi bezużyteczna – Armia Zbawienia wykorzystuje ją jako noclegownię dla bezdomnych.

Richelieu – Drouot – znajdujący się tu wielki marmurowy pomnik stanowi hołd dla pracowników paryskiego metra, którzy stracili życie podczas pierwszej wojny światowej. Monument został wykonany w 1931 roku, a po drugiej wojnie światowej dodano do niego słowo *Libération*, wyzwolenie, aby uczcić pamięć członków francuskiego ruchu oporu.

Linia nr 10

Boulogne – Pont de Saint-Cloud — Gare d’Austerlitz

To najbardziej burżuazyjna i snobistyczna linia paryskiego metra, prawie w całości biegnąca w lewobrzeżnej części Paryża. I nawet krótki prawobrzeżny fragment tej trasy jest wyjątkowo ekskluzywny, gdyż wracają nim do swoich domów mieszkańcy Boulogne-Billancourt, dostatniej i spokojnej podparyskiej miejscowości.

Cluny – La Sorbonne – stacja, na której można spotkać studentów pobliskiej uczelni. Zdobi ją mozaika z sześćdziesięciu tysięcy kafelków wykonanych z emaliowanej lawy z miejscowości Volvic. Dominujące barwy to czerwony i niebieski, a tematyka plafonu nawiązuje do słynnej Sorbony, już od średniowiecza kształcącej elity intelektualne i artystyczne kraju. Wokół można zobaczyć podpisy sławnych francuskich twórców, naukowców czy myślicieli, takich jak Hugo, Pasteur, Molière, Rimbaud czy Racine.

Linia nr 11

Châtelet — Mairie des Lilas

Jedenastka jest krótka, ma małe wagony z niewygodnymi siedzeniami i bardziej przypomina kolejkę dla krasnali niż prawdziwy środek transportu. Mimo że jest najkrótszą z głównych linii paryskiego metra (nie licząc linii bis), to może pochwalić się kilkoma oryginalnymi stacjami.

Arts et Métiers – *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* – pomyślałam, gdy po raz pierwszy ujrzałam tę stację. Dzięki ścianom i sufitowi wyłożonym miedzianymi płytami oraz okrągłym oknom

udającym bulaje można odnieść wrażenie, że znajdujemy się w łodzi podwodnej „Nautilus”, a nie na stacji paryskiego metra. Ten oryginalny wystrój jest dziełem belgijskiego rysownika François Schuitena, który z okazji obchodów dwustulecia École Nationale Supérieure d’Arts et Métiers – jednej z paryskich politechnik, wykreował świat niczym z powieści Juliusza Verna. Wspomnieć należy, że w jednym z korytarzy metra znajdują się niezwykle elektryczne schody, których stopnie wykonano z drewna.

Télégraphe – to jedna z najgłębiej usytuowanych stacji paryskiego metra: znajduje się ponad dwadzieścia metrów pod ziemią. Jej wąskie, niekończące się schody, na których może zakręcić się w głowie, wydają się nie do pokonania.

Porte des Lilas – stację ozdobiono piękną mozaiką przedstawiającą kwiaty bzu. Słynie z tego, że jest najbardziej filmową stacją metra w stolicy. To tutaj, na jednym z już nieczynnych peronów, kręcone są prawie wszystkie filmy, w których występuje podziemna kolejka. Już za piętnaście tysięcy euro dziennie można wynająć stację na potrzeby filmu. Na Porte de Lilas powstały takie produkcje jak *Ronin*, *Kompania braci*, *Amelia*, *Zakochany Paryż* i jedna z ostatnich francuskich komedii *Przychodzi facet do lekarza*.

Linia nr 12

Front Populaire — Mairie d’Issy

Linia biegnąca na osi północ – południe łączy eleganckie rejony miasta zamieszkałe przez klasę średnią. Dwunastka ma świetne połączenia z innymi liniami, dzięki czemu jest jedną z bardziej popularnych tras paryskiego metra. A w dodatku znajdziemy na niej wiele malowniczych i oryginalnych stacji.

Abbesses – stacja z najpiękniejszym secesyjnym wejściem w Paryżu. Ta niezwykła konstrukcja projektu wielkiego Hectora Guimarda znalazła się tu całkowicie przypadkiem przez niedopatrzenie urzędników, którzy przenieśli ją z placu Hôtel de Ville podczas remontu w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. To najgłębiej usytuowana stacja w mieście, znajduje się aż trzydzieści sześć metrów

pod ziemią! I niestety często zdarza się, że tutejsza winda nie działa. Przemierzając niekończące się schody, możecie podziwiać wspaniałe dekoracje ścian przedstawiające życie w dzielnicy Montmartre. Schody biegnące w górę upiękuszono pejzażami, a biegnące w dół zdobią podobizny okolicznych zabytków i najpiękniejszych miejsc, takich jak winnice Montmartre, bazylika Sacré Coeur czy Moulin Rouge.

Concorde – jedna z większych i bardziej popularnych stacji, wyremontowana na początku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, w bardzo nietypowy sposób przybliżyła *Deklarację praw człowieka i obywatela* uchwaloną w 1789 roku. Litery na białych kafelkach na pierwszy rzut oka są bezsensownie zmieszane. Jednak przypatrując się dokładniej, zaczniecie rozróżniać słowa, a nawet całe zdania głoszące hasła *Deklaracji*.

Assemblée Nationale – od lat dziewięćdziesiątych nie ma tu bilbordów reklamowych. Ich miejsce zajęły tapety z popiersiami i sylwetkami deputowanych, którzy codziennie obradują w znajdującym się nad stacją budynku Zgromadzenia Narodowego³⁾.

3) Zgromadzenie Narodowe – tu: niższa izba parlamentu Francji.

Linia nr 13

*Asnières – Gennevilliers – Les Courtilles / Saint-Denis Université
— Châtillon – Montrouge*

Trzynastka jest najbardziej zatłoczoną linią paryskiego metra, szczególnie na odcinku od dworca Saint-Lazare w kierunku północnym. Obłożenie pociągów wzrosło po kolejnym przedłużeniu linii. Jeśli nie musicie korzystać z trzynastki, to radzę omijać ją szerokim łukiem, zwłaszcza w godzinach szczytu.

Liège – stacja, która jest swoistą reklamą belgijskiego miasta. Zamiast bilbordów z ofertą tanich linii lotniczych czy kolejnego darmowego kredytu gotówkowego można tu zobaczyć piękne widoki Liège namalowane na ceramicznej okładzinie ścian.

Carrefour Pleyel – z okazji stulecia paryskiego metra stacja zyskała instalację świetlno-dźwiękową: nietypowe niebieskie światło

połączono z muzyką klasyczną. Jednak pracownicy metra oraz pasażerowie nieczuli na ten kulturalny dodatek zażądali natychmiastowego wyłączenia muzyki. Dziś można tu obejrzeć naścienny portret znanego austriackiego kompozytora i producenta fortepianów Ignacego Pleyela oraz niebieskie światła.

Linia nr 14

Saint-Lazare — Olympiades

To najnowsza linia paryskiego metra, której inauguracja odbyła się w 1998 roku. W pełni zautomatyzowana zrewolucjonizowała podziemną kolejkę, ale również pokazała, że technika czasami zawodzi. Zablockowanie pasażerów w wagonach tkwiących w podziemnych tunelach przytrafiło się już kilkakrotnie. Wszystkie stacje czternastki są wyjątkowe i zdecydowanie różnią się od przystanków pozostałych linii. W większości zostały zaprojektowane przez znanych architektów, takich jak Bernard Kohn, Jean-Pierre Vaysse, Antoine Grumbach i Pierre Schall. Wysokie, skąpane w świetle (sztucznym i prawdziwym), nowoczesne i funkcjonalne w niczym nie przypominają małych stacji starego metra.

Gare de Lyon – zasługuje na szczególną uwagę. Wjeżdżając na nią, pasażerowie wydają się zdziwieni tym, co widzą. Ściany stacji to nic innego jak tropikalny ogród botaniczny za szkłem – wspaniały pomysł, który spotkał się z wielkim uznaniem wiecznie narzekających na brak zieleni w mieście paryżan.

Rozśpiewane, roztańczone

Metro to nie tylko środek transportu, ale również jedyna w swoim rodzaju alternatywna scena muzyczna. Już w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku stacje podziemnej kolejki okupowali wszędobylscy, nie zawsze utalentowani muzycy. Wtedy też zaczęto organizować pierwsze publiczne koncerty dla podróżnych. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych muzyczna scena metra rozrosła się, a jego zarząd powołał komisję, która miała zapanować nad artystycznym podziemnym

chaosem.

Od tamtej chwili dwa razy do roku, wiosną i jesienią, są organizowane castingi, podczas których artyści przedstawiają swój repertuar i otrzymują (lub nie) oficjalne pozwolenie na muzykowanie w metrze. Chodzący po wagonach człowiek, zwykle romskiego pochodzenia, grający na akordeonie znajomo brzmiące melodie, raczej nie dostanie takiego pozwolenia. Jego poziom artystyczny nie spełnia wymogów dość surowej komisji rekrutacyjnej. Zezwolenia otrzymują naprawdę zdolni ludzie, którzy niejednokrotnie na korytarzach metra zaczynają prawdziwą karierę.

Artyści i ich repertuar są tak różni jak pasażerowie paryskiego metra. Grają rozmaite rodzaje muzyki, różnie się ubierają, pochodzą z innych środowisk i kultur. Nie trzeba być ani Francuzem, ani paryżaninem, aby stać się gwiazdą podziemnej kolejki. Ale trzeba mieć talent. Ponad trzy tysiące artystów otrzymało upragnione dokumenty i od tej pory codziennie umiła podróż ponad pięciu milionom pasażerów.

Zanim we francuskiej telewizji zaczęto emitować programy promujące muzyków i piosenkarzy i zanim powstał YouTube, wielu z nich samodzielnie musiało się starać o zdobycie publiczności. Keziah Jones, Renaud, Alain Souchon, Dany Brillant, czyli piosenkarze uwielbiani przez Francuzów, ale także znani na scenie międzynarodowej, debiutowali w paryskim metrze, dorabiając sobie do pensji kelnerów czy szatniarzy. Popularna grupa rockowa Téléphone, która zrewolucjonizowała francuski rynek muzyczny, została dostrzeżona właśnie podczas jednego z koncertów organizowanych przez zarząd metra. Na początku dwudziestego pierwszego wieku w podziemnych korytarzach próbowała swoich sił młoda wokalistka o wyjątkowo oryginalnym głosie. Zaz, bo o niej mowa, podbiła serca i Francuzów, i Polaków.

Duchy w metrze

W paryskim metrze wysłuchałam wielu koncertów i uczestniczyłam w innych wydarzeniach kulturalnych. Przeżyłam w nim również wiele zabawnych sytuacji, na wspomnienie których uśmiech

ciśnie mi się na usta. Jedna z nich przytrafiła mi się w drugiej linii metra, gdy jechałam w kierunku wschodnim na casting. Jak większość pasażerów byłam zatopiona we własnych myślach, a w dodatku słuchałam głośnej muzyki przez słuchawki. Wjeżdżaliśmy właśnie w okolice zamieszkiwane przez afrykańskich imigrantów, czasami zapominających, że są w stolicy europejskiego miasta i ubierających się, jakby za chwilę mieli wyruszyć w podróż na wielbłądzie przez Saharę. Gdy pociąg dojeżdżał już do stacji, na której miałam wysiadać, podeszłam do drzwi i stanęłam przy nich ze spuszczoną głową, podrygując w rytm słuchanej muzyki. Gdy metro się zatrzymało, pociągnęłam za metalową klamkę i w momencie gdy drzwi się otworzyły, podniosłam głowę i... krzyknęłam tak głośno, że cały wagon zaczął się we mnie wpatrywać.

Był środek lata, włożyłam więc jeansy, sandaalki, koszulkę na ramiączkach, słowem, byłam ubrana stosownie do pogody. Przede mną zaś stała czarna zjawa, która nie dość, że całe ciało ukryła pod fałdami czarnego materiału, to miała również zakrytą twarz, łącznie z oczami przysłoniętymi czymś w rodzaju woalki. Stałam jak zaczarowana, nie byłam przygotowana na widok czarnego ducha. Inni pasażerowie, widząc, co mnie tak przeraziło, wybuchnęli śmiechem. Miałam dwa wyjścia. Zdenerwować się i skontaktować się z policją, gdyż burka jest we Francji prawnie zabroniona, jak każdy inny strój uniemożliwiający identyfikację, z kominiarką na czele. Jednak zdecydowałam się na drugie rozwiązanie i również zaczęłam się śmiać.

Tam, gdzie śpi metro

Gdy zamieszkałam w Paryżu na stałe, pierwszego lata odwiedziła mnie grupa przyjaciół z podstawówki i liceum: trzech kolegów i koleżanka. Wspólnie poznawaliśmy tajemnice miasta. Właśnie w tym czasie odbyła się inauguracja czternastej linii metra, która zrewolucjonizowała ówczesny transport. Podczas gdy na pozostałych liniach w większości kursowały stare, brudne pociągi, czternastka dysponowała najnowocześniejszym składem, czyściutkim, pachnącym i bez maszynisty. No cóż, czego wymagać od bandy nastolatków – po

prostu musieliśmy przejechać się tym pociągiem i usiąść na samym przodzie, aby poczuć się jak maszynista. Większość turystów robiła dokładnie to samo, jednak my zdecydowaliśmy się pójść o krok dalej, a mianowicie nie wysiadać na ostatniej stacji, tylko pojechać na pętlę, na której metro zawraca i rusza w przeciwnym kierunku. Wiedzieliśmy, że jest to zabronione, ale chęć zobaczenia, co kryją podziemne tunele, zwyciężyła.

Gdy ostatni pasażerowie już opuścili wagony, drzwi się zatrzasnęły i pojechaliśmy dalej, w głąb intrygujących tuneli. Przez pierwsze minuty nasza radość była ogromna, metro sunęło powolutku, mijając inne pociągi. Dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że ponownie wyruszymy na trasę, dopiero gdy wyjadą na nią składy, które jako pierwsze przyjechały na pętlę. Nasz pociąg stanął na końcu długiej kolejki i wtedy zgasło światło! Zostaliśmy uwięzieni w półmroku i wcale nie było nam do śmiechu. Mieliśmy wrażenie, że czekamy całą wieczność (w rzeczywistości minęło od dziesięciu do piętnastu minut), gdy włączyły się lampy i nasz pociąg wyruszył w następny kurs. Odetchnęliśmy z ulgą i oczywiście do dziś nikt z nas nie chce się przyznać, że najedliśmy się wtedy strachu.

Ściany z brudnymi kafelkami, które kiedyś były śnieżnobiałe, zapuszczone podłogi, podniszczone ławeczki z podejrzanymi plamami i okropny wszędobylski smród mogą zniechęcić do paryskiego metra. Jednak równocześnie jest ono wspaniałe: niezastąpione i szybkie. Poza tym naprawdę potrafi zachwycić. Podczas swojej pierwszej wizyty w Paryżu moja wówczas dwunastoletnia siostra nie była zainteresowana zabytkami, muzeami czy parkami. Przez cały dzień chciała jeździć podziemną koleją i – jak prawdziwy paryżanin – była niezwykle wybiórcza w jej postrzeganiu. Widziała to, co w metrze było pozytywne, co ją fascynowało i co było dla niej użyteczne. Nie zwracała uwagi na mankamenty, których podziemna kolej ma przecież sporo. Dla niej, jak i dla wielu mieszkańców stolicy, metro było i do tej pory jest, najwspanialszym środkiem transportu na świecie.

Na sygnale

Ani autobus, ani rower, ani nawet metro nie są najbardziej oryginalnymi środkami transportu. Całkiem niedawno miałam niezwykle okazję przejechać się czymś zupełnie innym.

Podczas jednej z licznych wizyt mojej rodziny wraz z mamą, siostrą, jej synkiem oraz moją córeczką wybrałyśmy się na wycieczkę statkiem po Sekwanie. Po udanym rejsie udałyśmy się w okolice placu Trocadéro i wieży Eiffla. Gdy szłyśmy w kierunku pobliskiego parku, na moście koło wieży rozpoczęła się policyjna obława na nielegalnych handlarzy pamiątkami. Na tych osobników trzeba szczególnie uważać, gdyż jest to prawdziwa złodziejska szajka. Wielu turystów myśli, że kupi od nich pamiątki po korzystnych cenach, a okazuje się, że mimo iż zapłacili grosze, to albo dostali podrobione euro jako resztę, albo gdzieś zniknął ich portfel, albo przydarzyło się im sto tysięcy innych kłopotów.

Policjanci przegonili handlarzy i zabrali im towar, który nielegalnie sprzedawali. A że strażnicy prawa w Paryżu są naprawdę mili i uczynni, oczywiście pod warunkiem że nie rozrabiasz, postanowili rozdać turystom swoje łupy. Jak na prawdziwych dżentelmenów przystało, wręczali mniejsze i większe repliki wieży Eiffla przechodzącym kobietom. Moja mama również otrzymała prezent od policjanta.

Nagle za zakrętem złapał ją za ramię jakiś mężczyzna i zaczął nią silnie potrząsać. Ja i siostra błyskawicznie zareagowałyśmy. Siostra zabrała dzieci na bezpieczną odległość, a ja pobiegłam w kierunku furjata. Stałam między nim i mamą dokładnie w momencie, w którym zamierzał ją uderzyć. Zdążyłam zatrzymać jego rękę i zaczęłam głośno krzyczeć, grożąc przy tym deportacją za nielegalny handel i agresję. Może za sprawą mojego wysokiego wzrostu, a może dlatego, że wzywałam policję, napastnik się odsunął. W tym momencie obok nas pojawili się amerykańscy turyści, bardzo postawni, którzy też zaczęli krzyczeć na imigranta, a dwóch nawet ruszyło w jego kierunku. Handlarz uciekł i stojąc na drugim brzegu, wygrażał nam, pokazując gestem, że jeszcze nas dorwie i poderżnie nam gardła. O nie, miarka się przebrała. Po przeciwnej stronie placu radiowóz, więc dałam agresorowi do zrozumienia, że właśnie tam się wybieramy.

Po rozmowie z policjantem ustaliliśmy, że mężczyzna prawdopodobnie chciał odebrać swoje wieże Eiffla, wcześniej zabrane

mu przez policję. W tym momencie napastnik pojawił się po drugiej stronie ulicy i wykonał ruch, jakby strzelał do nas i do policjantów. Dwóch funkcjonariuszy natychmiast za nim ruszyło. Okazało się, że imigrant, który groził również ścigającym go policjantom, to jeden z najbardziej niebezpiecznych oprychów w okolicy. Wielu turystów zostało przez niego poszkodowanych, ale nikt nie odważył się na niego donieść. Gdy potwierdziłam, że złożymy zeznania, sytuacja zupełnie się zmieniła.

Niedługo potem podjechały dwa cywilne samochody, ale na sygnale i z mrugającymi na dachach kogutami. W jednym z nich siedział mężczyzna, który napadł na moją mamę, i patrzył na nas z nienawiścią. Z radiowozów wysiadło czterech policjantów w cywilu. Myślałam, że śnię na jawie. Scena przypominała amerykański film akcji. Jeden z funkcjonariuszy, potężny, wysoki Afroamerykanin z dreadami na głowie, w hawajskiej koszuli, ze złotymi łańcuchami na szyi i sygnetami na palcach, a do tego palący cygaro, wyglądał raczej jak gangster z Los Angeles niż stróż prawa z Paryża. Dwaj młodzi, przystojni policjanci w modnych T-shirtach, jeansach i sportowych butach podeszli do nas i oświadczyli, że zabierają nas na komisariat. Powtórzyli, że mama koniecznie musi złożyć zeznania, gdyż osobnik, którego zatrzymali, jest niezwykle groźny. Mieli już na niego donosy, ale tym razem rzucił się na policjantów, co nie jest tolerowane nawet w liberalnej Francji. Policjanci sprawnie złożyli wózki, dali maluchom po cukierku i zapakowali całą naszą piątkę do radiowozu. Podróż po Paryżu policyjnym samochodem pędzącym na sygnale była czymś niesamowitym. Zakorkowane ulice nagle robiły się puste, wszyscy zjeżdżali nam z drogi, a my przez chwilę miałyśmy wrażenie, że gramy główne role w filmie sensacyjnym. To była moja najbardziej oryginalna podróż po mieście, która sprawiła wiele radości nie tylko piszczącym z zachwytu dzieciakom.

A jeśli chodzi o agresywnego handlarza, sprawa nie zakończyła się po naszej myśli. Został zatrzymany na weekend w areszcie, a następnie tymczasowo trafił do więzienia. Podczas procesu mimo zeznań mojej mamy i dwóch policjantów, których zaatakował, postawione mu zarzuty anulowano z powodu braku dowodów i uwolniono go. Jeśli podczas następnej wycieczki do Paryża będziecie w okolicach wieży Eiffla,

uważajcie, żeby na niego nie trafić, no chyba że też chcecie się przejechać po mieście na sygnale.



Za żelaznymi bramami kamienic

Paryż to niezwykle popularne miasto, odwiedzane przez miliony turystów rocznie. Świetnie się rozwija, tętni życiem i nigdy nie można się tu nudzić. Muzea z imponującymi kolekcjami, oryginalne i ekskluzywne sklepy oraz światowej sławy zabytki decydują o atrakcyjności stolicy Francji, przyciągając zafascynowanych miastem ludzi. Wysoki poziom nauczania w renomowanych szkołach, takich jak tutejsza Politechnika, Sorbona czy jedna z najlepszych na świecie Business School HEC, zachęca do studiowania w nich zdolnych i ambitnych uczniów. Międzynarodowa atmosfera, kosmopolityczne podejście do życia oraz otwarcie na mniejszości kulturowe i etniczne, ale również seksualne – to wszystko sprawia, że młodzi globtroterzy chętnie przyjeżdżają do Paryża. Stolica Francji przyciąga również rzesze imigrantów zarobkowych zarówno z Europy, jak i z innych kontynentów. Ciągły napływ „nowych” mieszkańców Paryża, do których zresztą sama się zaliczam, sprawia, że miasto staje się przeludnione. Co prawda, do Szanghaju czy Tokio nadal mu daleko, ale niestety już zaczyna odczuwać konsekwencje ciągłego wzrostu liczby mieszkańców. Należą do nich wygórowane ceny mieszkań, które mimo szalejącego we Francji kryzysu w stolicy nadal uparcie pną się wzwyż.

Życie na socjalu

Francja słynie z hojnej opieki socjalnej, a jej stolica dysponuje dużą liczbą kwater, które za niewielkie pieniądze są wynajmowane potrzebującym paryżanom. Część tych mieszkań znajduje się w szarych, obskurnych wieżowcach budowanych od lat pięćdziesiątych do osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Bloki te szpecą miasto i w większości stoją w nieciekawych dzielnicach. Mieszkania w nich otrzymują zwykle ludzie, którzy nie znają wpływowych osób, odczekali swoje, mają złą lub beznadziejną sytuację finansową i odpowiednią liczbę dzieci.

Niektóre z lokali socjalnych mieszczą się w pięknych ceglanych kamienicach z lat dwudziestych ubiegłego wieku, z wysokimi sufitami,

bogato zdobionymi klatkami schodowymi i zabytkowymi windami. Od samego początku były przeznaczone dla urzędników, których we Francji nie brakuje. I tak pozostało do dzisiaj; są przyznawane pracownikom *mairie*, merostwa. A że Paryż ma dwadzieścia dzielnic i że każda dzielnica ma swoje *mairie* to już drobny szczegół.

Ostatnia grupa paryskich mieszkań socjalnych to perełki: wspaniałe kilkudziesięciometrowe apartamenty w pięknych haussmannowskich kamienicach w najbardziej prestiżowych rejonach miasta. Aby dostać takie cudowne gniazdko, wcale nie trzeba być biedną, samotną matką z trójką dzieci. Wystarczy mieć dobre układy w urzędach i znać kogoś, kto pracuje na wysokim stanowisku. Rodzice mojej koleżanki są właścicielami renomowanego salonu fryzjerskiego w centrum Paryża, tuż obok placu Vendôme. Jeżdżą sportowym samochodem i dużą terenówką, wakacje spędzają w ośrodku Club Medu na Mauritiusie i zajmują mieszkanie socjalne w sercu Montmartre’u. Za wynajem osiemdziesięciometrowego apartamentu już od wielu lat płacą trzydzieści procent wartości rynkowej. Dzięki temu zainwestowali i kupili dwie kawalerki pod wynajem w tej samej okolicy. Ci państwo o emeryturę już nie muszą się martwić...

Kolejnym przykładem społecznej niesprawiedliwości (lub sprawiedliwości – zależy od punktu widzenia) jest sytuacja rodziny jednego z klientów firmy, dla której aktualnie pracuję: bardzo miłego mężczyzny po czterdziestce, troskliwego męża i opiekuńczego ojca trójki dzieci. Ten pan to właściciel księgarni znajdującej się w okolicach Ogrodów Luksemburskich, a jego żona pracuje jako bibliotekarka w pobliskiej szkole. Oboje mają niskie dochody, ale i małe potrzeby, dzięki czemu żyje im się dobrze i radośnie. Ten dobrostan zawdzięczają też temu, że korzystają z mieszkania socjalnego. Dostali je z urzędu, po pierwsze, z powodu zawodu żony, po drugie, dzięki znajomości ojca pana księgarza, który jest jednym z najważniejszych bukinistów w Paryżu i ma znajomych tam, gdzie należy. I tak podczas gdy czynsz za ich wynajmowane od Mairie de Paris mieszkanie w okolicy Saint-Germain-des-Prés na wolnym rynku wynosiłby miesięcznie ponad dwa i pół tysiąca euro, oni płacą niewiele ponad pięćset.

Prawo jest prawem

Paryż i paryskie mieszkania mają wiele sekretów, o których niewtajemniczeni nigdy nie słyszeli. Jednym z najciekawszych jest *la loi de 1948*). Po drugiej wojnie światowej, gdy Warszawa leżała w gruzach, Paryż triumfował, wiwatując na cześć anglosaskich oddziałów aliantów. Jednak przeciętnemu paryżaninowi wcale nie było do śmiechu, gdyż dwudziestolecie międzywojenne i ciężkie lata wojny pogrążyły miasto w kryzysie mieszkaniowym. Poprzednie prawo blokujące wolnorynkowość czynszu nie zachęcało inwestorów do budowania nowych obiektów mieszkaniowych ani do remontowania tych już istniejących, które często były w fatalnym stanie. Powojenny rząd, aby pobudzić rynek mieszkaniowy, ustanowił nowe prawo dotyczące wynajmu lokali. Zgodnie z nim wszystkie budowane po wojnie mieszkania wynajmowano za niekontrolowane przez państwo kwoty. Jednak wysokość czynszu w starych budynkach nadal miała być ograniczona przez odpowiednie przepisy.

1) *La loi...* (fr.) – ustawa z 1948 roku.

Do dziś niektórzy leciwi mieszkańcy Paryża wynajmują ogromne apartamenty za marnych parę groszy. Osobiście poznałam takie osoby. Pierwsza z nich to osiemdziesięcioletnia dama w kapeluszu, prawdziwa francuska arystokratka, która na spacer zawsze wychodzi w rękawiczkach, nawet w środku lata (wtedy w koronkowych). Jej mieszkanie znajduje się przy rue de Médecis, w szóstej dzielnicy Paryża, na ostatnim piętrze pięknej kamienicy. Apartament ma ponad sto metrów kwadratowych, ogromny taras i widok na Ogród Luksemburski. Lokatorka, którą obejmuje prawo z 1948 roku, płaci za nie pięćset euro miesięcznie plus opłaty. Wartość rynkowa czynszu za takie cacuszko prawdopodobnie przekracza dwa i pół tysiąca euro miesięcznie. Kobieta nie rozumie, dlaczego nowy właściciel (wnuczek poprzednika) uprzykrza jej życie i za wszelką cenę chce się jej pozbyć z mieszkania.

Podobnie jest w przypadku znajomego starszego małżeństwa z wieloletnim stażem. On pracował jako inżynier dla Dassault²), ona wykładała na politechnice. Ci emerytowani paryżanie z dziada pradziada

mieszkają w ogromnym apartamencie naprzeciwko kościoła Saint-Sulpice w lokalu objętym ustawą z 1948 roku. Marudzą, że właściciel nie remontuje mieszkania, a tu bojler stary, parkiet skrzypi, okna nieszczelne i tak muszą się męczyć na tych stu dwudziestu metrach... Właściciel pewnie co wieczór modli się o zakończenie tej tragikomicznej sytuacji.

2) Dassault Aviation – francuska firma produkująca samoloty.

Na kilka dni lub kilka tygodni

Zabawne są również zasady dotyczące krótkoterminowego udostępniania mieszkań. Zanim w Internecie pojawiły się strony wyspecjalizowane w tego typu ofertach, paryski rynek mieszkaniowy już dawno był zalany ofertami wynajmu lokali na kilka dni. Dla turystów przyjeżdżających na wakacje do stolicy wynajęcie mieszkania jest nie tylko wygodniejszym, ale również tańszym rozwiązaniem niż korzystanie z oferty hoteli. Specjalne agencje nieruchomości, gazety, a nawet parafialne tablice ogłoszeń oferują duży wybór tego typu anonsów. Sama nie wynajmowałam mieszkania jako turystka, ale mogę opowiedzieć wam o krótkoterminowym najmie mieszkań dla modelek i o tym, jaki biznes robią na tym zarówno agencje mody, jak i właściciele lokali.

Moje pierwsze mieszkanie wynajmowane od agencji znajdowało się na rue Médéric w siedemnastej dzielnicy, w pobliżu parku Monceau. Lokal składał się z dwóch sypialni, dużego salonu, łazienki i kuchni, łącznie sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów kwadratowych. Skromne wyposażenie było efektem albo chytrych działań agencji, albo złodziejstwa modelek, trudno to stwierdzić. Koszt wynajmu takiego mieszkania w tamtych czasach (koniec lat dziewięćdziesiątych) wynosił około tysiąca franków tygodniowo, czyli cztery tysiące franków miesięcznie, co w przeliczeniu daje nam około ośmiuset euro miesięcznie. Bardzo przyzwoita cena za bardzo przyzwoity lokal. Tyle że mieszkałyśmy tam we czwórkę i każda z nas płaciła po tysiąc franków tygodniowo. Dla agencji był to złoty interes!

Jeszcze bardziej opłacalnym biznesem, na którym można zarobić dużo nieopodatkowanych pieniędzy, jest wynajmowanie pokoju przy rodzinie. Mój bliski kolega mieszkający w pięknym apartamencie w okolicy Łuku Triumfalnego przez wiele lat nie płacił czynszu z własnej kieszeni. Wystarczyło, że udostępniał pokój agencji modelek, a ta podnajmowała go dziewczynom przyjeżdżającym z zagranicy. Chłopak miał łeb na karku, bo oprócz stałego dopływu pieniędzy zapewnił sobie ciągle zmieniające się młode i ładne współlokatorki. No cóż, niektórzy potrafią się w życiu ustawić...

O jeden dom za daleko

W Paryżu mieszkania dzielą się na małe i duże, na ciche i hałaśliwe, na te o wysokim standardzie i te w fatalnym stanie. Jednak najważniejsze jest nie to, jak lokal wygląda, lecz gdzie się znajduje. Paryż to tygiel kultur, religii i narodowości i jak każda metropolia ma różne oblicza – poszczególne rejony cechują się innymi zapachami, kolorami, atmosferą i zamieszkują je całkowicie inni ludzie. Wędrując z dzielnicy do dzielnicy, można odnieść wrażenie, że podróżuje się przez różne kraje, a nawet kontynenty.

Pamiętam, jak kilka lat temu moi rodzice wraz z siostrą taty i jej mężem przyjechali do Paryża na mój ślub cywilny i wybrali się na niezapomniany spacer... Mieszkałam wtedy w typowo paryskim apartamencie o powierzchni aż trzydziestu sześciu metrów kwadratowych, ale za to w dobrej części osiemnastej dzielnicy, w pobliżu stacji metra Lamarck – Caulaincourt, na tyłach Sacré Coeur. Wybierając się na spacer rodzinę poinstruowałam, że schodząc w dół osiemnastki absolutnie nie powinni iść dalej niż do tamtejszego merostwa. Mama z ciocią pokiwały głowami, mama dodała, że to nie jest jej pierwszy pobyt w Paryżu, i cała czwórka wyszła zapoznać się z okolicą.

Pochłonięci rozmową nie zauważyli, że już dawno opuścili bezpieczną część miasta. Gdy się rozejrzeli, okazało się, że nie są już w Paryżu znanym z romantycznych filmów, lecz znaleźli się w samym środku afrykańskiego bazaru, gdzie mężczyźni chodzą po ulicach

w koszulach do kostek wyglądających jak piżamy, kobiety noszą hidżaby, a nawet burki, które wtedy jeszcze były legalne we Francji. Ciocia i wujek absolutnie nie spodziewali się takiego widoku w stolicy Francji.

Moja mama była jedyną blondynką o niebieskich oczach w promieniu kilku kilometrów. Wraz z ciocią, ubrane w spódnice i bluzki z krótkim rękawkiem, wyróżniały się z tłumu. Mój tata i wujek również nie byli zachwyceni takim obrotem spraw. Nie podobały im się pełne dezaprobaty i pogardy spojrzenia rzucane w kierunku ich żon. Wystraszeni natychmiast wrócili w bezpieczniejsze rejony.

Ta historia pokazuje, jak różne oblicza może mieć Paryż.

Każdy mieszka tam, gdzie lubi (lub gdzie może!)

Stolicę Francji podzielono na dwadzieścia dzielnic – *arrondissements*, a mieszkańcy każdej z nich uważają, że to właśnie ich okolica jest najlepsza. W Paryżu można wyróżnić dwie części: prawy i lewobrzeżną. Prawy brzeg (*rive droite*) znajduje się na północ od Sekwany, a lewy brzeg (*rive gauche*) to południowa część metropolii. Przez czternaście lat pobytu w Paryżu tylko raz wynajmowałam lokum na lewym brzegu, i to w mieszkaniu agencyjnym. Gdy mogłam sama wybierać miejsce zamieszkania, zdecydowałam się na prawy brzeg i do tej pory tam mieszkam.

A jak się żyje w poszczególnych dzielnicach Paryża? Zobaczcie sami – zabieram was w podróż po stolicy Francji.

Na lewym brzegu leży między innymi siódma dzielnica, gdzie znajdują się wieża Eiffla i Pałac Inwalidów. To okolica znana wszystkim, nawet tym, którzy w Paryżu nigdy nie byli. W tym rejonie mieszkają paryskie wyższe sfery, właściciele imponujących apartamentów, których ceny zawsze przekraczają milion euro. Na terenie siódemki ulokowano wiele ambasad i konsulatów (w tym ambasadę Polski). To tu mieszka elita francuskiej prawicy, dyrektorzy wielkich banków i akcjonariusze firm wchodzących w skład CAC403). Spora część dzielnicy jest pozbawiona piekarenek i sklepów spożywczych, gdyż właścicielki apartamentów nie robią zakupów – od tego mają armię

służących. Jeden z moich bliskich kolegów wychował się w domu typu *hôtel particulier*⁴⁾ znajdującym się właśnie w siódmej dzielnicy. Każdy z czterech braci miał swoją opiekunkę, jego rodzice zatrudniali dwie panie do sprzątania, jedną do prasowania i kucharkę na sześć dni w tygodniu. Tak mniej więcej żyją mieszkańcy siódemki: w innym świecie, w apartamentach, które znamy tylko z filmów i które absolutnie nie są na naszą kieszeń. No cóż, mieszkanie z widokiem na wieżę Eiffla kosztuje.

3) CAC40 – podstawowy indeks paryskiej giełdy.

4) *Hôtel particulier* – wolno stojący piętrowy dom prywatny z ogrodem.

Szóstka to dzielnica artystów, poetów, malarzy i fotografów, a także największe skupisko galerii sztuki. Tutaj mają siedziby francuskie domy mody, takie jak Sonia Rykiel czy Bonpoint. W szóstej dzielnicy mieszkają emeryci, właściciele pięknych, stylowych apartamentów i ich wnuczki posiadające kawalerki, które otrzymali od zamożnych dziadków z okazji osiemnastych urodzin. Aby żyć w szóście, trzeba być albo bogatym artystą, albo majętnym studentem Sciences-Po⁵⁾, bo bywanie w knajpach na rue de Buci, rue Mazarine i rue du Cherche-Midi sporo kosztuje. W szóście rozpoczyna się najdłuższa ulica Paryża: rue Vaugirard (ma 4,36 km długości), która kończy się w piętnastce.

5) Sciences Po – tu: Instytut Nauk Politycznych w Paryżu (Institut d'études politiques).

Także na lewym brzegu leży *quartier latin*, czyli Dzielnica Łacińska (administracyjnie należy do szóstej i piątej *arrondissement*). To właśnie tu, w dzielnicy uniwersyteckiej, znajdują się place Saint-Germain-des-Prés i Saint-Michel – ulubione miejsca spotkań młodych ludzi, a także Sorbona i Ogród Luksemburski. Niemal baśniowy, piękny obraz Dzielnicy Łacińskiej zawarł William Wharton we wspaniałej książce *Spóźnieni kochankowie* – romantycznej historii z Paryżem w tle. Jednak za mieszkanie w najstarszej części miasta

i w pobliżu tak znanych atrakcji turystycznych niestety trzeba słono zapłacić...

Piąta dzielnica pełna jest ubogich studentów wynajmujących mieszkania wielkości pudełka po butach, a także przedstawiciele starych paryskich rodzin, którzy mimo ogromnego majątku żyją jak biedota. W piątce znajdziecie jedną z najwęższych ulic miasta: rue du Chat qui Pêche, czyli ulicę polującego kota, mającą 1,80 metra szerokości. Choć jest to jedna z droższych części Paryża, cieszy się popularnością wśród turystów ze względu na swój klimat. Moim zdaniem jest przereklamowana i snobistyczna. Nie chciałabym tu mieszkać. Piątka była wspaniała do końca lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy grono francuskich studentów hipisów walczyło o swoje prawa, ale teraz wieje tu nudą. To właśnie w tym rejonie w maju 1968 roku miały miejsce zajścia związane z protestami studenckimi, o których słyszał cały świat. Dzielnicę Łacińską oraz rekonstrukcję wspomnianych wydarzeń możecie zobaczyć w pięknym, lecz kontrowersyjnym filmie Bertolucciego *Marzyciele*.

Trzynasta dzielnica znana jest jako paryskie China Town – Paryżanie nie mogą być przecież gorsi od mieszkańców Nowego Jorku. Imigranci z Chin, Wietnamu czy Kambodży stanowią dużą, zwartą i prężnie działającą część społeczności miasta. Znajdziecie tu wiele orientalnych restauracji i sklepów z żywnością azjatycką, w tym wielki supermarket braci Tang, ale również... salony masażu, słynące z różnego rodzaju przyjemności cielesnych.

W trzynastce jest chyba najwięcej wieżowców w Paryżu (nie licząc La Défense), a dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich to budynki mieszkalne. Warto zobaczyć nowoczesną bibliotekę imienia François Mitterranda oraz bardzo nietypową architekturę w pobliżu rue des Peupliers. Stojące tu malutkie domki przypominają raczej miasteczko na angielskiej prowincji niż centrum Paryża. Zakup nieruchomości w tej okolicy graniczy z cudem.

Nie mogę zbyt dużo powiedzieć na temat czternastej dzielnicy. Nie znam jej i mimo podpytywania znajomych i przyjaciół nie znalazłam nikogo, kto by tam mieszkał lub chociaż znał kogoś takiego. Do największych atrakcji rejonu należą słynne paryskie katakumby,

cmentarz Montparnasse, pchli targ na Porte de Vanves i mieszkająca w okolicy Laetitia Casta. Paryżanie uważają czternastkę za paryską prowincję z uwagi na jej niezmienną i panujący tam spokój. Zakup lub wynajem mieszkania w tej okolicy nie jest drogi z prostego powodu: mało kto chce tam mieszkać.

Piętnasta dzielnica Paryża to dwa w jednym: z jednej części rozpościera się widok na wieżę Eiffla, druga jest równie beznamienna jak czternastka. Gdy zadałam sobie pytanie, co można robić i dlaczego warto mieszkać w piętnastce, pierwszą myślą, jaka mi przyszła do głowy, było to, że nigdy nie wybrałam się tam dla przyjemności, ale zawsze z obowiązku. Właśnie w piętnastce znajduje się najlepszy szpital dziecięcy: Necker, gdzie po dwóch miesiącach oczekiwania przyszłam z córeczką na wizytę do chirurga ortopedy. Tam też ulokowano centrum egzaminacyjne dla kandydatów na kierowców, gdzie oblałam egzamin teoretyczny na prawo jazdy, bo pomyliłam guziki w pilocie! I to również tutaj jest sala koncertowo-sportowa znana jako Palais du Sport, w której wystawiane są tandetne musicale i przedstawienia. Hmm, piętnastka to nie najlepsze miejsce do zamieszkania.

Przenieśmy się teraz na prawy brzeg.

Pierwsza dzielnica Paryża znajduje się tuż nad Sekwaną. Zderzają się w niej dwa światy. Jedyńka słynie z Luwru, gdzie możecie podziwiać wspaniałe zbiory dzieł sztuki z różnych okresów i z rozlicznych krajów. Wzdłuż rzeki ciągną się malownicze stragany bukinistów. W jedynce można zobaczyć najświetniejszy paryski most: Aleksandra III. To właśnie na nim Angela, bohaterka filmu *Angel-A*, ratuje Andrégo przed samobójstwem. Również na tym moście rozgrywa się finałowa scena filmu *O północy w Paryżu*, a brytyjska piosenkarka Adele nakręciła na nim teledysk do utworu *Someone like you*. W tej bardzo prestiżowej okolicy, w pięknych, przestronnych apartamentach, niejednokrotnie z widokiem na Ogrody Tuileries, mieszka zamożna część paryskiego społeczeństwa. To również w jedynce znajdziecie wiele renomowanych hoteli, takich jak Vendôme czy Westin.

Jedyńka ma też inne oblicze. Część dzielnicy znajdująca się w okolicy Les Halles i Châtelet nie należy ani do zamożnych, ani do ekskluzywnych, a już na pewno nie jest elegancka. W tym rejonie

spotykają się młodzi ludzie, często pochodzący z przedmieść. Ich ulubionym miejscem jest McDonald przy rue de Rivoli. Nie lubię przebywać w okolicach tego fast foodu, ponieważ młodzi chuligani są bardzo ordynarni w stosunku do kobiet i wielokrotnie musiałam wysłuchiwać niesympatycznych komentarzy na swój temat. Jeśli mowa o mieszkaniach w tej okolicy, sprawa jest prosta: praktycznie ich nie ma. Większość budynków zajmują sklepy, biura lub punkty usługowe. Porządni paryżanie nie chcą mieszkać w tym rejonie, gdyż przyciąga on nieciekawe towarzystwo.

Druga dzielnica to jedna z tych części miasta, która najbardziej się zmieniła w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Kiedyś był to rejon producentów taniej odzieży i jeszcze tańszych prostytutek, dlatego miała złą opinię. Dziś stała się bardzo popularna. Rue Montorgueil to wspaniały deptak z modnymi barami sushi i restauracjami z żywnością eko, które zastąpiły popularne dawniej budki z *panini*, kanapkami. Jednak jeśli pomylicie kierunki i zapuścicie się w wąskie uliczki dwójki, wciąż możecie stanąć twarzą w twarz z leciwymi paniami do towarzystwa. Dwójka kusi i przyciąga młodych ludzi pragnących założyć rodziny i chcących poczuć się w Paryżu jak w miasteczku na prowincji. Niestety ceny za metr kwadratowy z prowincją nie mają absolutnie nic wspólnego. A szkoda, bo bardzo lubię ten rejon – często umawiam się na lunch z koleżankami w knajpkach na rue Montorgueil. W dwójce znajduje się najkrótsza ulica Paryża, rue des Degrés (ma 5,75 metra długości), na której nigdy nie uda się wam kupić mieszkania, bo... ich tam nie ma. Ten trakt składa się tylko z szerokich na 3 metry schodów, łączących dwie inne ulice.

Trójka to kolejna część miasta, w której zaszły wielkie zmiany. Jeszcze kilkanaście lat temu ta niepozorna dzielnica nie była tak chętnie zamieszkiwana. Dziś rue de Bretagne, przy której znajdowało się moje pierwsze paryskie mieszkanie, jest bardzo pożądaną lokalizacją. To między rue de Bretagne, rue Chapon i rue de Poitou powstał drugi złoty trójkąt Paryża. Spacerując uroczymi klimatycznymi uliczkami trójki, w ciągu jednego popołudnia możecie spotkać znanego piosenkarza M., francuskie aktorki Leïlę Bekhti i Clémence Poésy i niezwykle popularnego DJ-a Boba Sinclaira. Oczywiście, przez to ceny mieszkań

w trzeciej dzielnicy w ciągu ostatnich lat stały się dwa razy wyższe. W trójce wychodząc po bagietkę i jabłka do pobliskiego warzywniaka, możecie wrócić do domu z butami Stelli Cadente lub zakietem od Isabel Marant. Trójka to już nie powód do żartów, ale dzielnica, w której chcą mieszkać wybrańcy. Przy 51 rue de Montmorency znajduje się najstarsza kamienica w Paryżu. Jej właścicielem był czternastowieczny francuski alchemik i prawnik Nicolas Flamel. Ten budynek nie jest na sprzedaż, aktualnie w jego wnętrzach działa restauracja o nazwie Oberża Nicolasa.

Czwarta dzielnica składa się z przeciwieństw. W Marais, historycznej części należącej administracyjnie do trzeciej i czwartej *arrondissement*, ortodoksyjni Żydzi z pejsami i w wielkich czarnych kapeluszach sąsiadują z gejami i lesbijkami obnoszącymi się ze swoimi preferencjami seksualnymi. W czwórce znajdziemy niepozorne sklepiki, które sprzedają modne i wyjątkowo drogie ubrania, meble i inne zupełnie niepotrzebne przedmioty. Warto dodać, że czwórka i osiemnastka to jedyne dzielnice, gdzie w niedziele prowadzi się handel, co przyciąga tam mnóstwo chcących zrobić zakupy turystów i paryżan. W czwórce można zjeść najlepsze falafele⁶⁾ w mieście (słynie z nich rue des Rosier) i kupić prawdziwy sernik, makowiec czy chałkę w piekarniach o polsko brzmiących nazwach. Wieczorem jest to idealne miejsce na spotkania towarzyskie, kolację i drinka. Polecam czwórkę wszystkim kobietom pragnącym pobawić się we własnym towarzystwie bez narażania się na zaczepki. Mimo że w dzielnicy można spotkać przystojnych młodych mężczyzn ubranych w obcisłe spodnie i jeszcze bardziej obcisłe podkoszulki, na pewno nie znajdzie się tutaj kandydata na męża. W Marais i w czwórce mieszkają głównie Żydzi, homoseksualiści i wyjątkowo zamożni Amerykanie. Nie należę do żadnej z tych grup, za to jestem fanką Marais i bardzo często wybieram się tam na pyszne szalarmy⁷⁾ i falafele.

6) Falafele – wywodzące się z Bliskiego Wschodu kotleciki z soczewicy lub z grochu.

7) Szalarma – arabska potrawa w postaci kawałeczków mięsa okrawanych z pionowego rożna.

Z ósmą dzielnicą kojarzą się bogactwo, luksus i biznes. Ósemka słynie ze złotego trójkąta, który wyznaczają avenue Montaigne, avenue George V i słynna na cały świat avenue des Champs Élysées. To właśnie tutaj znajdują się najbardziej znane paryskie butiki, a także siedziby renomowanych firm. Ósemkę zamieszkują bardzo zamożni ludzie, nieukrywający swego wysokiego statusu społecznego. Oglądaliście film *Nietykalni*? Główny bohater, Philippe, poruszający się na wózku inwalidzkim, mieszkał w przepięknym, ogromnym *hôtel particulier* właśnie w ósemce. Mieszkania przy niektórych ulicach w tej dzielnicy osiągają ceny powyżej piętnastu tysięcy euro za metr kwadratowy, co czyni je najdroższymi w Paryżu.

W ósemce znajduje się światowej sławy *brasserie* Le Fouquet's, w której możecie napić się kawy w towarzystwie Nicolasa Sarkozy'ego. Mimo że lokal miał poważne problemy z higieną i nie przechodził pozytywnie kontroli tutejszego sanepidu, nadal jest kultowym miejscem zwłaszcza w środowisku bling-bling⁸). W ósemce znajduje się również restauracja l'Avenue, popularna wśród klientów lubiących botoks, lifting, sportowe samochody i wielkie zegarki. Przychodzą tu na przykład mocno naciągnięte damy, nawet w środku nocy noszące wielkie okulary słoneczne. Można tu też spotkać młode piękne kobiety, które właśnie skończyły zakupy w znajdującym się naprzeciwko butik Diora, a teraz jedzą sałatki w towarzystwie swoich grubych, łysiejących i palących cygara sponsorów. Kilka lat temu też tam bywałam razem z moimi koleżankami modelkami, ponieważ bardzo chciałyśmy szpanować, pokazując się w takich modnych i snobistycznych lokalach. Cóż, młodość ma swoje prawa. W tej dzielnicy znajduje się również park Monceau, idealne miejsce na wypoczynek dla pracujących w pobliskich biurach biznesmenów. Wiosną i latem podczas przerwy na lunch można obserwować, jak oblegają każdy centymetr kwadratowy trawników, konsumując swoje niebiańsko drogie sandwicze. Aby zamieszkać w ósemce, musicie być wyjątkowo bogaci albo pracować dla kogoś wyjątkowo bogatego i wtedy dostaniecie pokój dla służby.

8) Bling-bling – paryskie określenie nowobogackich obnoszących się z swoim majątkiem.

Dziewiąta dzielnica tkwi między galeriami handlowymi Printemps i Galeries Lafayette, słynącymi ze sprzedaży drogich, markowych produktów, oraz placem Pigalle z jego sex-shopami. Na południu dziewiątki ulokowano mnóstwo biur, a co za tym idzie, lunchowych restauracyjek, w których już za osiem euro można kupić kanapkę lub za dwadzieścia pięć euro zamówić sałatkę na wynos (bułeczka z mąki organicznej z ziarnami sezamu w cenie). Północna część dziewiątki ostatnimi czasy uległa wielkiej przemianie. Kilka lat temu zamieszkiwały ją podejrzanе typy pracujące w seksbiznesie, dziś ich miejsce zajęli młodzi, kreatywni ludzie: kompozytorzy, aktorzy, literaci. Dziewiątka to również dobre miejsce na nocne wyjścia, działa w niej wiele modnych klubów i lokali z ofertą na każdą kieszeń. Znajdziecie tutaj słynną salę koncertową Olympia. W północnej części dziewiątki całkiem dobrze się mieszka, a ceny są do przyjęcia. Chciałabym wynajmować mieszkanie w dziewiątce: mąż miałby blisko do pracy i nie traciłby czasu na dojazdy, a ja... no cóż, miałabym blisko do Galeries Lafayette i Printemps i też bym nie traciła czasu, tylko górę pieniędzy.

Dziesiąta dzielnica Paryża to typowe paryskie slamsy w okolicy dworców Północnego (Gare du Nord) i Wschodniego (Gare de l'Est), gdzie można spotkać bezdomnych, pijaków i narkomanów. Wszędobylski brud przerazi niejednego turystę. Dziesiątka to również dzielnica afrykańska: w pobliżu stacji metra Château d'Eau kolorowi naganiacze proponują zrobienie oryginalnej fryzury w tutejszych salonach. Te pseudozakłady fryzjerskie znane są z tego, że ich pracownicy przebywają na terenie Francji nielegalnie, co właściciele „oaz urody” podle wykorzystują. Oprócz Afrykańczyków w dziesiątce mieszkają również Hindusi, Pakistańczycy i... biali paryscy bobo. Bobo to bogacze, którzy udają biednych, i mimo że stać ich na torebkę od Chanel, paradują z tą kupioną w second-handzie.

Boboland, bo tak teraz potocznie zaczyna się nazywać dziesiątkę, to mieszanka wybuchowa. Oprócz sklepów typu *black beauty*, hinduskich kramów sprzedających kurczaka *tandoori*) i wypożyczalni DVD z największymi hitami Bollywood znajdziecie tu modne bary i restauracje oraz sklepy ze zdrową żywnością. Jeśli chcecie kupić ekokakao z Gwatemali, organiczną herbatę ze Sri Lanki czy oliwki

z Maroka uprawiane bez użycia pestycydów, to jedźcie do dziesiątki. Okolice wzdłuż kanału Saint-Martin zyskała popularność za sprawą hitu kinowego *Amelia* Jean-Pierre'a Jeuneta. Dziesiątka staje się coraz bardziej atrakcyjna, więc i ceny tutejszych mieszkań powoli rosną. Jeśli macie kilkaset tysięcy euro na zbyciu, to nie zwlekajcie, bo za kilka lat okaże się, że była to korzystna inwestycja. A jeśli lubicie oryginalne budynki, proponuję zakup najwęższego domu w Paryżu, którego fasada jest szeroka na 1,1 metra (a wysoka na 5 metrów). Ta nietypowa konstrukcja znajduje się przy 39 rue du Château d'Eau.

9) Kurczak *tandoori* – pieczony kurczak marynowany w jogurcie i ostro doprawiony, popularne danie kuchni indyjskiej.

Jedenasta dzielnica Paryża, z placem Bastylli powstałym na miejscu słynnego więzienia, jest dość ciekawa, pod warunkiem że nie bywa się tu zbyt często. Słynie z rue Oberkampf, przy której znajdziecie wiele barów i lokali, w większości w stylu postindustrialnym. Tanie drinki i jeszcze tańsze piwo kuszą tabuny młodych szukających wrażeń ludzi. Rue de la Roquette, również znana z nocnego życia, przyciąga wielu nieciekawych mieszkańców paryskich przedmieść, którzy prowokują bawiącą się młodzież. Jedenastkę upodobały sobie także agencje reklamowe, studia fotograficzne i firmy graficzne. To dzielnica klasy średniej, gdzie zarówno czynsze, jak i ceny mieszkań wciąż nie przerażają normalnych ludzi.

Mieszkańcy Paryża nazywają dwunastą dzielnicę sypialnią. Na jej terenie znajduje się co prawda Dworzec Lyoński (Gare de Lyon), ale na tym kończą się atrakcje w tej okolicy. W dwunastce nie ma ani restauracji, ani barów, ani żadnych godnych uwagi klubów. Mieszkają tu ludzie, którzy za wszelką cenę chcą mieć w kodzie pocztowym liczbę 75 (kierunkowy do Paryża), ale nie stać ich na to... Mówiąc o dwunastce, warto wspomnieć jeszcze tylko o Marché d'Aligre, tutejszym targu spożywczym, znanym z wyjątkowo niskich cen.

Dwudziestka szybko zyskuje na znaczeniu. Jeszcze niedawno zamożniejsi paryżanie ją bojkutowali, dziś stała się ulubionym miejscem paryskiej bohemy. To tutaj znajduje się park Belleville, z którego można podziwiać piękną panoramę miasta... W dwudziestce działają zarówno

hotel i restauracja Mama Shelter projektu Philippa Starcka, jak i orientalne czy afrykańskie bary o nie najlepszej reputacji. To w tej dzielnicy znajdziecie najlepszą, najciekawszą i najbardziej niezwykłą księgarnię w mieście: Le Merle Moqueur, Kos Żartowniś. W dwudziestce, na malowniczej rue Irénée Blanc, mieszkał filmowy Mikołajek z rodzicami. Ta okolica, znana jako Campagne à Paris, to kilkanaście wąskich uliczek, przy których stoją miejskie domki jednorodzinne wzniesione dla robotników w ubiegłym wieku. Dwudziestka staje się coraz bardziej atrakcyjna, kreatywna i artystyczna, dzięki czemu przyciąga nowy typ lokatorów wypierający poprzednich, arabskiego pochodzenia, na przedmieścia po drugiej stronie Peryferyka¹⁰).

10) Peryferyk (fr. Périphérique) – obwodnica Paryża.

Mieszkańcy dziewiętnastej dzielnicy tworzą mieszankę nacji, ras i religii. Żyją tu zarówno francuscy Żydzi, jak i Afrykańczycy, Arabowie i Chińczycy. Jeszcze kilka lat temu okolica od stacji metra Stalingrad aż po Crimeé znana była jako *crackland* (wszelkie narkotykowe skojarzenia ze słowem *crack* są jak najbardziej uzasadnione) i większości paryżan nie przyszłoby do głowy, by chcieć tu mieszkać. Jednak ta część miasta również uległa zmianom. Od niedawna bardzo cenią ją młodzi, zamożni ludzie pracujący w branży filmowej. W dziewiętnastce znajduje się malowniczy park Buttes-Chaumont, chętnie odwiedzany przez dzieci jeżdżące tu na rowerach i hulajnogach oraz przez okolicznych mieszkańców organizujących w nim pikniki. W dzielnicy można się wybrać na romantyczny spacer nad kanałem l'Ourcq czy na koncert lub film w parku La Villette. Idealnym miejscem do zamieszkania w dziewiętnastce jest barwny rejon Jourdain – mała prowincja w centrum dzielnicy.

Osiemnasta dzielnica Paryża to słynny, uwielbiany przez turystów Montmartre z bazyliką Sacré Coeur wieńczącą wzgórze Montmartre. Wzniesienie zyskało popularność dzięki filmowi *Amelia*. Można stąd podziwiać panoramę stolicy, wyjątkowo malowniczą zwłaszcza o zachodzie słońca. Mieszkania na Montmartrze cieszą się dużym powodzeniem mimo wygórowanych cen. Są tu zarówno wspaniałe

apartamenty z niepowtarzalnym widokiem zamieszkałe przez leciwych paryżan, jak i maluteńkie dziuple. Tutaj mieściło się pierwsze kupione przeze mnie mieszkanie. Spędziłam w tej okolicy wiele lat, znam ją jak własną kieszeń i bardzo lubię powracać na stare śmieci.

Osiemnastka to również najbardziej afrykańska dzielnica miasta. Spacerując między stacjami metra Barbès – Rochechouart i Château Rouge, poczujecie się jak na Czarnym Lądzie. W ciągu dnia ten rejon tętni życiem, można tu kupić afrykańskie wyroby, ale również „znalezione” telefony komórkowe oraz „prawie oryginalne” torebki Louisa Vuittona. Po zmierzchu okolica robi się niebezpieczna i zmienia się w centrum handlu narkotykami. Na każdym rogu można się wtedy natknąć na młodociane prostytutki i ich alfonsów. Życie w afrykańskiej części osiemnastki jest tanie, a ceny mieszkań i kwoty czynszów nie są wygórowane. Przyczynia się do tego zła sława tej części miasta.

Okolice placu Ternes w siedemnastce to świetne miejsce na zakupy. Jeden z kwartałów siedemnastej dzielnicy to urocze Batignolles zamieszkiwane przez rodziny z dziećmi oraz starszych panów regularnie grających w bule¹¹). Znajdziecie tutaj mnóstwo restauracji serwujących pyszne dania i jeszcze więcej sympatycznych barów proponujących wyśmienite wina. W siedemnastce mieszka wiele znanych osób, takich jak komicy Élie Semoun, Franck Dubosc i Gad Elmaleh. Tutaj urodził się Nicolas Sarkozy, tu mają swoje domy francuscy politycy prawicowi. Siedemnastka to świetna okolica do zamieszkania, niestety ceny tutejszych mieszkań są zbyt wygórowane dla przeciętnego zjadacza chleba.

11) Gra w bule (fr. *pétanque*) – tradycyjna francuska gra w kule.

Szesnastka jest wyjątkowo snobistyczna i bardzo bogata. Znajdziecie tu mnóstwo wspaniałych budynków z jeszcze wspanialszymi apartamentami. W szesnastce warto zamieszkać, jeżeli lubicie tenisa, bo będziecie mieli blisko na korty Rolanda Garrosa, lub jeżeli jesteście fanami klubu piłkarskiego Paris Saint-Germain, którego stadion znajduje się w okolicy. W dzielnicy jest jeszcze Palais Tokyo, gdzie organizuje się wystawy sztuki współczesnej. Jednak jeśli nie macie gosposi i niańki z Filipin, to szesnastka nie jest dla was. Zresztą pewnie i tak nie byłoby

was stać na kupienie tu mieszkania.

Wynajem to niełatwa sprawa

Gdy już zdecydujecie się, w której części stolicy chcecie zamieszkać, i dowiedziecie się, że nie przysługuje wam żadne mieszkanie socjalne ani nawet minimalne dofinansowanie z kasy państwa, rozpoczniecie poszukiwania lokum na własną rękę. Najpierw do wynajęcia, a z czasem (gdy już wygracie w totolotka lub dostaniecie niebotycznie wysoki spadek) do kupienia. Cóż, jeśli myślicie, że będzie łatwo, to jesteście w dużym błędzie.

Wynajęcie mieszkania w Paryżu to bardzo skomplikowany proces, podczas którego trzeba pokonać wiele przeszkód. Właściciele mieszkań zabezpieczają się, jak mogą, i stawiają różne warunki. Musicie więc zarabiać trzy razy tyle, ile wynosi czynsz, mieć umowę o pracę na czas nieokreślony i koniecznie znaleźć co najmniej dwóch żyrantów, którzy wyłożą pieniądze, jeśli przestaniecie płacić. Jednak trudno się temu dziwić: bycie właścicielem paryskiego mieszkania do wynajęcia to bardzo stresujące zajęcie. Tutejsze prawo zawsze stoi po stronie lokatora. Nawet jeśli ten nie wywiązuje się ze swoich obowiązków, najemca nie ma prawa go eksmitować, jedynie proces sądowy może pomóc się go pozbyć.

Ostatnio głośno było o kłopotach młodego Francuza, który postanowił kupić dwupokojowe mieszkanie w centrum miasta właśnie pod wynajem. Mimo że miał już jeden kredyt, jakimś cudem bank zdecydował się przyznać mu kolejny. Zadowolony paryżanin zainwestował więc w drugie mieszkanie. Planował je spłacać dzięki pieniądzom z najmu. Wynajął je młodej kobiecie z dzieckiem pracującej zawodowo i mającej wszystkie wymagane dokumenty oraz jej partnerowi. Kobieta spełniała każdy z warunków stawianych przez właściciela. Przez pierwsze dwa miesiące wszystko było w porządku, a czynsz wpływał na konto. W trzecim miesiącu zaczęły się poważne problemy. Lokatorka przestała płacić, tłumacząc się brakiem pieniędzy, jednak właściciel mieszkania nie miał wymówki i musiał spłacać kredyt. Wpadł w kłopoty finansowe, zadłużył się u rodziców i przyjaciół.

Wielokrotnie składał skargi na policji i w urzędach. W odpowiedzi otrzymywał informację, że skoro młodzi mają dziecko, to nie można ich wyrzucić. Paryżanin wraz z grupą przyjaciół zdecydował się więc wkroczyć do swojego mieszkania i je splądrować, aby zmusić lokatorów do wyprowadzki. Żeby nie było niedomówień, jeden z kolegów nagrywał całą akcję. Młodzi ludzie odcięli krany, wymontowali zlew, wannę, a nawet sedes. Wyjęli okna i drzwi oddzielające kuchnię, łazienkę i toaletę. Zabrali lodówkę, piecyk oraz pralkę. Lokatorka zgłosiła ten akt wandalizmu na policję i... wygrała sprawę. Zadłużony po uszy właściciel musiał pokryć koszty naprawy wszystkich zniszczeń, podczas gdy kobieta nadal mieszka w jego mieszkaniu i nie płaci czynszu.

Zamykaj drzwi na kłódkę

Gdy kupiliśmy dom, w którym aktualnie mieszkamy, wiedzieliśmy, że czeka nas wiele miesięcy ciężkiej pracy przy jego remoncie. Dom był w tragicznym stanie: nie miał łazienki, ogrzewanie nie działało, instalacja elektryczna pamiętała czasy dwudziestolecia międzywojennego, w piwnicy buszowały szczury, a na drugim piętrze gołębie uwiły sobie gniazda. Jednak remont szedł sprawnie i początkowo niczym się nie denerwowaliśmy. Zaczęliśmy się stresować dopiero wtedy, gdy nasz dom nadawał się już do zamieszkania, choć nie był jeszcze wykończony. Obawialiśmy się, że w ostatniej fazie remontu ktoś zdecyduje się do niego wprowadzić i przejąć naszą własność!

Gdy opowiadałam o tym polskiem znajomym, nie bardzo wiedzieli, o co mi chodzi. A sprawa wygląda tak: Francja to bardzo nietypowy kraj mający nietypowe prawo. Stanowi ono na przykład, że nie można eksmitować ludzi z domu, nawet jeśli nie należy on do nich. Sporo nieuczciwych typów wykorzystuje tę sytuację. Co roku paryżanie opuszczają miasto w sierpniu i jadą na długo oczekiwane wymarzone wakacje. Podczas ich nieobecności mieszkania są oczywiście narażone na kradzieże, jednak nie jest to głównym zmartwieniem właścicieli nieruchomości. Ich prawdziwy problem to tak zwani squaterzy, czyli ludzie, którzy przywłaszczają sobie cudze mieszkania. Takie osoby

jakimś cudem dostają się do środka, na przykład wyważają drzwi lub demontują zamek, a następnie... się rozgaszczają. Montują nowe zamki, dzwonią do gazowni i zakładów energetycznych, żeby poinformować o zmianie danych odbiorcy usług na fakturze, i zmieniają nazwisko na skrzynce pocztowej. Rodzina po powrocie z urlopu staje przed drzwiami własnego mieszkania i dowiaduje się, że nie ma gdzie mieszkać. Oczywiście, dzikich lokatorów można się pozbyć na drodze sądowej, ale zdarza się, że trwa to latami. Głośno było o paryżaninie, który w akcie desperacji strzelił do nieoczekiwanego gościa z broni palnej.

Na szczęście, nikt się nie wprowadził do naszego domu, tylko moja mama grozi nam czasem z uśmiechem, że zadomowi się tu na stałe, gdyż prawo francuskie na to zezwala...

Misja mieszkanie

Szukanie mieszkania do wynajęcia przypomina wyprawę po zaginioną arkę, a przyszły lokator, chcąc nie chcąc, zmienia się w Indiana Jonesa paryskiej dżungli. Ogłoszeń jest mało, a chętnych wielu.

Podczas poszukiwań mojego pierwszego paryskiego lokum brałam pod uwagę przede wszystkim cenę. Marzyło mi się tak zwane studio, czyli jednopokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką mające maksymalnie trzydzieści metrów kwadratowych, bo na więcej nie było mnie stać. Gdy oglądałam pierwsze mieszkanie znajdujące się na trzecim piętrze, okazało się, że kolejka chętnych zajmuje całe schody i kończy się przed bramą budynku. Kolejne lokum miało bardzo oryginalną kuchnię, wyposażoną w prysznic, a toaleta mieściła się w czymś, co przypominało szafę lub schowek. Następne mieszkanie było maluteńkie, ale miało *mezzanine*, antresolę. Problem polegał na tym, że przy moich stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu prawie dotykałam głową sufitu, bo antresola była nisko zawieszona.

Okazało się, że jeszcze inne oglądane przeze mnie mieszkanie nie jest studiem, lecz *studette*, typowo paryskim wynalazkiem, jednym z tych pomysłów, dzięki którym świat dowiaduje się, jak zrobić coś z niczego i zarobić na tym grube pieniądze. Większość paryskich

kamienic pochodzi z połowy dziewiętnastego wieku, gdy prefekt departamentu Sekwany George Haussmann zmieniał oblicze Paryża, przekształcając średniowieczne zaułki w nowoczesną zabudowę. Jednym z powodów, dla których zdecydowano się zmienić stolicę Francji w ogromny plac budowy, było założenie, że w nowo powstałych kamienicach osiadą elity, a biedota i klasa średnia przeniosą się do peryferyjnych, robotniczych dzielnic (na przykład osiemnastej, dziewiętnastej czy dwudziestej). Pomysł zrealizowano i wzniesiono piękne, bogato zdobione kamienice, w których znajdowały się przestronne apartamenty. Na strychu każdego z budynków ulokowano pokoiki mające od dziewięciu do dwunastu metrów kwadratowych przeznaczone na mieszkania dla służących. Dziś już chyba nikt nie ma służby w dawnym znaczeniu tego słowa, co najwyżej bogate rodziny zatrudniają gosposię albo nianię w pełnym wymiarze godzin, ale te pracownice mieszkają we własnych mieszkaniach (często na przedmieściach). Dawne *chambre de bonne*, pokoje dla służby, stały się *chambre d'étudiant*, pokojami dla studentów, nazywanymi *studette*.

Studette to zatem kawalerka wielkości przeciętnej szafy wnękowej. Toaleta bardzo często znajduje się na piętrze i jest wspólna dla wszystkich mieszkańców pokoiów na poddaszu. Łazienki, czyli miniaturowe kabiny prysznicowe, są wciśnięte między łóżko, biurko z telewizorem a piecyk gazowy dumnie nazywany *kitchenette*, kuchenką. Jednak to, co w założeniu ma być aneksem kuchennym, często bardziej przypomina zabawkową kuchenkę mojej trzyletniej córeczki niż miejsce, gdzie można coś ugotować. Oczywiście, na poddasze nie dojeżdża winda. Jeśli *studette* znajduje się w luksusowym budynku, to można wjechać windą przynajmniej na czwarte lub piąte piętro. W przypadku gdy w kamienicy nie ma windy, trzeba wdrapywać się do swego pokoiku po schodach, pocieszając się myślą, że ruch to zdrowie.

Udało się!!!

Po kilkunastodniowych intensywnych poszukiwaniach i obejrzeniu około dwudziestu różnych mieszkań zdarzył się cud. Właściciel jednego z *appartements* zadzwonił do mnie z informacją, że zdecydował się

wynając mi mieszkanie. Tego wieczoru piłam szampana z bliskimi mi osobami, świętując to ważne wydarzenie. Już w następnym tygodniu podpisałam umowę, zyrantem był ojciec mojego ówczesnego chłopaka (dziś męża), a kilka dni później wprowadzałam się do własnego pierwszego paryskiego lokum o powierzchni aż dwudziestu metrów kwadratowych.

Moje wymarzone mieszkanie mieściło się na drugim piętrze budynku bez windy pochodzącego z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku w bardzo sympatycznej okolicy. W pobliżu znajdował się park, stacja metra, mnóstwo sklepów spożywczych i różne punkty handlowo-usługowe. Moje gniazdko składało się z długiego i bardzo wąskiego korytarza, z którego harmonijkowymi drzwiczkami wydzielono toaletę. Z korytarza przechodziło się do pokoju pełniącego funkcję salonu, jadalni, sypialni, pokoju gościnnego i biura. W rogu pokoju, który kształtem przypominał wagon kolejowy, znajdowała się łazienka z kabiną prysznicową i umywalką. Tuż obok we wnęce umieszczono miniaturową lodówkę, miniaturowe szafki, miniaturowy zlew i jeszcze bardziej miniaturową kuchenkę z jednym palnikiem. Podczas gotowania musiałam wybierać: albo sos, albo makaron.

Mieszkanko wydawało się przytulne, mimo że było *à rafraîchir*, do odświeżenia. Jak się później przekonał mój biedny tata, odświeżenie polegało na remoncie popadającego w ruinę mieszkania z grzybem na ścianie. Moje lokum było ciche i spokojne, gdyż jego jedyne okno wychodziło nie na ulicę, ale na podwórko domu nazwane przez moich rodziców studnią. Mimo skromnych warunków mieszkalnych około roku dwutysięcznego wynajem tej kawalerki kosztował mniej więcej tyle, co dwie pensje przeciętnego Polaka. Dziś mieszkam w dużym, komfortowym domu, jednak z czułością i sympatią wracam myślami do tego małego studia.

Poszukując szczęścia

Przez ostatnie lata w Paryżu mieszkałam w pięciu mieszkaniach agencyjnych, byłam współlokatorką przyjaciela i samodzielnie wynajęłam trzy lokale. Długo myślałam, że to właśnie znalezienie

nieruchomości na wynajem stanowi problem. Jednak potem przekonałam się, że kupno mieszkania jest jeszcze gorsze. To prawdziwa *mission impossible*, tyle że bez Toma Cruise'a do pomocy.

Zanim zdecydowaliśmy się z mężem na zakup podmiejskiego domu, przez prawie pół roku szukaliśmy lokum, które odpowiadałoby naszym wymaganiom. Mieliśmy ustalony budżet i dokładnie wiedzieliśmy, na czym nam zależy. Określiliśmy rejon, w którym chcemy zamieszkać, i odwiedziliśmy kilka agencji mieszkaniowych.

Po kolejnych weekendach i wieczorach spędzonych na oglądaniu *appartements* zaczęłam się zastanawiać, czy agenci nieruchomości w ogóle słuchają swoich klientów. Wszystko wskazywało na to, że po prostu pokazują to, czym aktualnie dysponują. Zwiedzaliśmy więc mieszkania na piątym piętrze bez windy, mimo że mówiłam, iż chcemy powiększyć rodzinę. Pokazywano nam lokale z jednym pokojem, a nie dwoma, tłumacząc, że przecież na początku można spać z dzieckiem we wspólnej sypialni. Zaprezentowano nam głośne mieszkania przy ruchliwych ulicach, choć prosiliśmy o ciche lokum w spokojnej okolicy. Próbowano nawet wcisnąć nam *appartement*, gdzie za sąsiadów mielibyśmy prostytutki i dilerów narkotyków.

W końcu nauczyłam się wyłapywać pułapki w ogłoszeniach. Gdy agent zachwycał się kosmopolityczną okolicą, okazywało się, że chce nam sprzedać mieszkanie w sercu dzielnicy afrykańskiej, chińskiej, arabskiej lub hinduskiej, gdzie jedyne okoliczne sklepy to budki sprzedające kebaby, a punkty usługowe oferują głównie dostęp do taniego Internetu i rozmowy telefoniczne w promocyjnej cenie. Gdy proponowano nam mieszkanie w cichej okolicy, oznaczało to, że znajduje się ono co najmniej piętnaście minut marszu od najbliższego przystanku czegokolwiek lub że do najbliższej stacji metra trzeba dojeżdżać autobusem. Natomiast gdy mówiono, że jest w pobliżu metra, to było w nim słychać przejeżdżające wagony i czuło się ich wibracje. Określenie „nietypowe” oznaczało lokum całkowicie niefunkcjonalne, z kolei słowo „funkcjonalne” zapowiadało miejsce brzydkie i nieatrakcyjne. Jeśli w ogłoszeniu zaznaczono, że w oknach są nowe, podwójne i dźwiękoszczelne szyby, to prawie zawsze okazywało się, że mieszkanie znajduje się przy tak hałaśliwej ulicy, że nigdy nie

otworzymy dobrowolnie okien z obawy przed ogłuchnięciem. Najczęściej spotykaną pułapką było określenie „do odświeżenia”. Według zapewnień agentów nieruchomości odświeżenie miało polegać na pomalowaniu ścian na biało. Jednak nawet remont proponowanych nam mieszkań nie poprawiłby ich stanu. Jedynym rozwiązaniem byłoby wysadzenie ich w powietrze, zalanie ruin chlorem w celu dezynfekcji i wybudowanie wszystkiego od nowa.

Zwróciłam uwagę na to, że większość lokali okazywała się brudna i zagracona bez względu na to, czy mieszkała w nich rodzina, młode małżeństwo, bogaty student, czy staruszka pamiętająca marsze emancypantek. Widok rozrzuconej brudnej bielizny, resztek jedzenia na podłodze czy pościeli ciśniejącej na posadzkę skutecznie zmniejszał chęć wynajmu lub zakupu. Kolejną niespodzianką było to, że w dwudziestym pierwszym wieku niektóre mieszkania (zwłaszcza te zamieszkiwane przez staruszków) nie zostały wyposażone w łazienki! Owszem, były toalety, czasami nawet porcelanowe, pięknie zdobione, ale brakowało wanien i pryszniców. W części lokali w pokojach znajdowały się tylko umywalki, ewentualnie bidety. Hmm, to chyba nie świadczy zbyt dobrze o poziomie higieny paryżan.

Jednak mimo że ceny paryskich mieszkań są coraz wyższe, a podatki i opłaty związane z ich zakupem również wzrosły, to inwestowanie w nieruchomości jest nadal popularne zarówno wśród Francuzów, jak i obcokrajowców. Nawet ogólnoświatowy krach mieszkaniowy nie dotknął stolicy Francji: ceny mieszkań nie spadły, a liczba kupców się nie zmniejszyła. Można to łatwo wytłumaczyć: inwestycja w lokal w centrum Paryża jest bardzo opłacalna, ale stanowi również wskaźnik pozycji społecznej i możliwości finansowych. Jeśli masz mieszkanie w Paryżu, to jesteś kimś.

Wymarzony, wyśniony...

Mój bliski przyjaciel, który jest agentem nieruchomości i pracuje dla bardzo zamożnych ludzi, opowiadał mi kiedyś zabawną historię o bogatym szejku zainteresowanym zakupem mieszkania w sercu Paryża. Apartament miał być tylko jego bazą weekendowo-wakacyjną,

co wcale nie oznaczało, że szejk nie miał wygórowanych wymagań. Pewnego razu po wielu dniach intensywnych poszukiwań i męczącego oglądania kolejnych mieszkań zrezygnowany Arab wracał do hotelu w towarzystwie mojego kolegi. Nagle uradowanym głosem krzyknął: „To jest to! Idealne miejsce! Wspaniały budynek, cudowna okolica. Chcę to!!!”. Mój przyjaciel uśmiechnął się i odpowiedział, nie ukrywając ironii: „To jest ratusz, możemy mieć problem z jego zakupem”. Na szczęście w Paryżu nie wszystko jest na sprzedaż.



Miłość po parysku

Paryż, miasto miłości, przyciąga tłumy zakochanych. Japończycy robiący zdjęcia ślubne pod wieżą Eiffla lub Amerykanie klęczący na schodach bazyliki Sacré Coeur z pierścieniem zaręczynowym na stałe wpisali się w krajobraz stolicy Francji. Na każdym kroku można spotkać uśmiechnięte pary patrzące sobie głęboko w oczy. Wieczorny rejs statkiem po Sekwanie czy spacer w Ogrodach Tuileries co roku kuszą miliony zakochanych. Wielu ugodzonych strzałą Amora odwiedza miasto, by spędzić tu romantyczny weekend we dwoje, którego nieodzownym elementem jest nastrojowa kolacja przy świecach.

Gdy przyjechałam do Paryża po raz pierwszy jako nastolatka, obiektem moich westchnień nie był żaden z kolegów z klasy, ale Leonardo DiCaprio, odtwórca głównej roli w blockbustercie¹⁾ *Titanic*. Jak większość moich koleżanek marzyłam o romantycznej miłości przez wielkie M, takiej jak na szklanym ekranie, tylko że ze szczęśliwym zakończeniem. Jednak ani przez moment nie podejrzewałam, że właśnie w Paryżu poznam mężczyznę, z którym połączy mnie płomienne uczucie.

1) Blockbuster – film lub program telewizyjny cieszący się olbrzymią popularnością.

Paryski romantyzm

Francuzi słyną ze swojego romantyzmu i entuzjastycznego podejścia do kobiet. Mówi się, że dbają o swoje partnerki i potrafią całkowicie zawrócić im w głowie. A paryżanie? Oni są esencją wzorca romantycznego Francuza. Trzeba przyznać, że warunki im sprzyjają. Paryż to niezwykle piękne miasto, które potrafi zachwycić i rozkochać w sobie od pierwszego wejrzenia. Dlatego, gdy kilka tygodni po moim przyjeździe nowo poznany paryżanin Martin zaproponował mi kolejny wspólny spacer, natychmiast się zgodziłam. Czy może być coś przyjemniejszego dla młodej wolnej kobiety niż kameralna wycieczka po Paryżu? Tym razem pojechaliśmy w okolice Montmartre'u, tutejszego

wzgórza zakochanych. Wąskie i kręte uliczki natychmiast mnie oczarowały. Piękne fasady zabytkowych kamieniczek, brukowane zaułki i zielone pędy winorośli wspinające się po murach domów sprawiały, że okolica wyglądała niemal jak z bajki. Turyści i paryżanie siedzący w kawiarnianych ogródkach przy metalowych stolikach i pijący czerwone wytrawne wino, artyści malujący kiczowate portrety, muzycy grający francuskie standardy muzyczne – wszyscy wydawali się równie magiczni, jak to miejsce.

Słońce powoli chowało się za horyzontem, gdy po dłuższym spacerze dotarliśmy pod majestatyczną bazylikę Sacré Coeur. Na jej ogromnych schodach siedziało mnóstwo śmiejących się, rozmawiających i bawiących się w najlepsze ludzi. Gdy już udało się nam przecisnąć pomiędzy nimi, przed moimi oczami rozpostarł się jeden z najpiękniejszych widoków, jakie tylko można sobie wymarzyć. Panorama miasta była niepowtarzalna, wyjątkowa i niezapomniana. Martin stanął za mną i jak cierpliwy nauczyciel zaczął wskazywać kolejne zabytki, opowiadając ich historię. W pewnym momencie obrócił mnie szybko plecami do horyzontu i posadził na murku odgradzającym nas od kolejnych tarasów. I wtedy zobaczyłam to, co tak bardzo chciał mi pokazać, gdy mówił, że zaprowadzi mnie w najpiękniejsze miejsce Paryża. Przede mną wznosiła się biała fasada bazyliki skąpanej w ostatnich promieniach letniego słońca. Niemal w tym samym momencie nachylił się nade mną i odgarniając potargane wiatrem kosmyki, złożył na moich ustach gorący pocałunek... Paryżanie to kwintesencja romantyzmu.

Czy wyjdiesz za mnie?

Jeden z moich wieloletnich przyjaciół, paryżanin z dziada pradziada, postanowił oświadczyć się swojej partnerce. Jednak podarowanie pierścionka z pytaniem: „Czy zostaniesz moją żoną?” wydawało mu się zbyt zwyczajne. Po tygodniach intensywnych rozmyślań wpadł na genialny pomysł. Wybranka jego serca pochodziła z innego kraju i mieszkała w niewielkiej, kilkunastotysięcznej miejscowości. Pewnego dnia, gdy otworzyła drzwi domu, aby jak co

dzień podnieść leżącą pod nimi gazetę, zwróciła uwagę na jej nietypową okładkę. Na pierwszej stronie dziennika widniało zdjęcie mojego przyjaciela. Na fotografii był ubrany w garnitur, a w rękę trzymał różę. Pod zdjęciem widniało pytanie: *Will you marry me?*, czy wyjdiesz za mnie?, z dopiskiem: „Czekam na odpowiedź dziś o dwudziestej w naszej ulubionej restauracji”. Dziewczyna z ogromną radością przyjęła oświadczyzny jeszcze tego samego dnia. Jak się później okazało, mój przyjaciel skontaktował się z przedstawicielami lokalnej prasy i przedstawił im swój pomysł. Członkowie redakcji amerykańskiego dziennika byli zaskoczeni, ale i zachwyceni tą nietypową inicjatywą. Słowa „Francja”, „Paryż” i „miłość” brzmiały jak zaklęcia dla tamtejszych dziennikarzy.

Inny kolega po wielu latach wspólnego mieszkania ze swoją ukochaną stwierdził, że nie może pójść na łatwiznę i oświadczyć się standardowo. Tuż przed wyjazdem na wakacje kupił pierścionek i schował go głęboko w walizce. Na miejscu po kilku dniach pobytu na pięknych plażach pokrytych złotym piaskiem zakochani zdecydowali się na wspólne nurkowanie. Gdy byli już pod wodą, na niewielkiej głębokości, mój znajomy nagle pokazał swojej ukochanej pudełeczko spoczywające na dnie. Dziewczyna podniosła je i otworzyła, a potem zdumiona spojrzała na mojego kolegę, który trzymał zalaminowaną kartkę z napisem: *Dis oui*, powiedz tak.

Jeszcze inny kolega także postanowił się oświadczyć podczas urlopu. Gdy spacerował ze swoją dziewczyną o zachodzie słońca, na niebie pojawił się wynajęty przez niego samolot ciągnący za sobą transparent, na którym widniało pytanie: *Pour toujours?*, na zawsze?.

Pewnego wiosennego dnia, podczas jednego z moich licznych pobyków w Polsce, zadzwoniła moja paryska agentka, mówiąc, że ma dla mnie ciekawą pracę. Chodziło o serię pokazów mody w... Wenecji! Bookerka twierdziła, że mimo iż zlecenie było słabo płatne, warto je przyjąć. Za jej radą zgodziłam się i kilka dni później leciałam z Paryża do Włoch.

Niestety, przez ten wyjazd nie zdążyłam się spotkać z Martinem, który był w delegacji. Bardzo mnie to zasmuciło, gdyż dwa tygodnie u rodziców i tydzień w pracy miały sprawić, że nie będziemy się widzieć

przez prawie cały miesiąc. Najgorsze jednak dopiero miało nastąpić: po wyjściu z samolotu i zapakowaniu się do *vaporetto*²⁾ wiozącego turystów do centrum miasta okazało się, że jestem jedyną samotną kobietą. Byłam załamana. Niektórzy marzą o Paryżu, ja w nim mieszkam, więc marzyłam o Wenecji... Myślałam, że po raz pierwszy wybiorę się tam właśnie z moim Francuzem – na romantyczny weekend. Gdy wysiadłam z łódki w samym sercu miasta, mój smutek tylko się pogłębił. Zobaczyłam skąpany w słońcu plac Świętego Marka pełen zakochanych – pary siedziały w kawiarenkach, tańczyły, przytulały się i spacerowały... Samotna, ze spuszczoną głową ruszyłam do wcześniej zarezerwowanego hotelu.

2) *Vaporetto* – wenecki tramwaj wodny.

Na miejscu powitał mnie młody recepcjonista, który z uśmiechem na ustach przyjął moje dokumenty, a następnie zawołał boya hotelowego, by pomógł mi z walizkami. Gdy już dotarliśmy do pokoju, okazało się, że klient wynajął dla mnie piękny przestronny apartament na ostatnim piętrze hotelu. Podziękowałam boyowi i wręczyłam mu napiwek, a potem zatrzęsłam drzwiami. Byłam wściekła: skąpy drań mało płaci za pokazy, ale zarezerwował dla mnie taki pokój.

Wciąż wzburzona usiadłam na wielkim łóżku i dopiero wtedy zauważyłam, że na narzucie rozłożone są eleganckie sukienki, buty, a nawet bielizna... Obok leżała koperta. Otworzyłam ją i przebiegłam wzrokiem wiadomość. Przeczytałam ją raz i drugi, i kolejny, aż do oczu napłynęły mi łzy... Pobiegłam do szafy i szybko ją otworzyłam. W środku, równo ułożone na półkach, leżały ubrania Martina. Nie było żadnych pokazów, żadnego klienta ani żadnego zlecenia. W liście Martin prosił, abym się odświeżyła i dołączyła do niego o dwudziestej w pobliskiej restauracji. Byłam absolutnie zaskoczona.

Po szybkim prysznicu umalowana i uczesana wskoczyłam w jedną z sukienek i wysokie szpilki, a następnie zbiegłam po stromych schodach hotelu. Młody recepcjonista na mój widok zagwizdał, jak na prawdziwego Włocha przystało, i podniósł kciuk w górę. Zdenerwowana maszerowałam przez miasto prosto do restauracji, w której czekał mój Francuz. Martin przywitał mnie ubrany w elegancki garnitur. Zamówił

szampana i zaczął długi, zdający się nie mieć końca monolog, ponieważ ja nie byłam w stanie wykrztusić z siebie ani jednego sensownego słowa. Poza pięknym widokiem, romantycznym nastrojem i łagodną muzyką niczego nie pamiętam z tej kolacji.

Po posiłku poszliśmy na spacer. Nagle na samym środku placu Świętego Marka Martin uklęknął przede mną i wyjął pudełeczko. Gdy je otworzył, zobaczyłam piękny pierścion z diamentem. Z wielką radością powiedziałam: *Oui*, tak. Padliśmy sobie w ramiona i dopiero po kilku sekundach pocałunku dotarło do mnie, że słyszę brawa. Okazało się, że wokół nas zgromadzili się przechodnie, którzy przyglądali się tej romantycznej scenie...

Paryżanie to naprawdę niezwykle gatunek.

Wszyscy mówią: „Kocham cię”

Nie można zwiedzić stolicy Francji i nie odwiedzić jej najbardziej nastrojowych zakątków. Niektóre z nich są już owiane legendą, inne powstały całkiem niedawno, ale świetnie dopasowały się do charakteru miasta. Oto kilka z nich, zarówno niezwykle popularnych wśród mieszkańców stolicy, jak i jeszcze nie do końca odkrytych.

Pont des Arts to jeden z najbardziej znanych paryskich mostów. Łączy dzielnice pierwszą i szóstą, łączy się między Luwrem a Instytutem Francuskim. Został wybudowany za panowania Napoleona Bonaparte'a i był pierwszym stalowym mostem w mieście. Mimo licznych uszkodzeń, zamknięć, a nawet częściowych rozbiórek przetrwał do czasów współczesnych, a w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku został zrewitalizowany. Pont des Arts stał się jednym z ulubionych miejsc zakochanych paryżan i turystów, którzy licznie tu przybywają, aby zaczepić na jego balustradach kłódkę ze swoimi inicjałami. Kluczyk zazwyczaj ląduje na dnie Sekwany.

Most „występował” w wielu filmach, takich jak *Amelia*, *Diabeł ubiera się u Prady* czy *Tożsamość Bourne'a*. Od pokoleń był miejscem schadzki kochanków. Jednak na listę najbardziej romantycznych miejsc Paryża, a nawet świata dostał się dzięki... Carrie Bradshaw – amerykańskiej felietonistce, heroinie kultowego serialu *Seks w wielkim*

mieście. To właśnie na Pont des Arts nakręcono finałową scenę ostatniego odcinka serialu, w której bohaterka pada w ramiona swojego ukochanego Mr. Biga. Od momentu emisji miliony kobiet na całym świecie pragną choć przez chwilę poczuć się jak Carrie.

Paryskie merostwo utrzymuje, że pierwsze kłódki na moście pojawiły się dopiero w 2008 roku. Do dziś nie wiadomo, kto zapoczątkował ten zwyczaj. Podejrzewa się, że to azjatyccy turyści przenieśli tu swoją tradycję zaczepiania kłódek w świętych górach, by zapewnić szczęście nowożeńcom. Barierki Pont des Arts z powodu zbyt dużego obciążenia metalowymi kłódkami (ich ciężar oszacowano na ponad czterdzieści ton!) regularnie się obrywały, uszkodzając pozostałe części mostu. Pojawiali się również żartownisie, którzy w nocy obcinali wszystkie kłódki i wrzucali je do rzeki lub wycinali barierki, pozostawiając dziury w balustradzie. Ze względu na bardzo duże i częste uszkodzenia paryscy radni we wrześniu 2014 roku zabronili wieszania kłódek na moście. Balustrady zostały wymienione i na miejscu metalowych kratownic pojawiły się plastikowe panele. Ciekawe, na jak długo te zmiany i zakazy powstrzymają zakochanych. Na pewno znajdują jakiś sposób, by kreatywnie uzewnętrznic swoje uczucia.

Każdy choć raz pisał patykiem na piasku inicjały swojej sympatii. Wielu długopisem, a nawet cyrklem utrzymywały na szkolnej ławce imię swojej miłości. Jednak najbardziej popularnym i zarazem kontrowersyjnym miejscem wyznawania uczuć była szkolna tablica, na której podczas przerwy smarowało się serduszko z inicjałami wybranki bądź wybranka z dopiskiem: „Kocham cię”. Frédéric Baron, zainspirowany tą młodzieńczą miłosną twórczością, zapragnął zrealizować szalony projekt. Postanowił wybrać się w podróż dokoła świata, nie opuszczając Paryża. Najpierw poprosił brata, aby w zeszycie napisał w swoim rodzimym języku: „Kocham cię”. Tak powstał pierwszy napis: *Je t'aime*. Kolejne osoby, do których zwrócił się z tą samą prośbą, były jego sąsiadami; pochodziły z Rosji, Portugalii, Algierii czy Kamerunu. Frédéric Baron wytrwale zbierał deklaracje miłosne ludzi ze swojego bliższego i dalszego otoczenia, aż jego zeszyt prawie się zappełnił: zawierał tysiąc wyznań miłości w ponad trzystu różnych językach i dialektach. Następnie Baron zaprosił do współpracy

kaligrafkę i graficzkę Claire Kito, która złożyła zapiski w całość. Dzięki ich współpracy powstał projekt muru. Słowa: „Kocham cię” zostałyby na nim zapisane w najważniejszych językach i dialektach świata. Dzięki innemu artyście, Danielowi Boulogne, zrealizowano projekt muru. Ma on powierzchnię czterdziestu metrów kwadratowych i składa się z sześciuset dwunastu czarnych lakierowanych kafelków. Mur des Je t'aime znajduje się u podnóża wzgórza Montmartre, na placu Abbesses, naprzeciwko wejścia do stacji metra. Stał się nowym romantycznym symbolem miasta – co roku podziwiają go setki tysięcy turystów z całego świata szukających na tym pomniku miłości wyznania: Je t'aime w ich ojczystym języku.

Jednym z ciekawszych i bardziej nastrojowych miejsc w Paryżu jest Square du Vert-Galant na samym czubku Île de la Cité – wysepki, na której znajduje się najświetniejsza katedra świata: Notre-Dame de Paris. Plac, nazwany na cześć króla Henryka IV, znanego jako bawidamek i mającego ogromną słabość do kobiet, od wieków uważa się za jedno z najlepszych miejsc na romantyczne spotkania. Oblewany falami Sekwany zielony skwer jest położony tak nisko, że gdyby wody rzeki nieco się podniosły, można by moczyć w niej nogi. Paryżanie uwielbiają spotykać się tam w weekendy i organizować całonocne pikniki.

Paryż to nie tylko zabytki i muzea, ale również wspaniałe parki, gdzie można odpocząć. Chyba każdy słyszał o Ogrodach Luksemburskich czy Tuileries, ale w mieście jest też wiele innych zielonych obszarów. Park Montsouris, znajdujący się na południu Paryża, na obrzeżach czternastej dzielnicy, mimo że nie należy do najbardziej popularnych wśród turystów miejsc, jest najczęściej odwiedzany przez okolicznych mieszkańców. Okrzyknięto go jednym z najromantyczniejszych parków nad Sekwaną. Wśród zielonych trawników, stawów i sadzawek można dostrzec spacerujące pary trzymające się za rękę i obserwujące łabędzie, dzikie gęsi czy kaczkę. Wiele wspaniałych rzeźb wykonanych przez uznanych artystów, takich jak Etex, Lipsi czy Desca, ozdabia ogród już od połowy dziewiętnastego wieku. Wielbicie francuskiego kina znają park dzięki filmowi *Zakochany Paryż*. Ta nietypowa produkcja, składająca się z osiemnastu krótkometrażowych obrazów połączonych w jedną całość, ukazuje różne

oblicza miłości – wszystkie z Paryżem w tle. Akcja jednej z nowel filmowych rozgrywa się właśnie w parku Montsouris.

Innym, równie magicznym miejscem jest niewielki ogród należący do muzeum *de la vie romantique*, czyli muzeum romantyzmu. Placówka mieści się w typowym paryskim *hôtel particulier* w samym sercu dziewiątej dzielnicy, w pobliżu placu Pigalle. Można tam zobaczyć liczne pamiątki z życia dwójki artystów z epoki romantyzmu: malarza Ary'ego Scheffera oraz pisarki George Sand. W muzealnym ogrodzie znajdziemy wąziutkie alejki, klomby obsadzone kwiatami i krzewami, a także stoliki i ławeczki, które zachęcają do odpoczynku w tej oazie spokoju, przy śpiewie ptaków. To wspaniałe miejsce na wypicie herbaty, dyskusję lub na wyznanie uczuć bliskiej osobie.

Przez żołądek do serca

Dla paryżanina jedzenie i miłość są ze sobą ściśle powiązane. Dlatego w stolicy znajduje się mnóstwo restauracji, w których można zjeść wyśmienity posiłek i spędzić wyjątkowe chwile.

Wieża Eiffla to nie tylko największy i najbardziej znany symbol Paryża, ale również miejsce gwarantujące, że wieczór spędzony w jednym z tutejszych lokali będzie najbardziej romantyczną częścią pobytu w stolicy Francji. Na pierwszym piętrze, pięćdziesiąt osiem metrów nad ziemią, ulokowała się szykowna *brasserie*, niewielka knajpa, serwująca typowo francuskie dania. Restauracja 58 Tour Eiffel, otwarta tylko w czasie przerwy obiadowej, oferuje oryginalne menu nawiązujące do smakołyków, jakie często zabiera się na piknik. Smaczna kuchnia, nowoczesne wnętrza i wspaniały widok na plac Trocadéro sprawiają, że wizyta w tym miejscu na długo zapada w pamięć.

Aby zjeść kolację na drugim piętrze wieży Eiffla, sto dwadzieścia pięć metrów nad ziemią, stolik trzeba zarezerwować z wielotygodniowym, a nawet wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Znajduje się tam wspaniała restauracja Le Jules Verne, w której znajomy Szwajcar poprosił moją serdeczną przyjaciółkę o rękę. I mimo że obsługa była im brawo i w ramach prezentu zaoferowała szampana, kolega na tę kolację wydał prawie połowę swojej sporej

szwajcarskiej pensji. Sam jednak podkreślał, że było warto. Poza tym w cenę wliczono wino, które w ekskluzywnych restauracjach czasem osiąga astronomiczne ceny. Tutejsze menu degustacyjne skomponowane przez jednego z najlepszych szefów kuchni na świecie, Alaina Ducasse'a, przyciąga tłumy zamożnych turystów, a także mieszkańców stolicy. Eleganckie wnętrza, wyszukane potrawy oraz najpiękniejsza nocna panorama miasta – to zalety Le Jules Verne.

Jeśli nie planujecie randki w chmurach, a chcielibyście dodać szczyptę magii do waszego związku, idealnym rozwiązaniem będzie kolacja na statku płynącym po Sekwanie. Sam rejs jest jedną z największych paryskich atrakcji, jednak kolacja na *bateau mouche*, statku, to esencja romantyzmu. Przy pięknie nakrytych stołach, dźwiękach francuskiej muzyki i w blasku świec będziecie degustować wyszukane dzieła paryskich kuchmistrzów i podziwiać niezwykle widoki na miasto świateł. Elegancy kelnerzy zaserwują afrodyzjaki w postaci ostryg i schłodzony wytrawny szampan do ich popicia. Brzmi zachęcająco?

Buduar to niewielki pokój kobiecy, wykwintnie umeblowany i udekorowany. Pierwsze buduary powstawały właśnie we Francji na początku osiemnastego wieku. Pierwotnie służyły do odpoczynku, jednak z czasem między innymi za sprawą *Filozofii w buduarze* Markiza de Sade pomieszczenia te zaczęły być kojarzone z pozamałżeńskimi igraszkami szykownych dam. Co prawda, buduary zniknęły z domów na początku dwudziestego wieku, jednak ich mit przetrwał do dziś. Wielu paryskich restauratorów otworzyło lokale, których wnętrza przypominają raczej zmysłowe pokoje zabaw dla dorosłych niż restauracje. Welurowe kanapy, skórzane szerokie fotele, ciężkie kotary i przyciemnione światło sprawiają, że miejsca te mają wyjątkowo romantyczną atmosferę. Jednym z moich ulubionych restauracji tego typu jest Le First w luksusowym hotelu Westin. Tamtejszą kartę dań i win docenili nawet eksperci przyznający gwiazdki Michelina.

Kankan

Paryż to światowe centrum rozrywki, nie mogło więc zabraknąć

w nim kabaretów, które stanowią symbol miasta, choć często balansują na granicy kiczu i wulgarności. Młode, zgrabne tancerki w skąpych strojach i wielkich pióropuszech tańczą tam w rytm muzyki, dumnie eksponując swoje nagie biusty, a elegancko ubrani widzowie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, skandują, zachęcając artystki do kontynuowania występu.

Pierwotnie *cabaret* był rodzajem baru czy jadalni. Dopiero pod koniec dziewiętnastego wieku Rodolphe Salis, otwierając lokal Chat Noir i nazywając go kabaretem artystycznym, nadał temu słowu inne znaczenie. Kilka lat później Joseph Oller w dzielnicy Montmartre otworzył pierwszy kabaret taneczny: Moulin Rouge, co znaczy „czerwony wiatrak”. Okolica cieszyła się opinią rozrywkowej, więc lokal, w którym kobiety tańczyły w skąpych jak na tamte czasy strojach, błyskawicznie zyskał rozgłos. Kankan bardzo szybko został uznany za taniec bardzo frywolny, a nawet bezwstydnny, co tylko zwiększyło jego popularność.

Dziś nikt nie wyobraża sobie Paryża bez Moulin Rouge, Lido czy Paradis Latin. Gośćmi tych barwnych kabaretów w większości są turyści lub zakochane pary, które występy traktują jako preludium do nadchodzącej upojnej nocy...

Najseksowniejsze miasto świata

Miłość i seks idą w parze. Paryż to nie tylko romantyzm. To także gorące noce pełne przeróżnych przyjemności. Wiele osób ponad wizytę w popularnym kabarecie przedkłada zabawę w mniej eleganckich miejscach. Stolica Francji ma im wiele do zaoferowania.

Plac Pigalle słynie nie tylko ze sprzedaży kasztanów, ale też z salonów masażu i sklepów z seksgadżetami. Także boulevard de Clichy ciągnący się u stóp wzgórza Montmartre i leżąca na nim najbardziej urocza dzielnica miasta z romantyzmem mają niewiele wspólnego. Między arabsko-chińskimi sklepami z pamiątkami oraz piekarniami, sprzedającymi podejrzanie wyglądające kanapki, można kupić wiele frywolnych zabawek, które dodadzą pikanterii życiu seksualnemu.

Jednym z największych sex-shopów w okolicy jest Le Sexodrome. To owiane legendami miejsce przypomina samoobsługowy supermarket, w którym zamiast paczki makaronu *tagliatelle* i sosu *pesto rosso* można wyposażyć się w silikonowy wibrator i skórzane kajdanki do zabaw sado maso. Ten czteropoziomowy sklep nie należy do eleganckich, podobnie zresztą jak jego klienci. Na parterze umieszczono najpopularniejsze gadzety erotyczne. Znajdziecie tu wibratory wykonane z przeróżnych materiałów, dmuchane lalki, kulki gejszy, ale również różne gry planszowe. W podziemiach urządzono stoisko z bielizną i akcesoriami tekstylnymi. Jeśli jednak myślicie, że sprzedaje się tam seksowne majteczki i staniki z jedwabiu lub koronki, to jesteście w błędzie. Kiczowate i często wulgarne, wykonane z kiepskiej jakości materiałów komplety bielizny nie będą stanowiły pięknej pamiątki z pobytu w Paryżu. Ale gdy szukacie kombinezonu z lateksu, właśnie tutaj możecie go nabyć już za około czterdzieści euro. Stroje pielęgniarek, stewardes czy zakonnic to jedne z wielu przebrań, które znajdziecie na wieszakach. Ich ceny są bardzo zróżnicowane, zaczynają się od trzydziestu euro. Moją uwagę zwróciła długa suknia z lycry z metalowymi ćwiekami na wysokości biustu. Zastanawiałam się nawet, czy nie kupić jej dla żartu, ale cena – dziewięćdziesiąt euro – skutecznie mnie odstraszyła. Pierwsze piętro Le Sexodrome to raj dla amatorów sado maso i wszelkiego rodzaju fetyszystów. Trudno mi ocenić tę część oferty, bo tak naprawdę wiem, co można zrobić jedynie z kajdankami sprzedawanymi tu za dwadzieścia euro. Sporą część tej kondygnacji zajmuje stoisko z płytami DVD i Blu-ray z filmami pornograficznymi. Patrząc na kategorie, według których je posortowano, nie mogłam się nadziwić, że ten sklep znajduje się w mieście okrzykniętym stolicą szyku... Na drugim piętrze mieści się jeden z wielu paryskich klubów dla swingersów – obecnie w remoncie, aby podwyższyć standard i przyciągnąć jeszcze większą liczbę gości chętnych do grupowych zabaw i igraszek.

Oprócz sex-shopów w tym rejonie miasta prawie na każdym rogu ulicy znajdziemy *peep-show*, gdzie tancerki w specjalnych kabinach oferują prywatne występy. Jednak największą atrakcją Montmartre'u są wszędobylskie bary z – jak się oficjalnie mówi – paniami do

towarzystwa. Kobiety pracujące w tych miejscach to tancerki, które w rytm muzyki wyginają się na podestach, tuż przed nosami mężczyzn sączących najdroższe drinki w mieście. Naganiacze przed wejściem do każdego lokalu proponują bezpłatny wstęp mężczyznom spragnionym widoku nagich tancerek. Do obowiązków gościa należy kupienie drinka sobie i jednej z dziewczyn pracujących w klubie. Problem polega na tym, że ceny są niemiłosiernie zawyżane przez nieuczciwych właścicieli, którzy żądają nawet do stu pięćdziesięciu euro za whisky z colą! Gdy wystraszony klient orientuje się, że wpadł w pułapkę, próbuje się wycofać, jednak jest już na to za późno: wyjście blokują postawni ochroniarze. Mężczyźni nie pozostaje więc nic innego niż uregulowanie absurdalnie wysokiego rachunku.

Oficjalnie na Montmartrze nie działa seksbiznes. Jak jest naprawdę, łatwo się domyślić. Jedno nie ulega wątpliwości: mimo że można tu spotkać chuliganów, pseudoalfonsów, pijaczków i inne typki spod ciemnej gwiazdy, dzielnica jest wyjątkowo bezpieczna. Właściciele okolicznych klubów starają się, aby policja pojawiała się w pobliżu jak najrzadziej, dlatego przy pomocy ochroniarzy pilnują porządku. Uwierzcie, ani ja, ani żadna z moich koleżanek nigdy nie zostałyśmy zaczepione w tej okolicy, nawet jeśli było już bardzo późno.

Zabawki dla dorosłych

Nie wszystkie sklepy z zabawkami dla dorosłych są obskurne i nieprzyjazne. Od kilku lat w Paryżu powstają zdecydowanie bardziej atrakcyjne butikiki oferujące akcesoria w stylu *glamour*. Sklepy te w przeciwieństwie do przybytków „pigallowych” to kwintesencja dobrego smaku. Ich gośćmi nie są zdesperowani samotni mężczyźni, ale ludzie pragnący dodać trochę pikanterii swojemu życiu seksualnemu. Te ekskluzywne butikiki, z których najbardziej znany jest Passage de Desire, Pasaż Pożądania, znajdują się w biznesowych dzielnicach, między bankami, firmami marketingowymi czy biurami adwokackimi. Klientki i klienci wpadają tu w przerwie obiadowej, aby kupić kolorowe, często naprawdę urocze zabawki. Obsługa tego rodzaju sklepów to w większości elegancko ubrane młode atrakcyjne kobiety władające

kilkoma językami – przecież także turyści ulegają pokusie odwiedzenia miejsc z zabawkami dla dorosłych. Wibrator w kolorze fuksji i w kształcie wieży Eiffla może być świetną pamiątką z wycieczki.

Jedną z pierwszych osób, które założyły elegancki sex-shop, była Nathalie Rykiel, córka znanej projektantki Soni Rykiel. W 2002 roku przy prestiżowym boulevard Saint-Germain, w samym sercu Dzielnicy Łacińskiej, Nathalie otworzyła butik z akcesoriami dla pań nazwany Rykiel Woman. Któregoś dnia, gdy byłam w tamtej okolicy, teściowa poprosiła mnie o zajrzenie do sklepu Rykiel Enfant z ubraniami dla dzieci. Chciała sprawdzić, czy można tam kupić sweterek w odpowiednim rozmiarze, który wypatrzyła w ostatnim numerze francuskiego „Elle”. Weszłam do głównego sklepu, żeby zapytać o ubranko, ale miła ekspedientka poinformowała mnie, że poszukiwany przeze mnie butik znajduje się nieco dalej, w bocznej uliczce. Po chwili weszłam więc do kolejnego punktu sprzedaży Rykiel, tylko że zamiast uroczych sweterków i sukienek zobaczyłam... plastikową, czarną, wibrującą kaczuszkę z delikatnymi piórkami wokół szyi. Od razu pomyślałam: „Sklep z zabawkami Rykiel”, jednak po bliższym przyjrzeniu się temu miejscu stwierdziłam, że owszem, na półkach i w szklanych gablotkach prezentowane są zabawki, tylko nie te dla dzieci. Uśmiechnięta sprzedawczyni powitała mnie i zaprosiła do zapoznania z ofertą butiku. Ani przez chwilę nie czułam dyskomfortu czy zażenowania. Wystrój sklepu był niezwykle elegancki, powietrze przyjemnie pachniało, na kontuarach paliły się luksusowe świece. Klientki nie wyglądały na zdeprawowane rozpustnice, ale na szykowne damy. Po półgodzinnej wizycie i obejrzeniu różnych mniej lub bardziej zaskakujących przedmiotów za namową ekspedientki skusiłam się na drobny zakup. Nie zdradzę wam, co znalazło się w atłasowym woreczku z kokardką włożonym do czarnej kartonowej torebki z napisem „Sonia Rykiel”, z którą opuściłam sklep. To moja słodka tajemnica. Wieczorem teściowa zadzwoniła z pytaniem, czy znalazłam szukany przez nią rozmiar sweterka. Sweterka? Jakiego sweterka? Zaaferowana niespodziewanym odkryciem kompletnie zapomniałam zajrzeć do dziecięcego butiku...

Oprócz wytwornych sex-shopów Francuzki (i Francuzi!)

uwielbiają kokieteryjną i frywolną bieliznę. Tutejsze kobiety plasują się w ścisłej europejskiej czołówce, jeśli chodzi o liczbę posiadanych majteczek i staników. Sporo większych, renomowanych firm bielizniarskich ma francuskie korzenie. Francuską królową bielizny od lat pozostaje paryżanka Chantal Thomass. W latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku stworzyła markę, która mimo wielu wzlotów i upadków pozostaje jedną z najbardziej pożądanym na francuskim rynku. Bielizna Chantal Thomass jest piękna, luksusowa i bardzo kosztowna. Kolekcje prezentowane przez projektantkę zawsze są zmysłowe i uwodzicielskie. Wytworne materiały, hafty, koronki czy ponętne kokardki i falbanki od lat zachwycają klientki i stanowią obiekt pożądania wielu francuskich kobiet. Butik Chantal Thomass znajdujący się pod numerem 211 na prestiżowej rue Saint-Honoré to kwintesencja kobiecości. Gustownie urządzone bardziej przypomina buduar niż sklep. Kryształowe żyrandole, welurowe sofy w kolorze pudrowego różu, stoliki projektu Philippe'a Starcka, eleganckie lustra i świeczniki sprawiają, że zakupy stają się czymś więcej niż zwykłym wydawaniem pieniędzy. Będąc w Paryżu, powinniście koniecznie zajrzeć do tego magicznego miejsca, aby choć przez chwilę poczuć jego zmysłową atmosferę idealnie pasującą do stolicy Francji. Jako pamiątkę zamiast magnesu na lodówkę lepiej kupić wytworne pończochy czy gorset, z których słynie marka. W takim kokieteryjnym stroju każda kobieta może się wcielić w rolę paryskiej kurtyzany.

Przytulnie, miło i seksownie

Gdy kolacje, spektakle, wycieczki po romantycznych miejscach, a nawet zakupy bielizniarskie będą już za wami, warto zrelaksować się w jakimś miłym miejscu. Paryż dysponuje ogromną bazą noclegową: od malutkich hosteli po hotele przypominające pałace – wybór jest bardzo duży. Znam kilka miejsc, które może nie są pięciogwiazdkowymi przybytkami luksusu, ale trudno odmówić im oryginalności i uroku.

Chantal Thomass zdecydowała się na rozwinięcie swojego bieliznianego imperium i – tak jak Sonia Rykiel – poszła o krok dalej, aby sprostać wymaganiom i potrzebom młodych kobiet dwudziestego

pierwszego wieku. Niedawno otworzyła Vice Versa, który jest jednym z najbardziej kobiecych i zmysłowych hoteli w Paryżu. Miejsce to – jak mówi sama projektantka – inspirowane jest siedmioma grzechami głównymi. Wystrój pokoi na kolejnych kondygnacjach nawiązuje do pychy, chciwości, nieczystości, zazdrości, łakomstwa, gniewu i lenistwa. W sypialniach poświęconych chciwości dominują ciemne kolory, a na ścianach i sufitach można oglądać banknoty z różnych krajów świata. Nawet szafy pasują do konwencji, gdyż przypominają sejfy. Lenistwo utożsamia się tu z piękną zieloną łąką i błękitnym niebem, na tle którego unoszą się wielobarwne motyle i ptaki. W pokojach podporządkowanych temu grzechowi panuje idealna atmosfera do odpoczynku i słodkiego nicnierobienia. Na piętrze gniewu znajdziemy czarne ściany, złote pioruny i klamki w kształcie pistoletów. Pycha to patronka apartamentów kapiących złotem, udekorowanych kolumnami i greckimi statuami. Zazdrość stała się inspiracją dla pokoi pełnych przedmiotów, których pożądają paryżanie. Flakony ekskluzywnych perfum, stylowe puderniczki, eleganckie szpilki czy kufry przepełnione dobrami materialnymi stanowią elementy wystroju. Chyba najbardziej niezwykle są sypialnie reprezentujące nieczystość, ponieważ urządzono je w stylu typowym dla imperium Chantal Thomass: pełnym erotyzmu. Kryształowe żyrandole, welurowe fotele i obicia łóżka, abażury lamp przypominające koronkę, piękne zdjęcia roznegliżowanych kobiet to tylko niektóre elementy dekorujące wnętrza tych apartamentów. Moimi faworytami pozostają jednak pokoje obrazujące łakomstwo, które uważam za najbardziej paryskie. Znajdziemy w nich pastelowe kolory, szkicowany portret Marii Antoniny na ścianie, fotel w kształcie babeczki i okrągłe łóżko z poduszkami makaronikami. Wszystko wygląda bardzo smakowicie. Recepcja hotelu przypomina pałac Królowej Śniegu. Urządzona w bieli zaskakuje niezwykle meblami, takimi jak krzesła w kształcie... damskich pośladek. Jadalnia przenosi nas w czasie do Ameryki lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Dominują tu stoliki i taborety w stylu retro, przesłodzony wystrój i jaskrawe kolory. Gości zadziwiają lampy w kształcie czajniczków do parzenia herbaty. Hotel wydaje się balansować na granicy kiczu, ale jej nie przekracza – jest bardzo szykowny i z pewnością wyjątkowo działa na zmysły.

Paryż, Moja Miłość, Skradziony Pocałunek czy Miłosny Sekret to nie tytuły komedii romantycznych, lecz nazwy pokoi w jednym z najbardziej nastrojowych hoteli w mieście. Czterogwiazdkowy Montmartre, Mon Amour słynie z oryginalnego wystroju i niepowtarzalnej atmosfery, o którą zadbała projektantka Sandrine Alouf. Przeważają tu ciepłe kolory, dominują czerwienie i brązy, ale nie brakuje również zmysłowych odcieni fioletu. Na ścianach wiszą wizerunki znanych francuskich par, cytaty z wierszy miłosnych i portrety pięknych kobiet. Pokoje w kolorze miłości przypominają bombonierki. Gośćmi hotelu są nie tylko turyści, ale i liczni paryżanie pragnący oderwać się od szarej rzeczywistości. Świetnie usytuowany, u podnóża wzgórza Montmartre, stanowi idealną bazę wypadową dla wieczornych przechadzek po dzielnicy artystów i zakochanych.

Ponad pół wieku temu do Molitora szło się po to, by poderwać paryżankę. To tutaj paryskie kobiety pokazały światu, co to jest bikini, a następnie zademonstrowały swoje nagie biusty, promując do dziś popularne we Francji opalanie się toples. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku budynek stał się żywą galerią street artu – tworzyli tu najwięksi artyści tej gałęzi sztuki: Psychose, Skki i Katre. Kilka lat temu dawna paryska pływalnia została kupiona przez inwestora. Z okazji swoich osiemdziesiątych urodzin otrzymała w prezencie sporą dawkę botoksu i porządny lifting, dzięki czemu stała się najbardziej oryginalnym hotelem w mieście. Jego otwarcie w 2014 roku było ogromnym sukcesem. Choć to magiczne miejsce zmieniło funkcję, zachowało swój charakter. Dawne przebieralnie to dziś pokoje hotelowe z oknami wychodzącymi na ogromny basen zajmujący cały dziedziniec budynku. Na dachu hotelu urządzono taras z pięknym widokiem na miasto. Organizuje się na nim *barbecue* dla gości.

Do najbardziej niezwykłych hoteli należy pierwszy w Paryżu, ale również pierwszy we Francji i jeden z nielicznych w Europie obiektów tego typu, Love Hotel. O hotelach miłości po raz pierwszy usłyszałam podczas jednej z moich podróży do Tokio. Japończycy, mimo że nie rozmawiają publicznie o seksie, bardzo lubią go uprawiać. Niestety, złe warunki mieszkaniowe w Japonii, gdzie duża część młodych ludzi nadal

mieszka z rodzicami, oraz tradycja wspólnego zamieszkiwania rodzin wielopokoleniowych sprawiły, że społeczeństwo zaczęło szukać alternatywnych rozwiązań. W *love hotels*, których w samej stolicy Kraju Kwitnącej Wiśni jest już ponad siedem tysięcy (sic!), pokoje wynajmuje się na godziny. Jeśli oczyma wyobraźni widzicie już obskurne klitki w odrapanym budynku, jesteście w dużym błędzie. Paryski Love Hotel, powstały w oparciu o japoński koncept, charakteryzuje się bardzo wysokim poziomem. Hotel proponuje dwie możliwości do wyboru: *stay* (od jednej do trzech godzin) i *rest* (pobyt całonocny lub całonocny). Obiekt zapewnia swoim klientom całą gamę różnych atrakcji i udogodnień. Można w nim zamówić masaż relaksacyjny (nie mylić z erotycznym!) lub kupić dowolny strój, który doda pikanterii miłosnym igraszkom. Butik Love Hotel oferuje mnóstwo zabawek dla dorosłych oraz możliwość zakupu lub wypożyczenia najnowszych filmów pornograficznych z całego świata. Każdy z pokoi urządzono w jakiejś konwencji – ich dobór zaspokoi oczekiwania nawet najbardziej wymagających klientów. W Pokoju Orientalnym poczujecie się jak Jasmin i Alladyn albo jak kochankowie z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Można pobawić się w kapitana okrętu w pokoju przypominającym kajutę wielkiego statku rejsowego albo podziwiać się podczas wspólnych psot w Pokoju Luster. Jeśli zdecydujecie się na kilkugodzinną przerwę w zwiedzaniu miasta, proponuję zarezerwować Pokój Paryski – za trzydzieści pięć euro za godzinę spędzicie upojne chwile, oglądając nocną panoramę miasta z wieżą Eiffla... na fototapecie z efektem 3D!

Paryskie rozmowy dorosłych

Francuzi kochają korzystać z życia. Dlatego dobre wino, smaczne jedzenie i satysfakcjonujący seks to podstawa ich egzystencji. O ile w Polsce hotele miłości, gdzie pokoje można wynająć na godziny, prawdopodobnie spotkałyby się z potępieniem ze strony Kościoła i konserwatywnej części społeczeństwa, to we Francji powstanie takich obiektów nie wiązało się z żadnymi kontrowersjami. Podejście Francuzów do uciech cielesnych od zawsze było zdecydowanie swobodniejsze niż w przypadku obywateli innych państw. We Francji

o seksie rozmawia się podczas kolacji z przyjaciółmi, w telewizji śniadaniowej, na spotkaniach biznesowych, a nawet w wieczornych wiadomościach. Seks jest jednym z ulubionych tematów dyskusji i żartów. Mój mąż wielokrotnie wzbudzał mieszane uczucia wśród naszych polskich znajomych, gdy między sałatką z łososia a filetemi z indyka żartował ze spraw łóżkowych. Również nasi brytyjscy, szwajcarscy czy niemieccy przyjaciele często zdziwieni pytali, czy rozmowy o wibratorach podczas sobotnich kolacji należą do standardu nad Sekwaną. Nasza odpowiedź zawsze była twierdząca.

Idealnym przykładem francuskiego podejścia do tych spraw jest historia naszych paryskich przyjaciół. Młodzi ludzie, po trzydziestce, oboje pracujący, jako rodzice dwójki małych dzieci często życie seksualne spychali na drugi plan. On podczas każdej możliwej okazji twierdził, że niemal nie uprawiają seksu, odkąd pojawiły się dzieci. Któregoś wieczoru po kilku kieliszkach wina ku wielkiej ucieście swoich kolegów znów śmiał się ze swojej przymusowej wstrzemięźliwości. Ona, mając już dość głupkowatych dowcipów męża, wyszła z propozycją zakładu. On szacował, że – gdyby wyciągnąć średnią – nie kochają się częściej niż raz w tygodniu. Żona nie zgodziła się z jego opinią i zaproponowała zapisywanie każdego zbliżenia, a potem ich policzenie. Założyli się o znaczną sumę pieniędzy. Losy tej umowy przez rok śledziło grono naszych wspólnych przyjaciół. Ona w kuchennym kalendarzu dzielnie notowała każdy stosunek. W połowie października okazało się, że do miłosnych igraszek doszło już czterdzieści razy, więc chcąc wygrać zakład, mąż musiałby do końca roku ograniczyć się jedynie do dwunastu aktów miłosnych. Mimo wysiłków nie oparł się pokusom – już w połowie listopada było wiadomo, że to ona zwyciężyła.

Seks dla wszystkich

Dziś we Francji nie zobaczycie „czerwonych dzielnic” z witrynami, w których wdzięki eksponują kobiety lekkich obyczajów, jednak prostytutka istniała tu od zawsze i to się nie zmieniło. Kiedyś paryskie *maison close*, domy publiczne, stanowiły jedną z wielu atrakcji oferowanych mieszkańcom i turystom. Nawet podczas drugiej wojny

światowej, gdy stolicę okupowali naziści, paryskie burdele tętniły życiem.

Złoty wiek francuskiej prostytucji przypadł na okres Trzeciej Republiki, to jest koniec dziewiętnastego i pierwszą połowę dwudziestego wieku. Dowodem na istnienie frywolnej atmosfery, którą ogarnięty był nie tylko Paryż, ale całe państwo, może być *Le Guide Rose, Różowy przewodnik*, opisujący ponad siedemset domów uciech na terenie kraju. Co roku wydawano jego nową, uaktualnioną wersję, a egzemplarze, mimo że dystrybuowane nielegalnie, rozchodziły się jak ciepłe bułeczki. To również okres rozkwitu tak zwanej prostytucji kolonialnej, gdyż dzięki dalekomorskim podbojom do kraju nad Sekwaną przybywało coraz więcej orientalnych piękności. Le Sphinx był największym paryskim burdelem chlubiącym się najbardziej egzotycznymi prostytutkami – dziewczyny pochodziły z różnych części Afryki. Ówczesny „biznes rozporkowy” nadzorowało państwo, które z podatków nałożonych na kobiety do towarzystwa i domy publiczne czerpało ogromne zyski. Urzędy państwowe chętnym na otworzenie miłosnego interesu wydawały licencje nazywane certyfikatami tolerancji. Poza tym prawo francuskie nakazywało prostytutkom regularne badania kontrolne i wymagało od chorych kobiet leczenia.

Pod koniec lat trzydziestych ubiegłego wieku domy publiczne zaczęły pełnić funkcję kabaretów, a nawet swoistych miniscen, na których występowały gwiazdy pokroju Marleny Dietrich czy Édith Piaf. W czasie drugiej wojny światowej do najbardziej luksusowych oaz seksu, takich jak L'Étoile de Kléber, przychodzili funkcjonariusze gestapo i wysocy rangą oficerowie Wehrmachtu. Wiele kobiet świadczących usługi seksualnie niemieckim żołnierzom podczas okupacji po wyzwoleniu miasta zostało napiętnowanych, a nawet zlinczowanych przez paryskie społeczeństwo.

Legalne domy publiczne zamknięto pod koniec lat czterdziestych dwudziestego wieku za sprawą uchwały z 1946 roku. Autorką jej projektu była Marthe Richard, paryska prostytutka, która trudniła się również szpiegostwem, a później została... radną miejską.

Nocne spotkania

Współczesne domy uciech nie przypominają dawnych *maison close* czy dzisiejszych domów publicznych z Niemiec lub Holandii. Atrakcyjne propozycje dla panów kryją się dziś na przykład pod szyldem salonów masażu. Popularne są również małe ciężarówki, nagminnie parkujące w nocy w pewnych rejonach miasta. Za kierownicą tych samochodów zwykle można zobaczyć grube Afroamerykanki lub Arabki, które na tyle pojazdu zaspokajają potrzeby przypadkowych klientów.

Paryżanie obserwują to zjawisko z pewną przychylnością i nie mają nic przeciwko takiej działalności, dopóki odbywa się to w miejscach, które nieoficjalnie są do tego przeznaczone. Jednym z nich jest Lasek Buloński. Ten piękny obszar stanowi największe skupisko zieleni na terenie stolicy. Za dnia można tu spotkać spacerujące rodziny z pobliskiej burżuazyjnej szesnastej dzielnicy. O poranku jogging uprawiają tu paryscy biznesmeni, a wieczorami właściciele psów wyprowadzają tutaj swoich pupili. Lasek Buloński może się pochwalić czterogwiazdkowym kempingiem i kilkoma luksusowymi restauracjami, do których chętnie przybywają zamożni klienci. Jednak po zmroku to miejsce ulega radykalnej przemianie. Można się tu natknąć na transseksualnych Brazylijczyków i Tajlandczyków, blondynki o wyzywającej urodzie pochodzące z krajów słowiańskich, korpulentne Afrykanki i Arabki, a także drobne i kruche Azjatki. Lasek słynie z prostytutki, wszędobylskich narkotyków i lejącego się strumieniem alkoholu. Aby skorzystać z usług tutejszych prostytutek, wystarczy przyjechać samochodem i wolno, bardzo wolno przemieszczać się po wybranych drózkach.

Lasek Buloński w nocy to miasto w mieście. Tworzą się tu dzielnice wyspecjalizowane w różnych usługach. Przy długiej drodze parkują pokoje-ciężarówki, w których prostytutki uprawiają seks z klientami. W ich pobliżu kręcą się podglądacze dyskretnie zaglądający do wnętrza kabin, aby nacieszyć się widokiem zabawiających się w środku par. Jest dzielnica azjatycka, w której oprócz usług towarzyskich można kupić wodę butelkowaną, ewentualnie kanapki, od handlujących nimi Chińczyków i Wietnamczyków, nawet tutaj

potrafiących rozkręcić biznes. Istnieje dzielnica transwestytów oraz skupisko gejów i lesbijek. Są dzielnice etniczne, gdzie można spotkać Rumunki i ich alfonsów handlujących również narkotykami. Kobiety niemające własnych ciężarówek prowadzą chętnych w pobliskie krzaki lub do namiotów rozstawionych w okolicy. W centrum lasku powstaje miasteczko namiotowe, gdzie prostytutki zabawiają się z klientami.

W Lasku Bulońskim, nazywanym przez stałych bywalców Boubou, policja każdej nocy bawi się z prostytutkami w kotka i myszkę. Nikt nie dąży jednak do zlikwidowania nocnego życia w tej części Paryża.

Pod spódnicami miasta

We Francji nie zakazano prostytucji, jednak otwieranie domów publicznych jest nielegalne. Dlatego w Paryżu dość często można się natknąć na panie lekkich obyczajów polujące na klientów na ulicach. Jednym z ich ulubionych adresów była rue Saint-Denis. Znajdująca się w centrum miasta ulica przez wiele lat słynęła z hurtowni i siedzib firm odzieżowych oraz z podstarzałych prostitutek. Dawniej, gdy biznes mody miał się bardzo dobrze, nawet mali miejscowi producenci organizowali sesje zdjęciowe do katalogów czy na plakaty reklamujące ich firmę. Bardzo często te słabo płatne prace zlecano młodziutkim, początkującym modelkom. Podczas jednego z moich pierwszych pobytów w Paryżu ja również brałam udział w castingu do tego typu sesji.

Gdy pierwszy raz wysiadłam na stacji metra Strasbourg – Saint-Denis i poszłam pod wskazany adres, byłam wstrząśnięta tym, co zobaczyłam. W bramach między fasadami butików stało mnóstwo półnagich kobiet. Szczególnie dobrze pamiętam jedną z nich: korpulentną tlenioną blondynkę o długich i suchych jak słoma włosach. Była pierwszą prostytutką, którą widziałam z tak bliska i która absolutnie nie kryła się ze swoim fachim. Miała spaloną mieszanką słońca i solarium twarz, a pod grubą warstwą ciężkiego podkładu starała się ukryć oznaki zmęczenia i starości. Zbyt mocny, wulgarny makijaż zupełnie nie pasował do wczesnej pory. Włożyła krótką jeansową spódnicę i bardzo obcisłą bluzkę z głębokim dekoltem eksponującym jej

obfity biust. Stała oparta o jedną z bram i paliła papierosa. Zauważyła, że ją obserwuję, i rzuciła mi pełne pogardy spojrzenie, wykrzywiając twarz. Warknęła na mnie, szczerząc swoje żółto-brązowe zęby zniszczone prawdopodobnie przez heroinę. Byłam przerażona, że tak mogą wyglądać i zachowywać się kobiety. Czułam też smutek – nie znałam jej historii, a przecież to, jakie prowadziła życie, nie musiało być jej wyborem. Z niesmakiem spójrzałam na kręcących się wokół mężczyzn, zastanawiając się, jak wielkim trzeba być desperatem, by korzystać z usług tego rodzaju prostytutek. Idąc w dół ulicy, natknęłam się na wiele takich kobiet: białych, czarnych, Arabek. Wszystkie wyglądały i zachowywały się podobnie...

Z powodu castingów (oraz kilku świetnych outletów) często bywałam w tej okolicy i z czasem przywykłam do tego typu widoków. prostytutki z Saint-Denis wkomponowały się w pejzaż ulicy. Podczas jednej z wizyt moich rodziców postanowiłam zabrać ich w tamte rejony. Luwr, wieżę Eiffla czy katedrę Notre Dame widzieli już wielokrotnie. Tym razem chciałam im pokazać ciemną stronę Paryża. Gdy dotarliśmy na rue Saint-Denis, z wyrazu ich twarzy odczytałam, że nimi również targają mieszane uczucia. Tata nigdy nie tracący poczucia humoru wyjął aparat, mówiąc, że pstryknie kilka pamiątkowych zdjęć dla kolegów. Jednak zanim zdążył to zrobić, prostytutki narobiły hałasu i zaczęły zasłaniać twarze, a przy nas pojawiła się grupa mężczyzn, którzy chyba wyrosli spod ziemi. Alfonsi grozili nam i głośno krzycząc, zmusili tatę do schowania aparatu i opuszczenia ulicy.

Na szczęście od tego czasu sporo się zmieniło, między innymi za sprawą kilku ustaw wprowadzonych za rządów Sarkozy'ego. Prostitution na Saint-Denis zaczęła zanikać. Naganiacze i pracujące dla nich dziewczyny stali się coraz rzadszym widokiem, a ich miejsce zajęli młodzi paryscy hipsterzy licznie wprowadzający się do okolicznych kamienic.

Zabawimy się we troje?

Nierząd w Paryżu ma różne twarze. W ekskluzywnych pięciogwiazdkowych hotelach w weekendowe wieczory można spotkać

piękne młode kobiety wolno sączące drinki przy barze. Choć utrzymują się ze sprzedaży własnych ciał, różnią się od prostytutek z Saint-Denis czy Lasku Bulońskiego. To bardzo eleganckie dziewczyny noszące drogą biżuterię, wysokie gustowne szpilki oraz skórzane firmowe torebki. Mają zadbane włosy, subtelne makijaże, są zgrabne i wysportowane. Zarabiają więcej niż niejeden menadżer w firmie z branży finansowej: paryskie *escort girl*, panie do towarzystwa, za nocną przygodę potrafią wystawić rachunek nawet na kilka tysięcy euro.

Któregoś sobotniego wieczoru z koleżanką, również modelką, wybrałyśmy się do jednego z paryskich hoteli. Ten renomowany obiekt słynął z bardzo klimatycznego baru i wspaniałej restauracji. Umówiłyśmy się z naszym bliskim przyjacielem, z którym miałyśmy wypić drinka, a potem pójść na kolację. Ponieważ na chwilę przed wejściem do hotelu dostałyśmy esemes, że chłopak stoi w korku, co nie było niczym dziwnym o tej porze, postanowiłyśmy usiąść przy barze i zamówić drinki. Po chwili piłyśmy już mocno schłodzonego szampana, podjadałyśmy marokańskie oliwki, dyskutowałyśmy i śmiałyśmy się w najlepsze.

Nagle podszedł do nas mężczyzna w średnim wieku, lekko łysiejący, z brzuszkiem. Oparł się ramieniem o bar, w drugiej ręce trzymał drinka. Podwinął rękawy i nie sposób było nie zauważyć jego ogromnego roleksa. Pomyślałam, że pewnie chce nas poderwać na drogi zegarek, i zaśmiałam się w duchu. Puściłam oczko do koleżanki, która roześmiała się szeroko, dając znać, że jest gotowa rozpocząć zabawę w kotka i myszkę. Mężczyzna również promiennie się uśmiechnął, ukazując zęby jak z reklamy pasty wybielającej. Nachylił się nad nami i pokazując kartę-klucz do jednego z pokoi hotelowych, wprost zapytał: „Dziewczyny, ile bierzecie za noc spędzoną we trójkę?”. Zakrztusiłam się, połykając oliwkę, a koleżanka prawie popluła się szampanem. Czy ja na pewno dobrze zrozumiałam? Oślupiałyśmy. Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, nieznajomy znów się odezwał: „Czy piętnaście tysięcy wystarczy?”. Przełknęłam ślinę i tonem nieznoszącym sprzeciwu oświadczyłam: „Piętnaście, dobrze, ale dla każdej z nas!”. Mężczyzna przestał się uśmiechać, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Obie z koleżanką nie mogłyśmy się otrząsnąć. W końcu pojawił się

nasz przyjaciel, a gdy zapytał, dlaczego mamy takie grobowe miny, opowiedziałyśmy mu całą historię. On tylko wzruszył ramionami i wyjaśnił, że przecież cały Paryż wie, że w tym hotelu przy barze zawsze siedzą ekskluzywne prostytutki. Cały Paryż oprócz nas, oczywiście! Pocieszam się jednak myślą, że ekskluzywne...

Wierność i zdrada

Paryżanie, podobnie jak reszta Francuzów, do prostytucji mają bardzo liberalne podejście. Najstarszy zawód świata uważają za jeden z wielu i dość otwarcie rozmawiają na ten temat w swoim gronie. Kobiety również podchodzą do tej kwestii swobodniej niż na przykład przeciętne Polki. Wiele z moich paryskich koleżanek uważa, że seks z dziewczyną do towarzystwa nie jest tak do końca zdradą, bo przecież to czysty biznes, bez uczuć. Jedna z nich porównała to nawet do zakupu bagietki w *boulangerie*, piekarni: płacisz, bierzesz i wychodzisz. Inna powiedziała, że jest tradycjonalistką w sprawach łóżkowych, więc wolałaby, żeby wymyślne potrzeby mąż zaspokajał z prostytutką.

Kilka miesięcy temu, stojąc w absurdalnie wielkim popołudniowym korku, zwróciłam uwagę na reklamę zamieszczoną na jednym z autobusów mijających mnie na buspasie. „*Gleeden* – pierwszy serwis randkowy dla osób w związkach małżeńskich”. Przeczytałam napis ponownie, żeby mieć pewność, że dobrze zrozumiałam jego znaczenie. Kilka lat temu usłyszałam informację o takim portalu, ale nie interesowałam się tym tematem. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że we Francji od 2009 roku istnieje serwis randkowy przeznaczony dla kobiet i mężczyzn będących po ślubie i mających ochotę na romans lub seks bez zobowiązań.

Długo zastanawiałam się, dlaczego Francuzi mają takie, a nie inne podejście do tych spraw, aż podczas jednej z kolacji poruszyłam problem zdrady. Przyjaciele oczywiście potępili seks pozamałżeński, ale przyznali również, że nie mają nic przeciwko temu, aby działały takie portale jak *Gleeden*. Różne badania naukowe wykazują, że Francuzi zdradę mają we krwi, i choć nigdy się do tego nie przyznają, to wielu z nich ma już doświadczenie w tej dziedzinie.

Nieoficjalne statystyki *Gleeden* podają, że wśród jego użytkowników najliczniej reprezentowani są mieszkańcy wielkich miast, w tym oczywiście Paryża. Właściciele portalu namówili wiele hoteli w centrum stolicy, żeby wynajmowały pokoje w pakietach zakładających kilkugodzinne pobyty, zapewniając tym samym kochankom lokum na miłosne igraszki. Po ogromnym sukcesie serwisu *Gleeden* powstało kilka innych podobnych stron, które również spotkały się z dużym zainteresowaniem.

We Francji, inaczej niż na przykład w Polsce czy w Stanach Zjednoczonych, utworzenie tego typu serwisu nie wywołało skandalu, nikt nie protestował, nie było manifestacji czy pikiet pod siedzibą rządu. Owszem, mówiło się o tym dużo w radiu i telewizji, powstało kilka artykułów prasowych, a nieliczni obrońcy moralności buntowali się i cicho pokrzykiwali. Jednak przeciętny Francuz przyjął ten fakt do wiadomości, a wielu podeszło do niego wręcz entuzjastycznie.

Dopiero kilka tygodni temu organizacje katolickie zaczęły się buntować, ponieważ *Gleeden* wypuściło całą serię reklam namawiających do cudzołóstwa. Związek katolików francuskich pozwał właścicieli serwisu do sądu. W kilku miejscowościach podparyskich, takich jak Wersal, Chatou czy Saint-Germain, w większości zamieszkiwanych przez tradycyjne rodziny katolickie, z powodu ogromnej liczby pisemnych skarg postanowiono wycofać reklamy. Jednak większość Francuzów przypominała, że od 1975 roku zdrady nie uważa się za przestępstwo i jest całkowicie legalna. Środowiska dziennikarskie zwróciły uwagę, że to pewnego rodzaju krok wstecz, jeśli chodzi o wolność słowa i reklamy.

Tymczasem *Gleeden* ma prawie dwa i pół miliona użytkowników w całym kraju. Francuska zdrada na razie ma się bardzo dobrze.



Mama, tata, dziecko i... Paryż

Paryż zawsze wydawał mi się wspaniałym miastem. Wielkie muzea i ich imponujące kolekcje, liczne teatry, paryska opera i widowiskowe przedstawienia baletowe. Na każdym rogu świetne restauracje oferujące wyszukane potrawy. Kawiarnie, kluby i bary pełne o każdej porze dnia i nocy. Szybkie i sprawne metro, które pozwala dotrzeć do dowolnego miejsca. To właśnie dlatego nie rozumiałam moich koleżanek, które dość szybko po narodzinach dzieci zaczynały narzekać na stolicę, aby ostatecznie opuścić jej centrum i zamieszkać na przedmieściach. Dopiero gdy sama zostałam matką, zrozumiałam, że mimo wielu atrakcji i udogodnień Paryż nie jest przyjazny maluchom. Myślę, że zanim stolica Francji zaakceptuje dzieci tak jak Stany Zjednoczone, Dania, Szwecja czy nawet Polska, jeszcze wiele wody upłynie w Sekwanie.

Dziewięć miesięcy utrapień

Przez wiele lat ja i Martin prowadziliśmy wesołe, typowo paryskie życie. Gdy ponad dziesięć lat temu moja szwagierka zaszła w ciążę, była pierwszą kobietą z mojego otoczenia, która zdecydowała się na dziecko. Nie do końca rozumiałam jej obawy związane z byciem matką w mieście nad Sekwaną. Ale gdy i ja urodziłam córkę, stwierdziłam, że Paryż niejedną ma twarz.

Wszystko zaczęło się tak, jak u wielu innych kobiet: lekarka zdiagnozowała ciążę, na którą niekoniecznie byłam przygotowana. Chwila zapomnienia na wakacjach i oto czekałam na najpiękniejszą pamiątkę z karaibskiego wyjazdu.

Przez ponad pół roku paryska ginekolog prowadziła moją ciążę. Już wtedy po rozmowach z polskimi znajomymi doszłam do wniosku, że we Francji podejście do ciężarnych jest zupełnie inne. Nikt nie zapytał mnie, jaki zawód wykonuję i czy mam ochotę kontynuować pracę, czy

może wolałabym odpocząć przez kilka miesięcy w domu, aby w pełni przygotować się na nadchodzące zmiany. Dopiero mój kilkudniowy pobyt w szpitalu pod koniec trzeciego miesiąca sprawił, że wysłano mnie na dwutygodniowe zwolnienie.

W tym okresie przeżyłam pierwszy szok. Przez tych kilka dni, które spędziłam na oddziale, nikt nie przejął się losem mojego maleństwa. Dla francuskiego systemu zdrowia nie spodziewałam się nawet dziecka! Tutaj ciąża rejestrowana jest dopiero po skończeniu trzeciego miesiąca. Wtedy też lekarz wysłał dokumenty do Kasy Świadczeń Rodzinnych, która przyznaje matce i dziecku numer.

Gdy jednak moja waleczna córeczka postanowiła się nie poddawać i pozostać z nami, zaczęłam chodzić na regularne wizyty lekarskie, po których byłam coraz bardziej zdziwiona. Podczas jednej z pierwszych rozmów pani doktor zapytała, czy palę papierosy i piję alkohol. Przyznałam, że jestem palaczką, ale dodałam, że już ograniczyłam zażywanie nikotyny i w ciągu kolejnych dwóch tygodni planuję całkowicie odstawić papierosy. Popatrzyła na mnie, pokiwała głową i powiedziała, że jeśli ma to być dla mnie zbyt stresujące, to lepiej, żebym jednak paliła... Słucham? Czy ja dobrze zrozumiałam? Aby uniknąć stresu, który może wywrzeć negatywny wpływ na moją ciążę, lekarka proponuje mi, abym dalej paliła. Nawet jeśli miała na myśli palenie umiarkowane, to jednak traktowałam to jako trucie organizmu nienarodzonego dziecka. Nie przejmowała się tym, że praca wywołała u mnie tak wielkie zdenerwowanie, że niemal poroniłam, jednak bała się, że odstawienie nikotyny źle wpłynie na moje samopoczucie... Podobne stanowisko lekarka zajęła w kwestii alkoholu: wprost stwierdziła, że kieliszek wina czy szampana od czasu do czasu absolutnie nie zaszkodzi. Miałam również prawo do regularnego picia kawy, jednak w ilości nie większej niż dwie filiżanki dziennie, i do picia herbaty zupełnie bez ograniczeń.

Jeśli chodzi o dietę, dotąd nie narzucałam sobie prawie żadnych rygorów, wyjątek dotyczył sposobu przyrządzania mięsa. Ponieważ nie jestem uodporniona na toksoplazmozę, mięso musiało być dobrze wypieczone bądź ugotowane, co w kraju, gdzie steki spożywa się praktycznie surowe, stanowiło dość duży problem. Na pytanie, czy mogę

jeść owoce morza i niepasteryzowane sery, lekarka twierdząco pokiwała głową, mówiąc, że najważniejsze jest nie to, co jem, tylko skąd to pochodzi. Francuzi, jak zauważyłam dużo wcześniej, przywiązują wielką wagę do jakości pożywienia. Lekarka dodała, że ciąża ma być wspaniałym, radosnym okresem życia, a nie pasmem trosk. Uważała, że jestem dorosłą kobietą, więc na pewno rozsądnie podejść do kwestii jedzenia i zachowania, bo sama wiem, co jest najlepsze dla mojego dziecka.

O ile w Polsce lekarze dają ciężarnym pacjentkom całą listę rzeczy, których te nie mogą spożywać lub robić, o tyle we Francji nikt niczego nie zabrania. Widok ciężarnych kobiet palących papierosy lub pijących alkohol nie należy tu do rzadkości. I chyba tylko ja nie mogłam zrozumieć, dlaczego jedna z moich paryskich koleżanek podczas sobotniej kolacji w przerwie między wieloma wykwinnymi potrawami wychodziła do kuchni na papierosa, mimo że była już w zaawansowanej ciąży.

Co za dużo, to niezdrowo

Jedynym powodem, dla którego paryscy ginekolodzy potrafią nakrzyczeć na kobietę, jest ciążowa nadwaga. Moja szwagierka za dwa miesiące miała rodzić. Zdziwiłam się, że wizyta kontrolna u lekarki bardzo ją przybiła. Pani doktor postawiła ją na wadze i zganiła, że przytyła prawie osiemnaście kilo. Zaleciła jej natychmiastowe przejście na dietę i kazała wyłączyć z jadłospisu węglowodany. Na początku myślałam, że szwagierka trafiła na jakąś szaloną lekarkę, jednak gdy kilka miesięcy później sama wychodziłam z gabinetu ginekologa, również nie było mi do śmiechu.

W pierwszych miesiącach ciąży przytyłam bardzo mało, jednak w pewnym momencie mój organizm zaczął szaleć. Bez przerwy miałam ochotę na ciastka, chipsy i lody. Efektem było dodatkowe dwadzieścia pięć kilo i skrzywiona mina lekarki. Tłumaczyła mi z dezaprobatą, że ciąża to nie bilet ulgowy dla zachcianek i kaprysów i że będzie mi bardzo trudno wrócić do poprzedniej wagi. Przemyślałam to wszystko, zajadając w najlepsze kolejną porcję lodów karmelowych.

Zwróciłam uwagę, że moje paryskie koleżanki w ciąży przybierały maksymalnie od dziewięciu do dwunastu kilogramów i bardzo uważały na to, co jedzą. Jedna z przyjaciółek do dziś nie chce się przyznać, ile przytyła, jednak wiem, że miesiąc po porodzie wcisnęła się w swoje stare jeansy. Druga bliska koleżanka tłumaczyła się brakiem apetytu, skubiąc kawałeczki chleba niczym wróbelek, a dwa miesiące po porodzie wygrzewała się na plażach południowej Francji w kostiumie kąpielowym w rozmiarze trzydzieści sześć. Moja teściowa co jakiś czas dopytywała się, ile przytyłam i czy to kontroluję... Właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że paryskie trendy ciążowe sprowadzają się do... bycia szczupłą. Niedawno byliśmy na przyjęciu urodzinowym koleżanki, Meksykanki z pochodzenia, która nadal walczy z pociążową nadwagą. Przyznała mi się, że przez te nadprogramowe kilogramy ma poważne problemy w pracy, mimo że od porodu minęło dopiero pięć miesięcy. Francuska firma kosmetyczna, dla której pracuje, jest znana na całym świecie i absolutnie nie wybacza swoim pracownikom takich słabości.

Przez dziewięć miesięcy rób, co chcesz, ale pamiętaj, aby nie przytyć za dużo. A po porodzie koniecznie wróć do swojej poprzedniej wagi przed upływem trzech miesięcy. Taki sygnał wysyłają tutejsi pracodawcy, lekarze, a nawet mężowie przyszłych matek. Oczywiście, mam na ten temat własne zdanie. Uważam, że moja waga to mój problem. Przyznaję, że schudnięcie po ciąży wiele mnie kosztowało, ale sześć miesięcy po urodzeniu córeczki udało mi się zmieścić w ulubione jeansy (to szczególnie, że były tak obcisłe, iż prawie zatrzymały mi krążenie w nogach...).

Paryżanki w ciąży nie tyją! One przybierają minimalnie na wadze, uprawiają sporty do samego porodu, pracują na cały etat, jedzą *carpaccio* i sushi, bywają na całonocnych przyjęciach, piją szampana i palą papierosy. Biegają w szpilkach i nigdy nie skarżą się na spuchnięte nogi, nie mają trądziku ciążowego, zawrotów głowy czy mdłości, są szczupłe i wyglądają, jakby ktoś włożył im pod bluzkę maleńki balonik. Rodzą bardzo szybko, zawsze naturalnie, karmią piersią przez około sześć tygodni lub wcale i w ciągu trzech miesięcy wracają do pracy, prezentując się dokładnie tak jak przed porodem. I tylko znaleziony na dnie torebki smoczek świadczy o tym, że zostały matkami.

Matka niedoskonała

Moje polskie koleżanki w czasie ciąży uczęszczają na kursy rodzenia, na których dowiadują się, jak urodzić naturalnie bez znieczulenia, jak karmić piersią, i to co najmniej do pierwszych urodzin dziecka, i jak zadbać o noworodka, aby był szczęśliwy. Kupują też poradniki o wychowaniu maluszków oraz robią zakupy w sklepach z dziecięcą odzieżą i akcesoriami.

Moje paryskie koleżanki, oczekując na przyjście dziecka na świat, również uczęszczają do szkoły prenatalnej. Dowiadują się tam, jak szybko i bezboleśnie urodzić, jak błyskawicznie wrócić do formy, jak ponownie rozpocząć życie seksualne i jaka metoda antykoncepcji będzie dla nich najlepsza. Informuje się je, że karmienie piersią jest dobre, ale mleko modyfikowane też ma wiele zalet i że najważniejsze jest, aby dziecko jak najszybciej przestało jeść w nocy, dzięki czemu i ono, i matka będą mogli spokojnie spać. Paryżankom mówi się, jak poradzić sobie z depresją poporodową, baby bluesem i innymi przykrymi sytuacjami. Paryskie mamy również zaopatrują się w całe stosy książek, ale są to pozycje poświęcone technikom relaksu informujące o tym, jak ważne jest pójście do kina i do restauracji z partnerem oraz pozostawienie dziecka pod opieką niani.

Paryżanki oprócz ubranek dla dzieci kupują całą masę modnych ciuchów dla siebie i mimo ciąży wyglądają przebojowo. Na dwa tygodnie przed terminem porodu idą do fryzjera, kosmetyczki, robią sobie manicure i pedicure oraz depilację woskiem. Na salę porodową przychodzą o własnych siłach, ubrane w ładną sukienkę i pachnące drogimi perfumami. Proszą o znieczulenie i bujając się na dmuchanej piłce, oglądają zdjęcia przyjaciół na Facebooku.

Najpierw kobieta, potem matka

Szczęśliwa matka to szczęśliwe dziecko – słyszałam niejednokrotnie z ust otaczających mnie ludzi, zaczynając od mojej ginekolog i położnej, a kończąc na pani sprzedającej jabłka na pobliskim

targu. Paryżanki są na ogół egoistkami i mimo że stają się matkami, nie mają ochoty na poświęcanie się szkrabowi. Rodząc dziecko, paryżanka nie zmienia swojego dotychczasowego stylu życia. To ona jest słońcem, a dziecko krążącą wokół planetą, nie na odwrót.

Gdy po narodzinach mojej pierwszej córeczki powiedziałam mamie, że to mała musi się dostosować do nas, a nie my do niej, groźnie na mnie spojrzała i skrytykowała tę postawę. A ja po prostu wyraziłam to, co wpajano mi na każdym kroku przez dziewięć miesięcy.

Francuzi wychodzą z założenia, że aby nowo narodzone dziecko stało się pełnoprawnym członkiem rodziny, musi się z nią zintegrować, poznać i zrozumieć, a co za tym idzie, całkowicie zaakceptować sposób jej funkcjonowania i dopasować się do niego. Oczywiście, nikt tu nie głodzi noworodków, ale prawdą jest, że kilkumiesięczne brzdące jedzą bardzo regularnie, o dokładnie wyznaczonych porach dnia (broń Boże w nocy!). Żaden Francuz nie podaje swojej pociesze melatoniny, mimo to po zakończeniu trzeciego miesiąca zdecydowana większość dzieci przesypia w nocy od ośmiu do dziesięciu godzin. Paryżanki to kochające matki, ale nie znaczy to, że rezygnują z siebie na rzecz dziecka. Francuzka nie rezygnuje ze spotkań z przyjaciółmi, kolacji w restauracjach czy z hucznych imprez zakrapianych alkoholem. Nie rezygnuje z wyjść do teatru, na wystawę do galerii sztuki czy muzeum. Nie rezygnuje również z koncertów, zakupów i wizyt w salonach piękności. Paryżanka, stając się matką, nie rezygnuje z niczego.

Liliana urodziła się w środę, ze szpitala wyszliśmy w sobotę rano, a w niedzielę byliśmy już u moich teściów na pierwszym proszonym obiedzie wydanym na cześć nowego członka rodziny. Tydzień później, w sobotni wieczór, wybraliśmy się na urodzinowego grilla do przyjaciół i podczas gdy my bawiliśmy się do białego rana, Lilianka spała w sypialni piętro wyżej. Ophelia urodziła się w czwartek, w niedzielę opuściliśmy oddział, a w kolejny czwartek jechaliśmy na wakacje do malowniczej nadmorskiej Bretanii z pierworodną trzyletnią córeczką i naszą tygodniową kruszynką. Będąc matką, nie straciłam części swojej kobiecości i niezależności. Według niepisanego paryskiego kodeksu młodych mam pozostałam sobą, jednocześnie przeistaczając się w opiekunkę moich skarbów.

Wiele osób krytykuje paryżanki, które niedługo po urodzeniu dzieci zostawiają je pod opieką niani lub zawożą do żłobka. Znany jest przypadek byłej francuskiej minister sprawiedliwości Rachidy Dati. Kilka dni po porodzie włożyła nieskazitelną garsonkę i wróciła do swoich obowiązków. I nawet tutaj, pod wieżą Eiffła, gdzie kobiety zdecydowanie mniej angażują się w macierzyństwo niż na przykład w Polsce czy w Stanach, za swoje zachowanie została ostro skrytykowana, wręcz potępiona.

Nie zmienia to faktu, że tutejsze kobiety dość szybko wracają do pracy. Mimo że francuski tydzień roboczy jest oficjalnie jednym z najkrótszych w Europie, gdyż ma tylko trzydzieści pięć godzin, to tak naprawdę przeciętna paryżanka spędza w swojej firmie zdecydowanie więcej czasu niż Polka czy Niemka. Jednak trzeba przyznać, że godziny poświęcane przez matki i ojców na opiekę nad dziećmi są wykorzystywane najlepiej, jak to tylko możliwe. Moje paryskie koleżanki wraz ze swoimi dziećmi gotują smakowite potrawy i pieką wyśmienite ciasta. Razem sadzą pomidory i truskawki w małych ogródkach przydomowych lub hodują świeży szczypiorek w doniczkach na balkonie. Jeżdżą na rowerach i hulajnogach w pobliskich parkach lub pływają na miejskich basenach otwartych codziennie do późnego wieczora. Uczęszczają na warsztaty twórcze dla dzieci, odwiedzają wystawy tematyczne przeznaczone dla najmłodszych, oglądają pasjonujące filmy i przedstawienia teatralne. Czas spędzony z dzieckiem jest wyjątkowy. Mimo że tych momentów nie jest za wiele i że mnóstwo rodziców widuje swoje pociechy nie więcej niż przez godzinę rano i dwie godziny wieczorem, a część z nich, jak mój mąż, nie spotyka ich w tygodniu wcale ze względu na specyficzny grafik pracy, to jednak dzieci zawsze miło wspominają wspólną zabawę. Kojarzą rodziców z przyjemnościami. Wiedzą, że dorośli nie dysponują zbyt dużą ilością czasu, dlatego czują się wyjątkowe i wyróżnione, gdy rodzice spędzają z nimi każdą wolną chwilę.

Za rękę i do przodu

Trzeba przyznać, że Paryż ułatwia rodzicom kreatywne spędzanie

czasu z potomstwem, gdyż oferuje całą gamę atrakcji zarówno dla małych, jak i dużych.

Jednym z naszych ulubionych miejsc, które odwiedzamy regularnie i które wciąż zachwyca moją starszą córeczkę, jest Jardin des Plantes. Znajdujący się w piątej dzielnicy park miejski i zarazem ogród botaniczny stanowi ogromną atrakcję nie tylko dla dzieci. Na jego terenie ulokowano Narodowe Muzeum Historii Naturalnej, w skład którego wchodzi kilka różnych obiektów: szklarnie, galerie paleontologiczne, geologiczne lub botaniczne. Jest tu też jeden z najstarszych na świecie ogrodów zoologicznych. Jego inauguracja odbyła się pod koniec osiemnastego wieku. Do dziś zachwyca piękną architekturą. Nie zobaczymy tu dużych dzikich lokatorów, ale mimo to warto go odwiedzić. Najciekawszą częścią muzeum jest wspaniała Galeria Ewolucji. Wybrałam się tam po raz pierwszy kilkanaście lat temu i od tego czasu powracam do niej dość regularnie. A odkąd urodziła się Lilianka, w galerii bywamy całą rodziną, nawet kilka razy w roku. Wspaniała wystawa poświęcona zwierzętom morskim i lądowym zauroczy nawet najbardziej wymagających gości bez względu na wiek.

W dzielnicy Bercy znajduje się jedno z najbardziej oryginalnych i magicznych miejsc stolicy. Musée des Arts Forains to stała ekspozycja prezentująca barwne karuzele i inne atrakcje rodem z wesołego miasteczka. Najstarsze karuzele pamiętają początek dwudziestego wieku, lecz nadal funkcjonują i sprawiają wiele radości najmłodszym zwiedzającym. Możemy je podziwiać (a nawet jeździć na nich) dzięki niezwykle zaangażowanemu kolekcjonerowi: Jean-Paulowi Favandowi. Muzeum zachwyca również swoim nietuzinkowym, bogatym wystrojem: lustra na ścianach, polichromowana boazeria i muzyka typowa dla takich atrakcji przeniosą was w inny, bajkowy świat.

Musée de la Poupée nie należy do największych – zajmuje tylko cztery sale, jest jednak kolejnym oryginalnym i uroczym miejscem. Muzeum Lalek istniejące już od dwudziestu kilku lat może pochwalić się kolekcją liczącą ponad osiemset eksponatów. Najstarsze z lalek prezentowanych w gablotach pochodzą już z początku dziewiętnastego wieku. Warto tu wpaść, by prześledzić ewolucję tej popularnej zabawki.

Można się dowiedzieć, z jakich materiałów i w jaki sposób robiono lalki za czasów naszych dziadków i pradziadków. Wizyta w tym muzeum na pewno ucieszy niejedną małą damę, ale sprawi też przyjemność starszym odwiedzającym.

Męską część rodziny zachwyci Musée de l'Air et de l'Espace, które stało się ulubionym muzeum czteroletniego siostrzeńca mojego męża. Chłopczyk jeszcze długo po powrocie wspominał niesamowitą wyprawę do świata samolotów. Podparyskie Muzeum Lotnictwa jest największą i najstarszą we Francji oraz jedną z większych na świecie placówek tego typu. Najcenniejsze maszyny, często pochodzące z początków dwudziestego wieku, stoją w wielkich hangarach, inne można podziwiać na otwartej przestrzeni. Zobaczycie tu modele pierwszych samolotów, sprzęt z okresu wojen światowych, ale również współczesne maszyny, zarówno wojskowe, jak i cywilne. Muzeum znajduje się w podparyskiej miejscowości Le Bourget, na terenie prywatnego lotniska, jednak można tam łatwo dojechać kolejką podmiejską.

Dzieci i ryby głosu nie mają

Mimo że w stolicy Francji jest wiele ciekawych miejsc, to Paryż długo był miastem wyjątkowo nieprzyjaznym dzieciom. Na szczęście powoli zaczyna się to zmieniać.

Z czego wynikało antypatyczne podejście do najmłodszych? Po wielu rozmowach z koleżankami, przyjaciółmi i znajomymi doszłam do wniosku, że to kwestia wychowania i poglądów samych paryżan.

Mam skończone trzydzieści lat, a bliskie mi kobiety mające dzieci także są w podobnym wieku. Niektóre mają trzydzieści pięć lat, inne czterdzieści dwa, jednak wszystkie charakteryzują się otwartością i wyrozumiałością. Zbierając materiały do książki, dowiedziałam się, że poprzednie pokolenie, pokolenie ich matek i babek, wcale takie nie było. We Francji przez długi czas powiedzenie: „Dzieci i ryby głosu nie mają” traktowano dosłownie.

Jeden z moich kolegów, dziś mężczyzna czterdziestopięcioletni, pochodzący z bogatej paryskiej rodziny, opowiadał mi o swoim dzieciństwie, a mnie włosy stawały dęba. Jego rodzice, wyjątkowo

zamożni ludzie, mieli wspaniałą rezydencję w centrum szesnastej dzielnicy. Zatrudniali kucharza, kilka pokojówek, kamerdynera i oczywiście nianie. Cała rzesza kobiet na zmianę opiekowała się moim kolegą i jego braćmi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Chłopcy swoją mamę widywali raz na kilka dni. Zdarzało się, że nie spotykali się z nią przez cały tydzień i dopiero w sobotni wieczór mogli się z nią przywitać. Jednak i wtedy nie byli w centrum uwagi rodziców. Majętni paryżanie wyprawiali szykowne przyjęcia, na które zapraszali śmietankę towarzyską miasta, a gdy goście pojawiali się w domu, dzieci, schludnie ubrane, czyste i uczesane, były sprowadzane do salonu, aby się z nimi przywitać. Ceremonia trwała kilka minut i zwykle interakcja sprowadzała się do pytania o oceny i osiągnięcia sportowe. Następnie dzieci odsyłano do swoich pokojów, gdzie pod opieką niań spędzały resztę wieczoru. Kary cielesne w postaci klapsów, a nawet policzkowania były na porządku dziennym.

Mój przyjaciel do dziś ponosi konsekwencje takiego wychowania: nie potrafi ułożyć sobie życia, mimo że osiągnął wiele w sferze zawodowej, emocjonalnie jest wypalony. Nie umie związać się z żadną kobietą na dłużej. Kilka lat temu urodził mu się syn i choć nie jest już z matką swojego dziecka, aktywnie uczestniczy w jego wychowaniu. Ostatnio powiedział mi, że nigdy nie będzie spychał syna na dalszy plan i traktował go jak element dekoracyjny, którym można się pochwalić przed znajomymi.

Zimna woda zdrowia doda

Podczas jednej z wizyt teściowej i jej koleżanek pożaliłam się, że Liliana przechodzi bardzo trudny okres i nie mam już do niej siły. Ciągłe kłócenie się z córką, jej niegrzeczne zachowanie i wybuchy złości wyprowadzały mnie z równowagi. Liliana, jak chyba każde dziecko, potrafiła wpaść w szał, krzyczeć czy rzucać się, a ja, jak chyba każda matka, nie zawsze umiałam nad nią zapanować. Długie rozmowy, tłumaczenie, kary, stawianie do kąta – nic nie pomagało. Jedna z koleżanek mojej teściowej stwierdziła wtedy, że najlepszą metodą na uspokojenie dziecka jest... włożenie mu głowy pod bieżącą zimną wodę!

Nie zwróciłam szczególnej uwagi na tę radę, ponieważ nie sądziłam, że mówiła poważnie. Myślałam, że to żart mający na celu rozluźnienie atmosfery.

Kilka tygodni później koleżanka z pracy, paryżanka z krwi i kości, opowiadała mi o napadach furii u swojego trzylatka, skarżąc się, że już nie wie, jak sobie z tym poradzić, i że zaraz... włoży mu głowę pod bieżącą wodę. Oczywiście, natychmiast dodała, że nigdy by do tego nie dopuściła, gdyż sama ma uraz po tym, jak jej własna matka uspokajała ją w ten sposób. Zamurowało mnie.

Po raz kolejny o tej praktyce opowiedziała mi moja fryzjerka. Gdy zaczęła myć mi włosy, aby splukać nałożoną wcześniej farbę, przez nieuwagę polała mnie wodą po twarzy, szyi i dekolcie. Lekko się zachłysnęłam, a ona, wręcz spanikowana, zaczęła gorąco przeproszać. Uspokajałam ją, powtarzając, że naprawdę nic się nie stało i że mogę wysuszyć siebie i mokrą bluzkę suszarką do włosów. Na to fryzjerka powiedziała, że ona sama nie znosi mieć wody na twarzy i nawet pod prysznicem uważa, aby ani jedna kropla nie dostała się jej do oczu. Zaśmiałam się, mówiąc, że chyba pozostała w głębi serca małą dziewczynką, bo ani moja córeczka, ani żadna z jej koleżanek podczas kąpieli nie lubi mieć mokrej twarzy, co absolutnie nie przeszkadza im nurkować w basenie w czasie wakacyjnego wyjazdu. Odparła, że w jej przypadku to prawdziwa trauma spowodowana tym, że w dzieciństwie matka wsadzała jej głowę pod kran, gdy nie potrafiła nad nią zapanować. Przyznam się, że nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa.

I chyba nie muszę dodawać, co sędzę o tym francuskim zwyczaju...

Czterdzieści lat minęło...

Gdy na świat przysła Lilianka, wiele starszych osób z mojego bliższego lub dalszego otoczenia odwiedzało nas, aby zobaczyć maleństwo. Gdy podczas jednego z takich spotkań powiedziałam, że moja prawie trzymiesięczna wówczas córeczka nadal je w nocy, wszyscy byli zbulwersowani. Według nich powinnam nakarmić Liliankę wieczorem, a następnie położyć ją spać i wrócić do niej dopiero rano.

A jeśli będzie płakać, to po prostu zamknąć drzwi i poczekać, aż się uspokoi. Gdy na pytanie, ile butelek dziennie podaję córeczce, odpowiadałam, że tyle, ile zażąda, znajome leciwe paryżanki się oburzyły. Ich zdaniem trzymiesięczne dziecko powinno dostawać cztery butelki pokarmu o dokładnie wyznaczonych godzinach. Oczywiście, oberwało mi się też, gdy przyznałam, że córeczka śpi w kołysce w naszym pokoju, a po porannym karmieniu dosypia z nami w łóżku. Nawet nie chciało mi się z nimi dyskutować.

Rygorystyczne przestrzeganie pór karmienia, zostawianie dziecka na noc w zaciemnionym pokoju za zamkniętymi drzwiami, wkładanie mu głowy pod bieżącą wodę i inne okropne metody wychowawcze stanowiły jeszcze czterdzieści, a nawet trzydzieści lat temu normę zarówno wśród klasy średniej, jak i wśród zamożnej burżuazji.

Na szczęście pojawiła się Françoise Dolto. Urodzona w 1908 roku, wychowana w katolickiej arystokratycznej rodzinie stała się najwybitniejszym i najbardziej znanym w kraju pediatrą i psychoanalitykiem. W pełni poświęciła się małym pacjentom, jednocześnie wywracając do góry nogami ówczesny system wychowawczy. Pierwsze książki Dolto ukazały się już na początku lat siedemdziesiątych, lecz sławę i popularność przyniosły jej programy radiowe, w których odpowiadała na pytania zdesperowanych rodziców. W latach 1976–1978 prowadziła serię audycji dla stacji France Inter. Napisała trzy wspaniałe książki, które – podobnie jak pozostałe prace Dolto – francuscy rodzice uważają za „instrukcję obsługi i wychowania dziecka”, jak to określiła jedna z moich koleżanek.

Françoise Dolto zrewolucjonizowała podejście do dzieci. Twierdziła, że nawet nowo narodzone istoty są godne szacunku i należy liczyć się z ich emocjami. Według niej każdy rodzaj komunikacji jest ważny dla rozwoju dziecka, a rodzice powinni odczytywać znaki dawane im przez pociechy. Namawiała do rozmawiania z maluchami jak z dorosłymi, niebagatelizowania żadnych tematów i tłumaczenia im wszystkiego. Jej wskazówki odnoszą się nie tylko do dzieci w wieku przedszkolnym, ale również do noworodków. Za sprawą Françoise Dolto z francuskich domów zaczęły znikać kontrowersyjne metody wychowawcze. Dorośli Francuzi, a przynajmniej większość z nich,

nareszcie zaczęli się liczyć ze swoim potomstwem. Te przemiany zajęły wiele czasu, jednak współcześni rodzice oraz pracownicy placówek wychowawczych, takich jak żłobki, przedszkola czy szkoły, podążają w kierunku wyznaczonym przez tę niezwykłą lekarzkę.

Witamy w domu

Uczęszczając do paryskiej szkoły rodzenia oprócz tysiąca porad, jak czuć się spełnioną, szczęśliwą i wypoczętą, otrzymałam również mnóstwo informacji, co zrobić, aby moje nowo narodzone dziecko było zadowolone, miało poczucie bezpieczeństwa i potrafiło się odnaleźć we współczesnym świecie. Większość kursów prenatalnych prowadzonych zwykle przez wspaniałe i ambitne położne, dla których praca jest prawdziwą pasją, nadal opiera się na nauczaniu Françoise Dolto.

Gdy przywieźliśmy do domu kilkudniową Liliankę, moja mama najpierw bacznie przypatrywała się, jak obchodzę się z dzieckiem, a ostatecznie w pełni je zaakceptowała. Na początek wyjęłam małą z fotelika, wzięłam ją na ręce i powoli oprowadziłam po całym domu, tłumacząc, gdzie jesteśmy i co robimy. Zademonstrowałam jej kolorowe zasłony w oknach, maleńką rączką gładziłam grubą narzutę na łóżku i dotykałam zimnych granitowych blatów w kuchni. Pokazałam córeczce jej sypialnię i czekające na nią zabawki, tłumacząc, że gdy podrośnie, będzie tu mieszkała. Na końcu zaniosiłam ją do naszej sypialni, pokazałam kołyskę i powiedziałam, że przez najbliższe tygodnie będziemy spali w trójkę w jednym pokoju, abym była w pobliżu, gdyby czegoś potrzebowała. Kiedy ułożyłam ją w łóżeczku, natychmiast usnęła.

Każdą wykonywaną czynność zawsze starannie opisywałam. Zapowiadałam maleńkiej, że idziemy się kąpać, będziemy zmieniać pieluszkę, wychodzimy na spacer lub że za chwilę dostanie ciepłe mleko. W ciągu dnia pozwalałam jej drzemać w salonie, w ogrodzie, w bujaczku lub na rękach, nie izolując jej od różnych dźwięków i światła, jednak w nocy zawsze spała w tym samym miejscu, w ciszy, w lekko zaciemnionym pokoju. Codziennie wieczorem o tej samej porze kąpałam Liliankę, a następnie układałam ją do snu w kołysce, często

siedząc obok i głaszcząc ją po główce.

Dość szybko zaczęła odróżniać pory dnia, a jej nocny odpoczynek się wydłużał; w wieku trzech miesięcy potrafiła przespać dziesięć godzin. Wiele czasu spędzałam na obserwowaniu córeczki, starając się wyłapać momenty, kiedy zaczyna być zmęczona, by móc z wyprzedzeniem zareagować. Mimo że Lilianka od samego początku dostawała mleko modyfikowane, to karmiłam ją na żądanie. Nosiliśmy małą całymi godzinami. Położna podpowiedziała, aby kłaść dłoń na główce dziecka, gdy płacze, gdyż działa to kojąco, a maleństwo czuje ucisk podobny do tego, jaki odczuwało w brzuchu matki.

Takich i mnóstwa innych zachowań, których podłożem jest wychowanie *à la* Dolto, nauczyłam się w szkole rodzenia. Prawie wszystkie moje koleżanki postępują podobnie ze swoimi dziećmi, ponieważ te metody się sprawdzają. Już od wielu lat kary cielesne należą do rzadkości i mimo że nadal prawo pozwala na uderzenie swojego dziecka (w związku z tym aktualnie toczy się sprawa sądowa przeciwko Francji), to w środowisku, w którym się obracam, nie ma przypadków bicia dzieci. Moje koleżanki szybciej zdecydują się na skonfiskowanie ulubionej zabawki malucha, zakaz oglądania telewizji lub odwołanie obiecanej wizyty u kolegi niż na danie dziecku klapsa.

Żłobek czy niania? Oto jest pytanie

Choć francuscy rodzice mogą pochwalić się coraz to światlejszym podejściem do dzieci i ich wychowania, niestety nie można tego powiedzieć o tutejszych nianiach. Nie chcę generalizować i wypowiadać się na temat całej Francji, ale w stolicy nie jest najlepiej.

O tym, że Francja to kraj prorodzinny, słyszy się bardzo dużo zarówno w lokalnych mediach, jak i od obywateli innych państw. (Hm, mogłabym polemizować z opiniami o wspianiałości polityki rodzinnej i socjalnej, gdyż niestety mimo zapewnień, że każdemu rodzicowi należy się pomoc i dofinansowanie, realia są inne). Państwo bardzo dba o kobiety w ciąży, młode matki i noworodki. Bezpłatne gabinety PMI1), gdzie można uzyskać porady i wsparcie, zbadać dziecko lub je zważyć, są na każdym kroku. Wiele z nich oferuje pomoc doradcy laktacyjnego

chyba tylko po to, aby przywrócić trend karmienia piersią, który w Paryżu nie jest zbyt popularny. Można poprosić o wizyty położnej środowiskowej w domu przez kilka dni po porodzie i za darmo wykonać podstawowe szczepienia. Jednak największym udogodnieniem dla młodych mam, które bardzo chętnie i bardzo szybko wracają do pracy, jest wsparcie państwa w zakresie opieki nad dzieckiem.

1) Gabinety PMI (Protection maternelle et infantile) – ośrodki opieki nad matką i dzieckiem.

Większość matek najchętniej korzysta ze żłobka. Miejsca w tej placówce rozchodzą się jak ciepłe bułeczki. Na peryferiach miasta żłobkiem kusi się potencjalnych nabywców domów. Agenci nieruchomości sugerują, że w danej okolicy mieszka niewiele rodzin z małymi dziećmi, a żłobki świecą pustkami. W efekcie podczas gdy Liliana uczęszczała do żłobka w pełnym wymiarze czasowym, Ophelia załapała się już tylko na dwa dni. A to i tak świetny wynik, jeśli weźmie się pod uwagę, że początkowo w ogóle odmówiono jej przyjęcia!

Gdy rodzice nie dostaną upragnionego miejsca w *la crèche*, żłobku, muszą zatrudnić nianię. Czasami opiekunka zajmuje się dziećmi u siebie w domu, jednak rodzice z bogatszych dzielnic wolą, aby przychodziła do dziecka. Niektórzy z nich decydują się na opiekę łączoną i wtedy niania zajmuje się dwójką lub trójką dzieci co tydzień w mieszkaniu innej rodziny.

Można zdecydować się na nianię, która nie ma poświadczonych przez państwo kwalifikacji i za jej usługi płacić z własnej kieszeni. Można także podpisać umowę z *assistante maternelle*, czyli pełnoetatową opiekunką posiadającą dyplom i uprawnienia państwowe, i dzięki temu otrzymać dofinansowanie kosztów opieki nad dzieckiem. Czyż to nie wspaniałe? Problem polega na tym, że decydując się na nianię współpracującą z rządem, nie mamy wpływu na wybór kandydatki. Moja szwagierka zmieniała nianię trzy razy, ponieważ kolejne kobiety nie spełniały jej wymagań. Opiekunki na państwowych kontraktach mają obowiązek realizowania programu edukacyjnego, gotowania dzieciom obiadów, wychodzenia z nimi na spacery i zabierania na zajęcia organizowane przez merostwo. Jednak nikt nie

nadzoruje tego, jak wywiązują się z tych zobowiązań.

Jedna z moich koleżanek napisała skargę na nianię, gdy pewnego dnia, szukając w kuchni ręczników papierowych, otworzyła szafkę i natknęła się na zapas słoiczków z gotowym jedzeniem dla dzieci bardzo złej jakości. Inna złożyła donos, gdy po kilku miesiącach koszmarów nocnych i wizycie u psychologa okazało się, że jej dwuletnia córeczka, zamiast kolorować obrazki w malowance, codziennie widzi brutalne sceny w filmach, które w zaciszu domowego salonu ogląda konkubent niani. Jeszcze inna odmówiła współpracy z opiekunką, która okazała się bardzo gorliwą muzułmanką, co stało w sprzeczności ze stanowczym laicyzmem moich znajomych.

Oczywiście nie wszystkie nianie są złe, ale regularnie chodząc z córkami do parku w czasie moich dwóch urlopów wychowawczych, natknęłam się na naprawdę niesamowite przypadki.

Niańkowa mafia

Większość niań, które mają podpisane kontrakty z państwem i pracują na terenie Paryża lub w jego okolicach, to imigrantki afrykańsko-arabskiego pochodzenia. I choć sama jestem obcokrajowcem mieszkającym na francuskiej ziemi, a niektórzy z moich bliskich przyjaciół również mają zagraniczne obywatelstwa, to nie chciałabym, aby te kobiety zajmowały się moim dzieckiem. I absolutnie nie ma tu nic do rzeczy ich kolor skóry czy religia. Nie wiem, w jaki sposób nianie troszczą się o dzieci za zamkniętymi drzwiami paryskich apartamentów, ale widziałam, jak zajmują się maluchami, a właściwie, jak się nimi nie zajmują, będąc na przykład na spacerze w parku.

Opiekunki, gdy tylko pojawią się na skwerku, natychmiast łączą się w grupki w zależności od swojej przynależności etnicznej. Starsze dzieci, czyli te, które mają mniej niż trzy lata (od trzeciego roku życia prawie wszystkie maluchy chodzą do przedszkola), lecz więcej niż rok i potrafią się samodzielnie przemieszczać, są pozostawione same sobie. Często obserwowałam dzieci, które sypią sobie i innym piasek do oczu czy na głowę lub, o zgrozo!, jedzą go, a następnie wymiotują. Widywałam też mnóstwo dzieciaków w upalny dzień bawiących się bez

żadnego nakrycia głowy chroniącego przed słońcem, że o braku kremu z wysokim filtrem nie wspomnę. Buty założone prawy na lewą nogę i odwrotnie, niezapięte kurtki, zasmarkane nosy to codzienność na placu zabaw. Nie jestem przewrażliwioną matką i nie biegnę do córeczki, gdy tylko się potknie, jednak widok malca, który przewrócił się na betonie i ma zdarte do krwi kolana, oraz niani niezwracającej na to uwagi napawa mnie smutkiem. W najgorszej sytuacji są raczkujące lub dopiero zaczynające chodzić maluszki. Siedzą w spacerówkach bez żadnych zabawek, nie mogą wyjść i płaczą niemiłosiernie z żalu, z nudów czy z samotności. Nianie udają, że nie słyszą. Gdy jedna z moich koleżanek, wzorowa mama dwójki małych dzieci, zwróciła kiedyś uwagę opiekunkom, o mało nie została przez nie zlinczowana. Nagadały się, nacmokały (w kulturze afrykańskiej cmokanie wyraża dezaprobatę), a kilka splunęło jej pod nogi. Znajoma mieszka w ósmej dzielnicy Paryża, gdzie o miejsce w żłobku jest wyjątkowo trudno. Jej czterolatek już chodzi do przedszkola, jednak ona zdecydowała się zostać w domu z młodszą córeczką, regularnie przedłużając urlop wychowawczy, gdyż stwierdziła, że nie odda dziecka w ręce afrykańskich pseudoopiekunek.

Ja ci jeszcze pokażę

Pewnego pięknego słonecznego dnia wybrałam się po Liliankę do żłobka. Minęłam młodą niankę, która wraz z koleżanką przysiadła na wysokim krawężniku przy jednej z ulic. Obie głośno rozmawiały i gestykulowały, paląc papierosy, podczas gdy w wózku obok siedziała mała, może roczna dziewczynka. Blondyneczka o niebieskich oczach i buzi jak aniołek bardzo płakała, była odwrócona tyłem do opiekunki, a przodem do ruchliwej ulicy. Nie chciałam pochopnie oceniać niani. Może dziecko płakało ze złości lub kaprysiło, bo opiekunka nie chciała dać mu czekoladki. Może kobieta starała się je uspokoić, ale w końcu dała za wygraną. Nigdy nie wiadomo, przecież mnie też się zdarzyło, że starsza córeczka krzyczała wniebogłosy i szlochała, gdy na przykład nie pozwoliłam, żeby zjadła kolejne ciasteczko. Postanowiłam więc się nie wtrącać i poszłam w swoją stronę.

Jednak w drodze powrotnej, ponad dwadzieścia minut później, już

z daleka słyszałam płacz dziecka. Zobaczyłam, że dziewczynka, czerwona od płaczu, ze łzami na policzkach, mokrym nosem i z wymiotami na kolorowej kurteczce, nadal siedzi odwrócona w kierunku ulicy, tym razem zdecydowanie dalej od opiekunki, a bliżej drogi. Podskakiwała wystraszona, gdy tylko przejeżdżał samochód. Tym razem postanowiłam interweniować, bo ewidentnie nie chodziło tu o kaprysy dziecka, ale o zaniedbanie ze strony niani. Wiedziałam, że kobieta zajmująca się małą nie była jej matką, no chyba że miała męża Skandynawa o wyjątkowo mocno dominujących genach. Zwróciłam uwagę młodym opiekunkom, a w odpowiedzi usłyszałam wyjątkowo kreatywne wyzwiska. Gdy obie skończyły mi ubliżać, cmokać i pluć pod moje nogi, uśmiechnęłam się i oświadczyłam, że jeszcze zobaczymy, kto ma rację. Po czym szybko udałam na pobliski posterunek policji. Przed budynkiem stało dwóch mundurowych, którzy wyszli na papierosa. Ku mojemu zaskoczeniu policjanci mnie nie zlekceważyli. Jeden złapał za krótkofalówkę i wysłał na miejsce swoich kolegów patrolujących okolicę radiowozem. Następnie podziękowali mi i pobiegli na wskazane miejsce. Ucieszyłam się, że moja skarga została potraktowana poważnie. Niestety, tutejsi stróże prawa niechętnie wtrącają się w sprawy dotyczące wychowania dzieci, zwłaszcza że niektóre aspekty prawa rodzinnego nadal nie zostały ostatecznie uregulowane.

Byłam zadowolona z szybkiej reakcji policji, ale również ze swojej postawy. Nie można przechodzić obojętnie, gdy dziecku dzieje się krzywda. A fortuna kołem się toczy. Kilka miesięcy później w związku z powrotem do pracy zatrudniłam nianię, która miała zajmować się Lilianką. Kobieta, mimo że Polka, okazała się całkowicie nieodpowiedzialna, notorycznie nadużywała alkoholu i pozostawiała moje dziecko bez opieki. Trwało to krótko, bo na szczęście zostałam powiadomiona o jej zachowaniu przez osoby trzecie.

Oczywiście, znam sporo cudownych opiekunek, które zajmują się dziećmi z powołania, jednak przeciętna paryżanka woli wysłać swoje maleństwo do żłobka, bo jest pewna, że tam zaopiekują się nim w odpowiedni sposób. Francuskie żłobki to wspaniałe instytucje, a ich pracownicy lubią swój zawód. Dzieci są nakarmione, dba się o ich rozwój intelektualny, a także uczy się je samodzielności. Żłobek to

marzenie każdej ciężarnej mieszkającej w stolicy. Podania o przyznanie miejsca w tej placówce składa się już po skończeniu trzeciego miesiąca ciąży, gdy tylko lekarz wystawi odpowiednie zaświadczenie. Niestety, miejsc jest bardzo mało, a chętnych bardzo dużo.

Przedszkolny bałagan

We wrześniu 2014 roku wprowadzono reformę, która zbulwersowała wszystkich francuskich rodziców. Zgodnie z nią w środy zajęcia mają się odbywać zarówno w szkole, jak i w przedszkolu, co jest przyczyną chaosu organizacyjnego w rodzinach dzieci, w merostwie i oczywiście w przedszkolach i szkołach. Ale po kolei...

Przez wiele lat we Francji obowiązywał czterodniowy tydzień nauki, a placówki edukacyjne (tak państwowe, jak i prywatne, które muszą dostosować się do systemu) były zamknięte w środy. Gdy rząd zdecydował się na wprowadzenie pięciodniowego tygodnia nauki, aby dostosować się do norm ogólnoeuropejskich, w kraju wybuchł skandal. W Paryżu nauczyciele i rodzice wyszli na ulice, protestując przeciwko tym zmianom. Ich krzyki jednak nie pomogły i ustawa została przyjęta. I chyba tylko ja nie widziałam nic dziwnego w tym, że dzieci uczęszczają na zajęcia przez pięć dni w tygodniu.

Dla gospodarki to bardzo dobre rozwiązanie, gdyż w środy, w dniu, w którym dzieci nie chodziły do przedszkola i szkoły, w biurach, urzędach czy fabrykach właściwie nie spotykało się kobiet. Duża część z nich brała wtedy wolne lub pracowała na cztery piąte etatu. Dziś sytuacja częściowo uległa zmianie.

Plan dnia

Gdy francuskie maluchy skończą trzy latka, są przyjmowane do przedszkola nazywanego tutaj szkołą matczyną. Kiedy pierwszego września moja córeczka w pięknej sukience w kwiaty podreptała na rozpoczęcie roku, byłam całkowicie spokojna. Uważałam, że wiem, czego mogę się spodziewać, zwłaszcza że moja mama przez lata pracowała w przedszkolu jako wychowawczyni. Jednak to, co

zobaczyłam i przeżyłam podczas pierwszego roku nauki Liliany, nie miało nic wspólnego z polskimi realiami.

W ciągu kilku tygodni mamy, które znałam już wcześniej ze żłobka, wciągnęły mnie do *association de parents d'élèves*, czyli stowarzyszenia rodziców. Ta i inne podobne grupki rodziców dzielnie walczą o jak najlepsze warunki dla swoich dzieci, stają do boju z dyrekcją placówki, ale również z merostwem, które – jak przystało na kraj socjalistyczny – ma wiele do powiedzenia na każdy temat.

Najbardziej zaskoczyły mnie godziny przyprowadzania i odbierania maluchów. Podczas gdy w Polsce przedział czasowy jest dość szeroki, tutaj trzeba się zmieścić w dziesięcio-, maksymalnie piętnastominutowym okienku. Nasze przedszkole otwiera bramę o ósmej trzydzieści, wpuszczając tłum śpieszących się do pracy rodziców i ich dzieci. Przez piętnaście minut w szatniach panuje ogromne zamieszanie: rodzice rozbierają swoje pociechy, odprowadzają do sal, w przelocie dyskutują z nauczycielkami i oczywiście skanują karty magnetyczne, określające godziny pobytu dziecka w placówce.

Przyznam się, że na początku problem stanowiły dla mnie godziny odbierania maluchów. Możliwości jest wiele, jednak wszystkie wiążące się z nimi zasady są sztywne. Dziecko przyprowadzone o ósmej trzydzieści można odebrać o jedenastej trzydzieści, aby zabrać je do domu na obiad. Jednak należy przyprowadzić je z powrotem do przedszkola na trzynastą trzydzieści, a spóźnienie nie wchodzi w grę. Jeśli jednak dziecko spożywa posiłki w *la cantine*, stołówce, to odbiera się je po południu: albo o szesnastej, gdy kończą się zajęcia z nauczycielką, albo o szesnastej czterdzieści pięć, gdy kończą się zajęcia dodatkowe organizowane przez merostwo. Można też przyjść po dziecko o siedemnastej trzydzieści, po podwieczorku. Jeśli do tego momentu nie zabraliście pociechy, maluch automatycznie przechodzi pod opiekę płatnej świetlicy, która funkcjonuje również rano od siódmej do ósmej trzydzieści, zanim zostanie otwarte przedszkole.

Choć wszystkie zajęcia odbywają się w jednym budynku, liczba osób zatrudnionych do opieki nad dziećmi może wprawić rodzica w osłupienie. Są więc nauczycielki i ich pomocnice, ale one zajmują się maluchami tylko w czasie zajęć dydaktycznych. Wszystkie ćwiczenia

rekreacyjne na dworze, obiad w przedszkolnej stołówce czy leżakowanie w najmłodszych grupach organizują i nadzorują pracownicy merostwa. To również oni sprawują opiekę nad dziećmi podczas ich pobytu w świetlicy.

W dodatku w środy harmonogram dnia jest inny! Praca dydaktyczna pod nadzorem nauczycielki odbywa się tylko rano, a po południu dziećmi zajmują się pracownicy merostwa. Godziny odbioru maluchów w środy również są inne.

Jeszcze jedną niespodzianką była dla mnie wielkość grup. W tym roku liczą one do trzydziestu dwóch przedszkolaków, w przyszłym mają się składać z aż trzydziestu pięciu maluchów.

Wakacje, znów będą wakacje!

Francja może się pochwalić chyba najbardziej rozbudowanym systemem przerw od nauki w Europie, a może nawet na świecie. Oprócz wakacji letnich i ferii zimowych uczniowie (i nauczyciele) mają też przerwę jesienną, bożonarodzeniową oraz wiosenną. Czyli przebywają na dwutygodniowych wakacjach co mniej więcej dwa miesiące: w listopadzie, na święta, w lutym i w kwietniu, a do tego przerwa letnia rozpoczyna się w lipcu. I wszystko byłoby dobrze, moglibyśmy przecież całą rodziną podróżować, zwiedzać, odpoczywać, gdyby nie fakt, że my, dorośli, mamy tylko pięć tygodni urlopu rocznie, a nie szesnaście!

Któregoś wieczoru podczas kolacji z rodziną mojego męża zaczęliśmy dyskutować o dniach wolnych w przedszkolach i szkołach. Moi teściowie, którzy od zawsze pomagają siostrze męża w opiece nad jej starszą córką, stwierdzili, że jest to fantastyczne rozwiązanie, bo przecież dzieciaki są bardzo zmęczone porannym wstawaniem, codziennym uczęszczaniem na zajęcia i nauką, dlatego potrzebują regularnych wakacji.

Uśmiechnęłam się i odpowiedziałam, że absolutnie tego nie neguję, jednak wakacje co dwa miesiące w dzisiejszych czasach się nie sprawdzają. Współczesne matki pracują, a nie siedzą w domu i zajmują się potomstwem i mężem, tak jak to opisano choćby w przygodach Mikołajka w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Dzisiejsze

kobiety spędzają w pracy tyle czasu, co mężczyźni. Dziadkowie dwudziestego pierwszego wieku nie są już młodymi emerytami, którzy zakończyli pracę, mając pięćdziesiąt lat, ale niezadowoleni nadal udzielają się zawodowo mimo skończonej sześćdziesiątki. Emeryci bardzo często muszą pracować dorywczo, aby zachować przyzwoity poziom życia. Nie każde dziecko ma szansę na wyjazdy co dwa miesiące pod opieką i za pieniądze dziadków. Moje koleżanki i koledzy mieszkający w Paryżu wykorzystują trzy tygodnie urlopu latem na wczasy nad morzem i tydzień zimą na narty w górach, a ostatni tydzień rozbijają na wypełnienie długich weekendów. Przeciętny Francuz nie dostanie szesnastu tygodni urlopu, więc dzieciaki, zamiast korzystać z wolnego, szalejąc z rodzicami na sankach lub chlapiąc się w basenie, wstają o siódmej rano, aby na ósmą trzydzieści iść do płatnej świetlicy i tam czekają do wieczora, aż rodzice je odbiorą...

Częste mycie skraca życie

Wielkim utrapieniem francuskich przedszkoli i szkół podstawowych jest przerażający brak higieny wśród uczniów. Główne przyczyny takiego stanu rzeczy to brak nadzoru opiekunów i brak... przyzwyczajęń higienicznych, które dzieci zwykle wynoszą z domu.

Wrzesień dopiero się rozpoczął, gdy na drzwiach przedszkola, do którego chodziła moja córka, wywieszono kartkę z napisem: „Uwaga, wszy”. Nie zdjęto jej aż do końca roku szkolnego, bo – jak mnie poinformowała jedna z opiekunek – nie ma tygodnia, żeby któreś dziecko nie drapało się po głowie. A najgorsze jest to, że niektórzy rodzice nie robią absolutnie nic, by pozbyć się tego uciążliwego kłopotu. W grudniu w naszym przedszkolu wykryto zachorowania na świerzb, a na północy kraju ta choroba tak się rozpowszechniła, że wręcz zamknięto kilka szkół.

W raporcie z jednego ze spotkań stowarzyszenia rodziców z dyrekcją szkoły można przeczytać, że toalety myte są raz dziennie, a podłogi w klasach i w sali gimnastycznej raz lub dwa razy w tygodniu. Liliana, odkąd zaczęła uczęszczać do przedszkola, regularnie zapomina o myciu rąk przed posiłkiem i po powrocie do domu, że o spuszczeniu

wody w toalecie nie wspomnę. To, że rodzice wchodzą w brudnym, zabłoconym obuwiu do sal, gdzie ich dzieci tarzają się po podłodze, oraz to, że zimą maluchy cały dzień mają na nogach ciepłe buty, przestało mnie już zaskakiwać...

Trudno się jednak dziwić, że dzieci borykają się z problemami z higieną osobistą, skoro przykład idzie z góry. Powiem dosadnie: Francuzi, a zwłaszcza paryżanie są brudni! Paryż oprócz pięknej architektury, imponujących zabytków i wielu atrakcji ma też najbrudniejsze ulice w kraju. Tutejsi mieszkańcy utonęliby we własnych śmieciach, gdyby nie armia ubranych w zielone uniformy pracowników miejskich, którzy dwoją się i troją, aby stolica nie straszyla nieczystymi trotuarami.

I jeśli myślicie, że o siebie paryżanie dbają bardziej niż o ulice, to jesteście w wielkim błędzie. Ostatnie badania statystyczne wykazały, że Francuzi mają najmniejsze zużycie mydła i żelu pod prysznic w Europie. Przyznam, że po tylu latach mieszkania w stolicy Francji wcale mnie to nie zdziwiło. Młodzi, kreatywni, lepiej wykształceni zawyżają statystyki, jak mogą, utrzymując czystość, odwiedzając salony piękności i zużywając hektolitry perfum, które wylewają na siebie każdego ranka. Jednak przeciętny francuski Kowalski niechętnie bierze prysznic. W kraju nadal popularne jest mycie się przy użyciu *le gant*, czyli kwadratowej rękawiczki z materiału, którą po zmoczeniu przeciera się twarz i ciało. Oj, nie tak wyobrażałam sobie kraj Chanel N°5!

Już od małego dzieci uczy się, że częste zabiegi higieniczne nie są potrzebne do prawidłowego funkcjonowania. Najmłodszy, nawet ci w wieku przedszkolnym, kąpani są co drugi dzień, a niektórzy tylko dwa razy w tygodniu. Znam dziewczynkę, której na siedmiodniowy wyjazd rodzice spakowali jedynie dwa zestawy bielizny i której włosy myją raz na dziesięć dni. We Francji uważa się, że małe dzieci się nie pocą. Z powodu braku higieny jamy ustnej i niezbyt gorliwej kontroli dentystycznej już najmłodszy mają poważne problemy stomatologiczne.

Oczywiście, nie należy generalizować, gdyż setki Francuzów dbają o higienę osobistą, jednak ogół przykładem do naśladowania niestety nie jest.

Najlepsza stołówka na świecie

Francuskie żłobki i przedszkola mają rewelacyjne stołówki. Już malutkie dzieci poznają tam przeróżne smaki. Moja siedmiomiesięczna Ophelia podczas jednego z obiadów w żłobku mogła spróbować królika w buraczkach, mięsa przepiórki i patatów. Starsze dzieci, które potrafią już gryźć, dostają zestawy obiadowe składające się z przystawki, głównego dania, sera i deseru. Do potraw nie dodaje się soli i cukru. Menu wywieszone na tablicy informacyjnej w przedszkolu Lilianki przypomina kartę dań w luksusowej restauracji. Nie wierzycie? Oto tygodniowy spis potraw, które serwuje się przedszkolakom w stołówce:

Poniedziałek

Salatka z tartej marchewki z sokiem z cytryny

Pierś z indyka duszona w tymianku i zapiekane ziemniaki

Jogurt owocowy

Jabłko

Wtorek

Rzodkiewki z jogurtem greckim

Kasza pęczak i *ratatouille* ze świeżych warzyw

Ser camembert

Mandarynki

Środa

Salatka z fasolki szparagowej

Ryż i kotleciki cielęce ze szpinakiem

Ser rocamadour

Salatka owocowa

Czwartek

Salatka z grejpfruta i awokado

Purée ziemniaczane i gulasz wołowy

Ser brie

Banan

Piątek

Pomidory z mozzarellą i świeżą bazylią

Makaron penne z łososiem

Deser czekoladowy

Ananas

Prawda, że brzmi smakowicie? Aby wszyscy byli zadowoleni, kilka razy do roku przedstawiciele rodziców, dyrekcja, delegacja merostwa, dietetyk i kucharz z danej stołówki spotykają się, aby wspólnie ustalić menu dla dzieci. Regularnie organizuje się również degustacje dla rodziców, na które sami zainteresowani zawsze licznie się stawiają. Z takiego posiedzenia można wyjść z pełnym brzuchem i ciekawymi przepisami. Oto kilka z nich – zdobędą serca małych łakomczuchów.

Kolorowe szaszłyki

(porcja dla 2 dzieci)

½ piersi z kurczaka

zioła

suszone pomidorki koktajlowe

½ awokado

¼ ogórka

kawałek twardego żółtego sera typu gouda

oliwa z oliwek

sól, pieprz

Piers z kurczaka obtoczyć w ziołach, usmażyć na oliwie z oliwek, pokroić na kawałki i poczekać, aż ostygnie. Awokado, ogórek i ser także pokroić. Pomidorki zostawić w całości. Wszystkie produkty nadziać na drewniany patyczek, tworząc kolorowy szaszłyk. Podawać na zimno jako przystawkę.

Gnocchi ze słodkich ziemniaków

(porcja dla 2 dzieci)

1 patat

50 g mąki kukurydzianej

50 g mąki pszennej

1 żółtko

1 mały pomidor

3 łyżki stołowe serka mascarpone

szczypta gałki muszkatołowej

świeży szczypiorek (kilka źdźbeł)

starty parmezan

Ugotowanego patata rozgnieść na purée, ostudzić, dodać gałkę muszkatołową, sól, pieprz, żółtko, mąkę kukurydzianą i dokładnie wymieszać. Wsypać mąkę pszenną i wyrabiać do uzyskania idealnie gładkiego ciasta. Uformować małe kuleczki. Wrzucić na 5 minut do wrzącej wody. W tym czasie wymieszać mascarpone, posiekany szczypiorek i pokrojonego pomidora, a następnie podgrzać na małym ogniu. Kluseczki odcedzić, zalać sosem i posypać parmezanem.

Hachis2) z ryby

2) *Hachis* (fr.) – rodzaj zapiekanki z siekanego mięsa i warzyw.

(porcja dla 3–4 dzieci)

250 g białej ryby

100–150 ml mleka

100–150 ml wody

600 g ziemniaków na purée

1 por

40 g masła

sól, pieprz

Ziemniaki obrać i ugotować razem z porem w osolonej wodzie. Zmiksować na purée, dodać masło i pieprz. Zmieszać mleko i wodę i w takiej mieszance gotować rybę przez 10–15 minut. Mięso odsączyć i drobno posiekać. Rozgrzać piekarnik do 180 stopni. W naczyniu żaroodpornym wysmarowanym masłem ułożyć rybę, a na niej warstwę purée. Piec przez 15–20 minut i jeszcze przez dodatkowe 5 minut w wysokiej temperaturze, aby przyrumienić wierzch zapiekanki. Podawać na gorąco.

Francuzi, zarówno mieszkańcy stolicy, jak i prowincji, kochają dobre jedzenie. Tradycje kulinarne są tu bardzo bogate, a dzieciom od najmłodszych lat wpaja się dobre nawyki żywieniowe. Niestety, w niektórych środowiskach zaczęto od tego odchodzić, gdy we Francji pojawiły amerykańskie sieci fast foodów, tureckie kebaby i azjatyckie jedzenie na wynos. Mrożone pizze, frytki, nugettsy i inne śmieciowe

jedzenie zawojowały stoły części społeczeństwa. Na szczęście stołówki szkolne i przedszkolne, nadzorowane przez merostwa i armię urzędników, zachowują wysoki poziom. Znaczna część podawanych w nich warzyw i owoców to produkty lokalne pochodzące z okolicznych upraw. Jabłka *faro*, które dzieciaki dostają na deser w paryskiej *la cantine*, pochodzą z sadów w pobliskim Cergy-Pontoise. Chrupiące gruszki przywieziono z miejscowości Groslay mającej ponad dwustuletnie tradycje sadownicze. Wiosną maluchy pałaszują wyśmienity, świeży zielony groszek z Poissy, a zimą przetwory z kwaśnych wiśni kwitnących w ogrodach Montmorency.

Dziecięcy bon ton

Paryskie restauracje nie wprowadzają taryfy ulgowej dla najmłodszych i tylko nieliczne proponują typowo dziecięce menu. Trudno w nich znaleźć hot doga lub chipsy. Lokale w stolicy, jeżeli już oferują dania dla dzieci, to proponują im makaron z *pesto rosso*³⁾, morszczuka ze szpinakiem czy tartę z kozim serem. Od maluchów wymaga się również prawidłowego zachowania w miejscach publicznych, w tym przy stole w restauracji.

3) *Pesto rosso* (wł.) – rodzaj sosu z suszonych pomidorów.

Gdy po raz pierwszy wraz z siostrą i jej synkiem wybrałam się do jednej z paryskich knajp, Marta z niedowierzaniem patrzyła na sąsiednie stoliki, gdzie dzieci jadły, grzecznie siedząc i korzystając z widelca i noża. Tylko jej synek biegał i piszczał. Jednak mały Adaś szybko uległ francuskim zwyczajom: chwilę później również zajął miejsce przy stole i z uśmiechem pałaszował obiad.

Gdy jadę z moimi dziewczynkami do Polski, Lilianka podczas każdego wyjścia do restauracji szaleje i nie może spokojnie usiedzieć. Na pewno nie pomaga jej to, że polscy rówieśnicy przy sąsiednich stolikach zachowują się dokładnie tak samo. Jednak gdy wychodzimy do paryskich lokali, córeczka jest zdecydowanie bardziej zdyscyplinowana. Potrafi grzecznie siedzieć przy stole i tylko sporadycznie wybrzydza. Oczywiście, w Paryżu również można spotkać dzieciaki, które zamiast

z uśmiechem jeść smakowite danie, krzyczą, tupią i grymaszą, jednak wyjątki potwierdzają regułę.

Niemiecka dyscyplina

Gdy moi niemieccy przyjaciele przyjechali do nas w odwiedziny ze swoimi córeczkami, któregoś słonecznego dnia poszliśmy na spacer w okolice wieży Eiffla. Zdecydowaliśmy się wstąpić do jednej z restauracji na placu Trocadéro. Miejsce to akceptuje obecność maluchów, a kelnerzy jak na Paryż są wyjątkowo sympatyczni. Przychodzi tu wiele rodzin z dziećmi, tym bardziej że jedzenie jest smaczne, a w pobliżu znajduje się paryskie akwarium będące atrakcją dla najmłodszych. Usiedliśmy więc przy stoliku, złożyliśmy zamówienie i zaczęliśmy rozmawiać. Jednak było nam bardzo trudno się skoncentrować na jakimkolwiek temacie, bo córeczki przyjaciół zachowywały się okropnie. Powiem więcej, one po prostu roznosiły restaurację! Rodzice, wyluzowani Niemcy, mimo pełnych dezaprobaty spojrzeń innych gości nie przejmowali się tym, że starsza córka, wówczas czteroletnia, wysypała na stół sól i pieprz, podczas gdy młodsza wylała na podłogę butelkę wody mineralnej, którą wyjęła z torebki mamy. Jednak katastrofa dopiero miała nastąpić.

Gdy moja Lilka, której też daleko do ideału, spokojnie jadła swoją rybę, niemieckie dziewczynki obrzucały się frytkami i makaronem. W tym momencie mój mąż nie wytrzymał i nakrzyczał na nie po francusku. Mimo że małe nicponie nic nie zrozumiały, to wystraszone na chwilę się uspokoiły. Jednak po kilku minutach znów zaczęły rozrabiać i biegać po całym lokalu. Kontrast był tym większy, że przy prawie wszystkich stolikach też siedziały dzieciaki i jak na francuskie potomstwo przystało, zachowywały się przyzwoicie albo przynajmniej bardzo się starały. Prawie zapadłam się pod ziemię ze wstydu, widząc, w jakim stanie zostawiamy stół i podłogę wokół niego, i słuchając komentarzy personelu i innych gości.

Szczęśliwa rodzina

Myślę, że tak grzeczne sprawowanie paryskich maluchów wynika z tego, że w przeciwnym wypadku miasto by ich nie zaakceptowało. Więc jeśli rodzice chcą gdzieś wyjść ze swoimi pociechami, te muszą odpowiednio się zachowywać, bo inaczej dorośli dadzą im odczuć swoje niezadowolenie. Podczas gdy w Polsce w każdym większym mieście na prawie każdej ulicy, ale również w wielu miasteczkach i wsiach funkcjonują specjalne klubokawiarnie dla rodzin z dziećmi, w Paryżu można je policzyć na palcach jednej ręki. Na szczęście sytuacja powoli się zmienia i powstaje coraz więcej lokali przyjaznych najmłodszym. Jednym z takich wspaniałych miejsc jest Happy Families, w dzielnicy Marais, w pobliżu Centrum Pompidou i ratusza. Można tu pójść do restauracji serwującej świetne obiady, brunchy i podwieczorki oraz wyśmienitą kawę i ekologiczne, świeżo wyciskane soki dla dzieci, odwiedzić fryzjera, skorzystać ze spa, umówić się na maseczkę i manicure u kosmetyczki. Można nawet udać się na konsultację do fizjoterapeuty czy osteopaty. Gdy będziecie robić się na bóstwo, jeść smaczny posiłek w gronie przyjaciół lub relaksować się podczas masażu, dzieci mogą rozwijać swoje zdolności na zajęciach plastycznych, tanecznych czy muzycznych, a wszystko pod okiem czujnego instruktora. Happy Families od momentu swojego otwarcia przyciąga tłumy paryskich rodziców. Aby skorzystać z oferty centrum, trzeba robić rezerwację, czasem nawet z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Ale naprawdę warto! Właściciele reklamują swój lokal jako miejsce, gdzie rodzice są szczęśliwi.

Do biegania i skakania

Choć restauracje i bary nie są przyjazne dzieciakom, wiele osób stara się, aby mali paryżanie dobrze się czuli w swoim mieście. Coraz więcej lokali przystosowuje się do potrzeb najmłodszych, licząc na zysk z zamówień ich rodziców chcących nadal aktywnie uczestniczyć w życiu Paryża. Dzieci można więc spotkać w kawiarniach, pubach, muzeach, na wystawach i w wielu innych miejscach, które jeszcze kilka lat temu stanowiły hermetycznie zamknięty świat dorosłych. Jednak najwięcej małych Francuzów zobaczycie na terenach zielonych. Paryż, mimo że

jest dużą aglomeracją, gdzie każdy fragment wolnej przestrzeni stanowi łąkowy kąsek dla deweloperów, ma prawie pięćset różnych parków i ogrodów.

Jardin d'Acclimatation to jeden z najciekawszych parków w stolicy Francji. Znajduje się tuż obok Lasku Bulońskiego, wstęp do niego nie jest drogi, a za wiele atrakcji nie trzeba płacić. Latem dzieciaki mogą pluskać się w wielkich fontannach i płytkich brodzikach, podczas gdy rodzice odpoczywają obok wyciągnięci na leżakach. Można tu również odwiedzić minizoo. Pamiętajcie, aby zabrać marchewki, by móc nimi nakarmić całe stado małych kóz i owieczek. Dzieci mogą też obejrzeć teatrzyk kukielkowy, poskakać na trampolinach lub pobawić się w licznych małych gajach. Są tu również grządki, gdzie najmłodszy zobaczą różne warzywa i owoce. Latem, w soboty i niedziele, park organizuje liczne dodatkowe atrakcje, takie jak weekend koreański, w czasie którego można do woli częstować się produktami prosto z Seulu. Kiedy indziej w alejkach parku występowali artyści cyrkowi i akrobaci zabawiający najmłodszych swoimi popisami. Jardin d'Acclimatation istnieje już od ponad stu pięćdziesięciu lat i wspaniale łączy tradycję z nowoczesnością.

Przyjeżdżając do Paryża z dziećmi, musicie pamiętać, aby dostosować się do paryskich reguł gry. W restauracjach nie znajdziecie tu przewijaków. Kelnerzy będą patrzeć na was spode łba, gdy wejdziecie do lokalu, pchając przed sobą wózek, a już na pewno zwrócą uwagę, jeśli zdecydujecie się karmić piersią przy stoliku. W autobusie i metrze nikt nie ustąpi wam miejsca, mimo że trzymacie małe dziecko na rękach. W sklepie zwrócą wam uwagę, żeby maluch niczego nie dotykał, bo popsuje i ubrudzi. Jednak Paryż potrafi też zachwycić najmłodszych turystów i sprawić, że pokochają to miasto. Dzieci na pewno zapamiętają przejazd paryskim metrem (wy również, bo będziecie dźwigać wózki po niekończących się i wysokich schodach), wizytę w ogromnym zoo, skakanie po kałużach w kolorowych ogrodach czy wałęsanie się po krętych uliczkach i kiedyś tu wrócą.



Paryskie przyjemności

Francja to nie tylko malownicze krajobrazy i wspaniałe zabytki, ale również niepowtarzalna kuchnia. Najlepszych francuskich dań skosztujecie w Paryżu – światowej stolicy gastronomii. Można tu znaleźć mnóstwo zaskakujących knajp i sklepów, przeżyć coś niesamowitego i spotkać wyjątkowe osoby. Paryż to miejsce, w którym każdy choć raz powinien skorzystać z życia.

Kulinarna podróż dookoła świata

Paryż dzieli się na dwadzieścia dzielnic, w których znajduje się ponad pięć tysięcy lokali gastronomicznych. Niektórzy twierdzą, że miasto nie może się pochwalić własną kuchnią, tylko bazuje na specjałach innych rejonów. To nie do końca prawda. Mieszkańcy różnych części Francji, przyjeżdżając do stolicy, przynosili tu swoje zwyczaje kulinarne. Dlatego w Paryżu natkniemy się na restauracje z jedzeniem typowym dla Korsyki, Bretanii, Burgundii czy Alzacji. W większości są to tradycyjne swojskie knajpy, a pracujący w nich ludzie niejednokrotnie pochodzą z danego rejonu. Ostatnio, będąc na obiedzie firmowym w znanej korsykańskiej restauracji, poczułam się, jakbym na chwilę opuściła stolicę i przeniosła się na tę piękną wyspę: wspaniałe jedzenie, karta dań po francusku i po korsykańsku, obsługa posługująca się dialektem. Jak się później dowiedziałam, lokal jest tak typowy dla Korsyki, że stołują się w nim nawet członkowie tamtejszej mafii podczas swojego pobytu w Paryżu.

Także imigranci wzbogacili paryskie menu. W stolicy Francji znajdziemy wspaniałe restauracje japońskie, chińskie czy koreańskie. Bardzo popularne są lokale z kuchnią włoską, hiszpańską i portugalską. W wielu częściach miasta skosztujecie marokańskiego kuskusu lub indyjskich pierożków – samosów. Również środkowa i wschodnia część Europy ma swoją reprezentację na kulinarnej mapie Paryża, więc dostaniecie tu smaczny bigos lub grochówkę.

Poza tym w stolicy Francji można znaleźć knajpy z potrawami pochodzącymi z mało znanych i mało popularnych krain. Kilka lat temu

z przyjaciółmi wybraliśmy się na kolację w okolice Panteonu w piątej dzielnicy. Kolega zarezerwował stolik w restauracji... tybetańskiej. Było to dla mnie jedno z ciekawszych doświadczeń kulinarnych. Po smacznym posiłku zjedzonym w spokojnej atmosferze kelner podał nam herbatę z mlekiem. Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy okazało się, że jest... słona. Również w Paryżu po raz pierwszy spróbowałam fioletowych ziemniaków – jako dodatku do jednego z dań w restauracji peruwiańskiej. W Paryżu można odbyć prawdziwą podróż dookoła świata, nie ruszając się z miasta.

Paryskie małe co nieco

Paryż może się pochwalić długą listą restauracji, które są ciekawe nie ze względu na menu, ale oryginalny wystrój i atmosferę. Jedną z takich niesamowitych paryskich knajpek jest Dans le Noir, W Ciemności, na 51 rue Quincampoix w czwartej dzielnicy. Ten nietypowy lokal prowadzą i obsługują osoby niewidome. Goście jedzą kolację w pomieszczeniu, gdzie panują egipskie ciemności. Podczas pobytu w tej restauracji zarówno moi znajomi, jak i ja mieliśmy wrażenie, że zupełnie tracimy kontrolę nad sytuacją i nie mamy wpływu na to, co dzieje się dookoła. Zwykle nalanie wody do szklanki lub pokrojenie mięsa na talerzu stało się ogromnym wyzwaniem. O ile stosunkowo łatwo było trafić widelcem do ust, o tyle nałożenie na niego jedzenia okazywało się skomplikowane. Na szczęście kelnerzy udzielili nam kilku porad, abyśmy mogli zjeść posiłek i nie musieli oddawać potem ubrań do pralni. Przez jeden wieczór w życiu poczułam się jak osoba niewidząca... Było to niezwykle, ale bardzo trudne doświadczenie.

Innym wyjątkowym miejscem jest restauracja Cristal Room Baccarat zaprojektowana przez Philippe'a Starcka. Znajdziecie tam wspaniałe majestatyczne wnętrza i najpiękniej nakryte stoły, jakie można sobie wyobrazić. Dania serwuje się na porcelanie i w kryształach przypominających prawdziwe dzieła sztuki. Ogromne kryształowe żyrandole i lampy tworzą iście królewską dekorację wnętrza. Liczba srebrnych sztućców obok talerza sprawia, że mimowolnie szuka się

instrukcji obsługi. Wyszukane potrawy przygotowuje tu światowej sławy szef kuchni – Guy Martin.

Kilka lat temu mój kochany mąż postanowił zrobić mi niespodziankę z okazji rocznicy ślubu. Zarezerwował stolik na romantyczną kolację we dwoje właśnie w Cristal Room Baccarat. Zająłem swoje miejsce i stwierdziłem, że boję się ruszyć, żeby czegoś nie potłuc. Oczywiście, ledwo nalano mi szampana, natychmiast przewróciłem kryształowy kielich z bakaratu, który kosztował pewnie połowę mojej pensji. Wylądował na podłodze... i cudem się nie potłukł. Kelner przyniósł mi czysty kieliszek i ponownie nalał szampana. Wstyd to jedno, ale ta lampka trunku za trzydzieści euro rozlana na podłodze... ach, szkoda słów. Następnie zaczęła się prezentacja potraw. Kelnerzy przynieśli nam pierwsze danie z wybranego przez nas menu degustacyjnego. Muszę wspomnieć, że dostałem kartę bez cen... Kelnerzy postawili przed nami wielkie talerze przykryte jeszcze większymi srebrnymi kloszami i jednocześnie je podnieśli. Naszym oczom ukazała się... jedna krewetka polana jakimś żółtym sosem... Na krewetce elegancko ułożono dwa źdźbła szczypiorku, a całość posypano bladą różową solą himalajską. Prawie się zakrztusiłem ze śmiechu na ten widok.

Cztery potrawy, dwa kawałki sera i deser później wyszliśmy z restauracji. Lampka szampana i pół butelki wina wypite na prawie pusty żołądek sprawiły, że wirowało mi w głowie, a w brzuchu burczało z głodu. Wsiadliśmy do samochodu i o dwudziestej trzeciej pojechaliśmy do restauracji znajdującej się w pobliżu naszego domu, gdzie zamówiliśmy dwa steki i domowej roboty frytki.

Salatka z krewetek

(bardziej sycąca niż w restauracji)

500 g dużych krewetek

1 dojrzałe mango

1 dojrzałe awokado

1 grejpfrut

1 granat

szczypiorek

sok z cytryny

sól i pieprz

Do miski włożyć całe obrane krewetki (kilka zostawić do dekoracji), dodać pokrojone mango i awokado. Grejpfruta obrać i pokroić na małe kawałki, pozostawiając sam miąższ, bez skórki. Wrzucić go do krewetek i pozostałych owoców. Na koniec wsypać nasiona wyjęte z owocu granatu. Wymieszać, doprawić solą i pieprzem oraz drobno posiekanym szczypiorkiem (kilka źdźbeł zostawić do dekoracji). Przełożyć do pucharków, na wierzchu każdej porcji położyć krewetkę i źdźbło szczypiorku. Sałatkę podawać mocno schłodzoną.

Paryskie talerze

Francuzi, a już na pewno paryżanie, mają zupełnie inny styl odżywiania się niż Polacy. Uważam, że jedzą dużo lżej oraz spożywają zdecydowanie mniejsze porcje. Poza tym posiłki zawsze podaje się o tych samych porach.

Festiwal różnic zaczyna się już przy śniadaniu. Podczas gdy przeciętny Polak zjada kanapkę z szynką i serem oraz jajecznicę na boczku, Francuz zadowoli się... No właśnie, co jedzą paryżanie? Zajrzyjmy im do talerza.

Pierwszy posiłek to *le petit déjeuner*, czyli „mały obiadek” zwany potocznie śniadaniem. Paryżanie zawsze jedzą śniadania na słodko. W ich skład wchodzi *viennoiseries*, czyli smakowite ciastka typu *croissant* lub *pain au chocolat* – słodka bułeczka z ciasta francuskiego z czekoladowym nadzieniem. Mniej popularne poza granicami kraju, ale bardzo cenione we Francji są bułeczki maślane (*brioche*) lub bułeczki z rodzynkami (*pain aux raisins*). Paryżanie nie pogardzą również kawałkiem świeżej, chrupiącej bagietki z masłem i konfiturą nazywanej potocznie *la tartine*.

Większość mieszkańców Francji rano pije kawę z mlekiem (*café au lait*) lub *ricoré* – popularny napój kawowy podawany na ciepło, w skład którego wchodzi cykoria. Moi przyjaciele śmieją się ze mnie, że bez względu na porę dnia zawsze wybieram kawę z mlekiem, co wywołuje spore zdziwienie. Paryżanie *café au lait* piją tylko do śniadania, w ciągu dnia wolą *espresso* – małe, czarne i mocne. Gdy

jestem w kawiarni po południu i zamawiam kawę z mlekiem, kelnerzy bardzo często dla żartu pytają, czy chcę również *la tartine*.

Paryski rogalik o węgierskich korzeniach

Jednym z najbardziej znanych na świecie francuskich specjałów jest *croissant*. Paradoksalnie ten mały rogalik, który podbił serca smakoszy i łakomczuchów, nie pochodzi z Francji, ale z Węgier.

Podczas tureckiego oblężenia Budapesztu żołnierze imperium osmańskiego próbowali wykopać tunel pod murami, aby w ten sposób dostać się do miasta. Jednak węgierscy piekarze, którzy właśnie rozpoczynali pracę, zauważyli, co się dzieje, i zdążyli zaalarmować obrońców. Na znak tego nieprawdopodobnego i przypadkowego zwycięstwa piekarze postanowili zakpić z Osmanów i upiekli bułeczki w formie półksiężyca, ówczesnego znaku imperium tureckiego.

Z czasem *croissant* stał się niezwykle popularnym smakołykiem w węgierskich i austriackich salonach, skąd do Paryża przywiozła go słynąca z dobrego smaku Maria Antonina. W stolicy Francji rogalik szybko podbił serca dam dworu. Dziś *croissant* nie tylko króluje na stołach, ale stał się jednym z symboli kuchni francuskiej. A może sami spróbujecie go upiec?

Croissant au beurre

500 g mąki (najlepiej tortowej, typ 450)

20 g drożdży

60 g brązowego cukru (jest zdrowszy niż biały)

10 g soli

200 ml mleka

3 jajka (2 na ciasto + 1 na wykończenie)

200 g miękkiego masła o temperaturze pokojowej

W naczyniu wymieszać mąkę i pokruszone drożdże. Dodać cukier i sól. Dolać mleka (nie może być zimne) i wbić dwa jajka. Mleko wlewać powoli, jednocześnie mieszając, aż w cieście nie będzie grudek. Uformować kulę, przykryć czystą ściereczką i odłożyć na godzinę. Gdy ciasto zwiększy objętość, przelożyć je do lodówki na kolejne 30 minut.

Po wyjęciu z lodówki rozwałkować na stolnicy posypanej mąką tak,

aby uzyskać kształt kwadratu. Następnie ułożyć cienkie plasterki masła. Założyć cztery rogi do środka, przykrywając masło – ciasto powinno wyglądać jak koperta. Rozwałkować je na kształt prostokąta. Złożyć na trzy części, zakładając boczne rogi do środka i nakładając jedną na drugą tak, aby ponownie uzyskać formę prostokąta. Rozwałkować ciasto i znów je złożyć. Wałkowanie i składanie powtórzyć jeszcze dwa, trzy razy. Następnie złożyć jeszcze raz na pół i odstawić na kolejne 30 minut do lodówki.

Po wyjęciu ciasta cieniutko je rozwałkować, aby otrzymać prostokąt o wymiarach 40 cm na 50 cm. Przekroić go na dwie części, aby uzyskać dwa pasy o szerokości około 20 cm i długości 50 cm. Pociąć ciasto na trójkąty przypominające kawałki pizzy. Następnie każdy trójkąt zwinąć w rulonik, zaczynając od szerokiej podstawy, tak aby szpic trójkąta znalazł się na wierzchu bułeczki, i uformować rogalik. Rogaliki ułożyć na blasze wyłożonej papierem do pieczenia i odstawić na godzinę, aby urosły. Następnie posmarować je jajkiem rozmieszanym z niewielką ilością wody i piec przez 10–15 minut w piekarniku rozgrzanym do 210 stopni. Trzeba uważać, żeby rogaliki się nie przypaliły.

Croissanty świetnie smakują na słodko z konfiturą lub miodem, ale mogą być również przyrządzane w słonej wersji. Warto je serwować z szynką i serem jak kanapkę lub na ciepło zapiekane z tartym żółtym serem, boczkiem i musztardą. Smacznego!

Siedemdziesiąt centymetrów chrupiącej przyjemności

Francuzi uwielbiają pieczywo i jedzą je niemal podczas każdego posiłku. Przez wiele stuleci Paryż był jednym z miast, w których nigdy nie brakowało mąki na wypieki, a królewscy piekarze dostali pozwolenie na kulinarne eksperymenty. Ciemne razowe pieczywo bez dodatku soli, wyjątkowo drogiej w dawnych czasach, stanowiło ważny element jadłospisu ówczesnej ludności. W Paryżu, gdzie zapotrzebowanie na wypieki było ogromne, piekarnie wrosły w krajobraz miasta. Dawniej, gdy chleby były okrągłe, piekarze ugniatali ciasto chlebowe i formowali z niego kule – *boules*. Pochodzi od nich nazwa ich fachu: *boulangier*. Jasne chleby zaczęto wypiekać dopiero za czasów Ludwika XIV, gdyż

władca – jak sam mówił – miał delikatne podniebienie i wytworne kubki smakowe. Ciemne pieczywo mu nie służyło i z czasem przestało również smakować szlachcie i dworzanom.

Na powstanie uwielbianej dziś przez wszystkich bagietki trzeba było poczekać jeszcze kilka wieków. Mimo że liczy sobie zaledwie sto lat, jest nierozłącznie związana z Francją. To bez wątpienia najpopularniejszy rodzaj pieczywa nad Sekwaną. Długa na siedemdziesiąt centymetrów bułka z chrupiącą skórką i delikatnym, puszystym miąższem zawładnęła sercami Francuzów. Każdego dnia sprzedaje się prawie dziesięć milionów sztuk tego popularnego pieczywa. Od kilku lat organizuje się nawet konkurs, podczas którego specjalne jury wybiera najlepszą bagietkę w kraju, która następnie trafia na prezydencki stół.

Bułeczki, bagietkę lub chleb podaje się nie tylko z zupami, serami i sałatkami. Francuzi kochają czyścić swoje talerze kawałkami pieczywa. Aby nie wyglądało to nieelegancko, chleb lub bagietkę nadziewa się na widelec. Takie zachowanie świadczy o tym, że dana osoba jest dobrze wychowana.

Polakom, którzy nie mieli jeszcze okazji odwiedzić Francji, bagietka kojarzy się z dmuchanym pieczywem zapakowanym w celofanową torebkę i sprzedawanym w pobliskim supermarkecie. Aby poznać smak i zapach prawdziwych francuskich bułek i chleba, choć raz musicie się wybrać do paryskiej *boulangerie*, piekarni. Czasami trzeba odstać swoje w niekończącej się kolejce, aby kupić te smakołyki. Wyzwaniem dla wychodzących z piekarni z jeszcze ciepłą i pięknie pachnącą bagietką jest oparcie się pokusie ugryzienia jej chrupiącej końcówki, czyli *croûton*. Nikt nie potrafi się powstrzymać.

Jeśli macie ochotę na skosztowanie wypieków jednej z najlepszych *boulangerie* w Paryżu, koniecznie musicie się udać do Le Grenier à Pain na 38 rue des Abesses w osiemnastej dzielnicy, w pobliżu Sacré Coeur. Ta piekarnia od prawie dwudziestu lat zdobywa wszelkie możliwe nagrody za wypiek chleba i bagietek. Ponieważ całkiem niedaleko znajdowało się jedno z moich paryskich mieszkań, miałam okazję i ogromną przyjemność stać w długim ogonku pod tym sklepikiem. Jednak zawsze było warto – połowa bagietki zniknęła, zanim jeszcze

dotarłam do domu.

Jeśli macie ochotę na świeżutką, pachnącą i chrupiącą bagietkę, proponuję zakasać rękawy i już zacząć wyrabiać ciasto!

Bagietka *La Parisienne*

300 ml wody

2 łyżeczki grubo mielonej soli

500 g mąki (typ 550 lub 650)

25 g drożdży

W 4 łyżkach letniej przegotowanej wody rozpuścić drożdże. Dokładnie wymieszać sól i mąkę. Do mąki wlać rozpuszczone drożdże, a następnie resztę wody, cały czas powoli mieszając, aż powstanie kula ciasta. Następnie zwiększyć moc robota i mieszać przez 2–3 minuty. Przykryte ciasto odstawić na minimum 1½ godziny.

Następnie wyrabiać ciasto ręcznie przez 10 minut, ugniatając je tak jak ciasto na pierogi. Uformować trzy bagietki, przełożyć je do specjalnej blaszki, przykryć ściereczką i odstawić na 45 minut, żeby urosły.

Rozgrzać piekarnik do 250 stopni, ustawić opcję pieczenia z góry i z dołu. Wierzch bagietki delikatnie posmarować wodą, posypać mąką i nożem zrobić na nim charakterystyczne nacięcia. Wstawić ciasto do piekarnika. Na jego dnie postawić naczynie żaroodporne wypełnione wodą, dzięki czemu skórka będzie chrupiąca. Piec 25–35 minut. A później degustować!

Lunch time

Po śniadaniu nadchodzi bardzo lubiana przez paryżan pora obiadowa. Lunch rozpoczynający się już o dwunastej może trwać nawet do piętnastej, gdyż Francuzi uwielbiają celebrować posiłki. Jednak zwykle w tygodniu paryżanie nie mają zbyt wiele wolnego czasu, dlatego typowa przerwa na lunch zajmuje im około godziny – to i tak dłużej niż w innych państwach. Począwszy od dwunastej, wszystkie bary, restauracje i tym podobne lokale gastronomiczne oblegają turyści pragnący zaspokoić głód. Należy pamiętać, że pory posiłków są ściśle przestrzegane, więc jeśli pojawicie się w lokalu po czternastej, kelner

przegoni was z obrażoną miną lub – tak jak mnie kilkanaście lat temu – wyśle na obiad do McDonalda.

Jeśli paryżanin ma czas i ochotę, by skorzystać z dobrodziejstw gastronomicznych swojego miasta, zwykle decyduje się na odwiedzenie restauracji. Może to być knajpa oferująca na przykład *cuisine de terroir*, kuchnię regionalną, lokal z kuchnią tradycyjną, włoską lub orientálną albo *finger food*¹⁾ w modnych lokalach. Do wyboru, do koloru. W Paryżu każdy na pewno znajdzie coś odpowiadającego jego kubkom smakowym i zasobności portfela. Wybierając się na obiad do restauracji, trzeba jednak spełnić pewien warunek: mieć dużo wolnego czasu.

1) *Finger food* (ang.) – rodzaj pożywienia jedzonego przy użyciu rąk.

Jeśli paryżanin jest bardzo zajęty, to chętnie pójdzie do bistro. Serwuje się tam klasyczne potrawy w dość przystępnych cenach, ale nie można się spodziewać żadnych gastronomicznych szaleństw. Według jednej z teorii nazwa „bistro” wywodzi się od rosyjskiego słowa *bystro*, czyli „szybko”. Podobno podczas okupacji rosyjskiej żołnierze, którym nie wolno było pić alkoholu na służbie, wchodzili do lokalu, wołając: „Bystro, bystro”, aby nikt nie widział, że zrobili sobie przerwę na spożycie mocnych trunków. Cóż, paryżanie tak nie robią, a jedynym alkoholem, którym delektują się podczas przerwy obiadowej, jest powoli sączone czerwone wytrawne wino.

W Paryżu bardzo popularne są *brasserie*, co w dosłownym tłumaczeniu znaczy „piwiarnia”. Tego typu knajpy pojawiły się w Paryżu pod koniec dziewiętnastego wieku dzięki imigrującym do stolicy obywatelom Lotaryngii i Alzacji. Z czasem do piwa i alzackich win serwowanych w *brasserie* dołączyły pochodzące z tamtych obszarów potrawy. Jeśli podczas pobytu w stolicy Francji chcecie spróbować francuskiego bigosu, idźcie do piwiarni. *Brasserie* słyną również z tego, że serwują posiłki bez względu na porę dnia i nocy, co we Francji jest rzadkością.

Jedną z największych i najbardziej popularnych piwiarni w stolicy jest Brasserie L’Alsace przy 39 Avenue des Champs Élysées. Kilka lat temu wraz z grupą przyjaciół byliśmy stałymi bywalcami tego lokalu.

Nie wynikało to z faktu, że uwielbiamy kiszoną kapustę i kiełbaski. Pojawialiśmy się tam regularnie, ponieważ to miejsce jako jedno z nielicznych w Paryżu jest otwarte siedem dni w tygodniu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Najlepsze śniadania są serwowane o piątej rano w niedzielę, gdy schodzą się tu wszyscy imprezowicze. Jeśli macie ochotę zobaczyć francuskich celebrytów, ale i zwykłych paryżan o świcie, to Brasserie L'Alsace stanowi idealny punkt obserwacyjny.

Młodzi pracujący paryżanie nie mają czasu na celebrowanie posiłków, dlatego coraz bardziej popularne stają się *bar à pates* i *bar à salade*. To miniknajpki serwujące sałatki i makarony na wynos. Z tych barów chętnie korzystają również turyści, którzy w biegu, między wizytą w Luwrze a zwiedzaniem Dzielnicy Łacińskiej, wpadają tam po posiłek w kartonowym pudełku.

Niedawno narodził się nowy trend: młodzi mieszkańcy stolicy rezygnują z obiadu na rzecz zwykłej kanapki pośpiesznie jedzonej przed ekranem komputera.

Salatka makaronowa z łososiem

makaron typu świderki (koniecznie kolorowy)

wędzony łosoś w plastrach

surimi

ostrzy żółty ser

kapary

zielone oliwki bez pestek

sok z cytryny

oliwa z oliwek

szczypiorek

sól i pieprz

Makarony ugotować al dente, ostudzić i polać oliwą, aby się nie kleiły. Następnie dodać drobno pokrojonego łososa, surimi, ser pokrojony w kostkę, plasterki oliwek i kapary. Całość skropić sokiem z cytryny, doprawić solą i pieprzem oraz drobno posiekanym szczypiorkiem. To idealna salatka makaronowa na wynos!

Kanapka à la parisienne w wersji luksusowej

Typowy paryski sandwich to bagietka z szynką i masłem, czasem

też z korniszonem. Oto jej bardziej wykwintna wersja.

bagietka

masło

szynka lub polędwica

ser brie

orzechy włoskie

rukola

korniszony

czarne oliwki

Bagietkę przekroić i posmarować masłem, ułożyć na niej plastry szynki i sera brie, a także pokrojone w plasterki korniszony i oliwki. Posypać orzechami. Na górze położyć rukolę. Przykryć kanapkę górną częścią bagietki, zapakować w papier śniadaniowy i zabrać do pracy, aby zjeść ją przed komputerem – jak prawdziwy paryżanin.

Z targu na talerz

Weekendowy obiad rodzinny rządzi się swoimi prawami. Podczas gdy w tygodniu paryżanin posila się wynalazkami typu spaghetti w sosie cytrynowym lub daniami kuchni molekularnej, bardziej przypominającymi potrawy z filmu science fiction niż prawdziwe jedzenie, w czasie niedzielnego obiadu, na przykład u babci, skusi się na takie tradycyjne smakołyki jak *entrecôte Villette*, antrykot Villette²⁾, czy *coq au vin*, kurczak w winie.

2) Antrykot Villette – nazwa tej potrawy nawiązuje do już nieistniejącej największej w Paryżu rzeźni w La Villette.

Aby ugotować pyszny obiad ze świeżych produktów, współczesny paryżanin, podobnie jak jego matka, babka i prababka, udaje się na pobliskie ryneczki, które zdają się instytucją ponadczasową.

Paryż nie byłby światową stolicą gastronomii, gdyby nie jego wspaniałe i bogate w produkty targi. Największymi, najstarszymi i najpopularniejszymi były Les Halles, które pod koniec lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku, po ponad ośmiuset latach funkcjonowania, ku wielkiej radości mieszkańców zostały przeniesione

z samego centrum na południowe obrzeża miasta. Na miejscu hal zbudowano centrum handlowe o takiej samej nazwie, przez kolejne lata straszące paryżan i turystów swoją pseudooryginalną nowoczesną architekturą. Na szczęście zrównano je z ziemią, a na jego miejscu powstaje nowy kompleks handlowy. Wszyscy z niecierpliwością czekamy na efekt końcowy.

Współcześni paryżanie często robią zakupy na Marché des Enfants Rouges w trzeciej dzielnicy. Można tu zaopatrzyć się w najlepsze francuskie towary przywożone z całego kraju. Ostrygi z Wandei, wędzone wędliny z kraju Basków, owcze sery prosto z Pirenejów to tylko niektóre ze smakołyków sprzedawanych na targu.

Jeśli jednak szukacie bardziej ekskluzywnego i zdecydowanie droższego miejsca, to Marché Raspail przy ulicy o takiej samej nazwie będzie idealny. W przeciwieństwie do innych targów jest otwarty tylko trzy razy w tygodniu. Często odwiedzałam ten rynek, gdy pracowałam w Dzielnicy Łacińskiej. Najbardziej lubiłam chodzić po sprawunki w piątek, ponieważ restauratorzy prezentują wtedy swoje dania na wynos. Zwykle zadowolona wracałam do domu z siatkami pełnymi przysmaków kuchni włoskiej, portugalskiej czy libańskiej. Byłam zdecydowanie mniej usatysfakcjonowana, kiedy podliczałam wydane pieniądze, gdyż ceny sprzedawanych tam produktów są bardzo wygórowane. W niedzielne poranki Marché Raspail zmienia się w najpopularniejszy w Paryżu targ ekologiczny. Tylko tutaj znajdziecie dawne lub rzadkie warzywa i owoce, takie jak topinambur, pasternak czy nieśplik.

Jednym z najnowocześniejszych targów w stolicy Francji jest Marché Saint-Honoré. W tej szklanej budowli okoliczni mieszkańcy zaopatrują się w świeże produkty. Uwielbiam tę okolicę, ale nie ze względu na targowisko, tylko plac, na którym się ono znajduje.

Plac Saint-Honoré słynie z rewelacyjnych restauracji, zawsze pełnych, a w niedziele wręcz przepelnionych. Paryżanie chętnie wpadają tu na brunch. Najbardziej oryginalny lokal i mój faworyt to belgijska restauracja Le Pain Quotidien, Chleb Powszedni. Nigdy nie ma tu wolnych miejsc i trzeba stać w nieziemsko długiej kolejce, aby dostać stolik. Jednak gdy to się już uda, zjecie najlepszy brunch w całym

Paryżu: słodkie bułeczki, *croissanty*, *pain au chocolat* i tartinki z konfiturami domowej roboty. Koniecznie spróbujcie konfitury z kasztanów oraz konfitury mlecznej. W menu znajdziecie wielkie porcje pysznych sałatek, jajka smażone i gotowane, bekon, szynkę i tysiące innych przysmaków. Wystrój restauracji zaskakuje, gdyż w środku zamiast małych stolików stoją szerokie drewniane ławy przeznaczone do wspólnego ucztowania. Podczas jednej z wizyt natknęłam się tam na znanego francuskiego prezentera telewizyjnego, innym razem na paryską celebrytkę i finalistkę jednego z popularnych konkursów muzycznych. Le Pain Quotidien oczarował również Amerykanów, którzy zapragnęli przenieść do swojego kraju tę restaurację ze zdrową żywnością. Filia w Hollywood przyciąga tłumy gwiazd i celebrytów.

Zupa cebulowa z Les Halles

500 g cebuli

1 l bulionu z kurczaka

30 g mąki

starty ostry ser

masło

malutkie grzanki

sól i pieprz

Cebulę pokrojoną w plasterki podsmażyć na maśle w garnku aż do uzyskania złocistego koloru. Dosypać mąkę i zamieszać. Wlać wcześniej przygotowany bulion z kurczaka. Gotować 10–15 minut. Na dnie żaroodpornych talerzy położyć grzanki i posypać je startym serem, a potem zalać zupą. Ułożyć kolejną warstwę grzanek i sera, a następnie ponownie zalać zupą. Każdą porcję oprószyć serem i wstawić talerze do piekarnika rozgrzanego do 180 stopni. Zapiekać, aż ser się rozpuści i nabierze złoto-brązowego koloru.

Coq au vin à la parisienne

1 pokrojony na kawałki kogut (około 3-kilogramowy)

1 butelka czerwonego, koniecznie wytrawnego wina

260 g boczku

250 g pieczarek

1 cebula

2 duże marchewki

2 ząbki czosnku
½ l bulionu wołowego
50 ml koniaku
1 łyżka mąki
oliwa
sól i pieprz
ziele angielskie, pieprz w ziarnach, kolendra, liście laurowe,
gałązki tymianku i rozmarynu

Dzień przed planowanym posiłkiem zamarynować koguta (minimum 12 godzin przed gotowaniem). Z posiekanej cebuli, czosnku, pokrojonej w plasterki marchewki, wszystkich ziół i butelki wina przygotować marynatę. Włożyć do niej koguta i odstawić na całą noc do lodówki.

Następnego dnia wyciągnąć koguta z marynaty i odsączyć. W rondelku rozgrzać oliwę i podsmażyć mięso, aż się zezłoci. Wyjąć koguta z patelni i podsmażać na niej warzywa z marynaty przez około 5 minut, a następnie wsypać mąkę. Dobrze wymieszać. Koguta włożyć do dużego metalowego garnka i zalać wcześniej podgrzany koniak. Dodać warzywa z marynaty i zalać bulionem. Doprawić solą i pieprzem. Doprowadzić do wrzenia, a następnie przykryć pokrywką i zmniejszyć temperaturę gotowania. Dusić na wolnym ogniu przez około 2½ godziny.

W tym czasie podsmażyć pocięte pieczarki i pokrojony boczek. Wrzucić je do garnka z coq au vin na 15 minut przed podaniem. Doprawić do smaku ziołami, na przykład prowansalskimi. Jako dodatek można serwować zapiekane ziemniaki.

Podwieczorek nie tylko dla dzieciaków

Paryżanie nie jadają podwieczorków, ponieważ brakuje im czasu na takie przyjemności. Mimo to w mieście znajdziemy mnóstwo kawiarni i herbaciarni kuszących popołudniowym ciastkiem.

W *salon de thé*, herbaciarni, nie tylko serwuje się słodkości. Można tu także przekąsić małą kanapkę czy tost w porze obiadowej. Najbardziej lubię herbaciarnie Mariages Frères przy 17 place de la Madeleine i 30

rue du Bourg Tibourg, które oferują ogromny wybór wyśmienitych herbat z całego świata. Mimo że podawane tam ciastka nie są wyjątkowe, to jednak warto tu wpaść na filiżankę rewelacyjnej herbaty.

Jeśli macie ochotę rozpieścić kubki smakowe, wybierzcie się do Pavillon Elysée Lenôtre przy avenue Champs Elysées. Cukiernie Lenôtre wraz z Dalloyau, Fauchon czy Ladurée zalicza się do najlepszych w mieście, dlatego tamtejsze ceny są bardzo wygórowane. Aby spróbować wykwintnych ciasteczek według przepisów mistrza Lenôtre'a i nie zbankrutować, warto odwiedzić pawilon. Tylko wtajemniczeni wiedzą, że w rzeczywistości jest to szkoła gastronomiczna, gdzie przyszli cukiernicy uczą się fachu. Polecam zwłaszcza niebiańsko smaczną tartę brzoskwińową z pistacjami, wprost rozpływającą się w ustach, i oczywiście paryskie *macarons*, makaroniki, z których zasłynął Lenôtre.

Mimo że paryżanom brakuje czasu na celebrowanie podwieczorków, są wielkimi łakomczuchami. Francja nie byłaby rajem gastronomicznym, a Paryż stolicą kulinarnych przyjemności, gdyby nie tutejsze desery. Francuzi wynieśli sztukę cukierniczą na wyżyny, czyniąc z cukierników gwiazdy, które mają własne programy telewizyjne. Już w połowie szesnastego wieku Francuzi uznali, że *pâtissier*, cukiernik, to osobny zawód, którego prestiż z czasem tylko wzrastał. Dziś w Paryżu organizuje się liczne konkursy na najlepszego cukiernika miasta. Mistrzowie słodkiej sztuki kulinarnej prowadzą własne ekskluzywne butiki, gdzie ciastka ich produkcji prezentowane są jak drogie klejnoty. Te smakołyki mają kusić nie tylko smakiem i zapachem, ale również wyglądem, więc czasami bardziej przypominają dzieła sztuki niż zwykłe desery.

Francuskie i międzynarodowe cukiernictwo nie byłoby tym, czym jest, bez ciasta francuskiego. Ten znany, lubiany i często serwowany smakołyk został wynaleziony w Paryżu przez młodego i naiwnego kucharza, który założył się, że upiecze ciasto z tysiąca warstw. Oczywiście, przegrał zakład, ale dzięki niemu powstało tak dziś popularne *pâte feuilletée*³⁾. A oto wskazówki, jak samodzielnie je zrobić:

3) *Pâte feuilletée* (fr.) – dosłownie ciasto liściaste.

Pâte feuilletée, czyli ciasto francuskie

125 g mąki (typ 550 lub 650), najlepiej schłodzonej w lodówce

140 g twardego masła, schłodzonego w lodówce

¼ łyżeczki soli

60 ml zimnego mleka

Do miski wsypać mąkę, dodać sól i masło. Rękami lub przy pomocy widelca zagnieść ciasto. Grudki masła nie mogą być większe niż ziarna groszku. Przełożyć ciasto na stolnicę, na środku zrobić wgłębienie i powoli wlać do niego mleko. Wyrabiać ciasto, aż stanie się niemal jednolite. Uformować prostokąt i go rozwałkować. Złożyć ciasto, zakładając boki do środka na tak zwaną zakładkę, a następnie ponownie je rozwałkować. Powtórzyć składanie i wałkowanie minimum cztery razy. Następnie uformować z ciasta prostokąt wielkości talerzyka, przykryć folią spożywczą i odstawić na godzinę do lodówki.

Przed użyciem ciasto rozwałkować. Pâte feuilletée świetnie nadaje się na spody tart, zarówno słodkich, jak i słonych.

To właśnie w Paryżu powstały desery, które pokochał cały świat. Po malutkie *macarons* z cukierni Ladurée w kolejce ustawiają się tłumy na czele z Carrie Bradshaw, bohaterką popularnego serialu *Seks w wielkim mieście*. Sławne ciastko Opéra, wymyślone przez dom cukierniczy Dalloyau w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, stworzono na cześć jednej z baletnic paryskiej opery. Z czasem w krajach azjatyckich stało się tak niezwykłym przysmakiem, że wręcza się je jako upominek przy wyjątkowych okazjach. To z Paryża pochodzą takie specjały jak *mille-feuille* (mój faworyt – ciastko z kilku warstw ciasta francuskiego przełożonych kremem lub bitą śmietaną z owocami), *paris-brest* (powstałe dla upamiętnienia rajdu rowerowego Paryż – Brest ciastko w kształcie oponki z ciasta ptysiowego przekładane kremem), *saint-honoré* (nawiązujący nazwą do jednej z paryskich ulic torcik z ciasta francuskiego i ptysiowego), *brioche parisienne* i *chouquettes* (malutkie ptysie bez nadzienia), o tartach już nawet nie wspominając. I jak tu nie być *gourmand*, łasuchem...

La brioche parisienne

500 g mąki

6 jajek
80 g brązowego cukru
1 łyżeczka soli
20 g drożdży
220 g miękkiego masła
1 łyżeczka esencji waniliowej

Wszystkie składniki oprócz masła umieścić w misie robota kuchennego – najpierw płynne, a potem sypkie. Na wolnych obrotach wyrobić gładką, jednolitą masę. Następnie wrzucić pokrojone na małe kawałki masło i nadal wyrabiać. Nawet jeśli ciasto wydaje się za rzadkie, nie należy dosypywać mąki! Po wyrobieniu przykryć ściereczką i odstawić do wyrośnięcia na 2 godziny. Uderzyć w masę pięścią i odstawić ją na całą noc.

Kolejnego dnia rozwałkować ciasto i złożyć je na cztery części. Czynność powtórzyć. Uformować brioche tak, aby pasowała do formy (prostokątnej na większą bułkę lub dużej blachy na małe okrągłe bułeczki). Odstawić blachę z ciastem na około 30 minut. Jedno jajko wymieszać z wodą i posmarować nim wierzch brioche. Piec w piekarniku rozgrzanym do 180 stopni przez około 30 minut. Wyjąć z piekarnika i ostudzić przed podaniem.

Brioche idealnie nadaje się na podwieczorek lub śniadanie. Można ją spożywać samą lub z różnymi dodatkami, na przykład z konfiturą. Jest pyszna, ale również bardzo kaloryczna!

Restauracyjne wpadki

W Paryżu znajdziecie wiele lokali z tradycyjnym jedzeniem. Jednak właściciele niektórych knajp, aby podkreślić swojskość dań, chętnie przypisują ich wykonanie (lub wymyślenie) członkom swojej rodziny. Możecie więc zjeść purée ziemniaczano-marchewkowe według przepisu babci Marii czy prowansalskie *ratatouille* stryjka Marcela. W rzeczywistości potrawy te przygotowują imigranci ze Sri Lanki lub Pakistanu. Nie dajcie się nabrać.

Atmosferę paryskich restauracji tworzą nie tylko wystrój i menu,

ale również kelnerzy. A ci potrafią być bardzo antypatyczni i gburowaci. Mogą na was nakrzyczeć, ponieważ bez ich zgody usiedliście przy stoliku. Zdarza się, że nie przyjmują zamówień, bo nie chcą lub nie potrafią zrozumieć prośby w języku angielskim. Mogą również odmówić przyjęcia karty płatniczej, tłumacząc się, że można nią płacić dopiero od kwoty piętnastu euro, w związku z czym będziecie zmuszeni zamówić kolejną wodę mineralną w cenie złota. Są jednak i tacy kelnerzy, którzy się uśmiechną i załagodzą napięcia przy stoliku.

Na zapoznawczą kolację z dziadkami męża (wówczas jeszcze chłopaka) wybraliśmy się do eleganckiej restauracji w pobliżu wieży Eiffla. Lokal słynie ze wspaniałej kuchni francuskiej, ale również z obsługi na bardzo wysokim poziomie. Gdy rodzice i dziadkowie męża już się usadowili, przystojny młody kelner w czarnym garniturze podał nam menu. Mój francuski w tamtym okresie był bardzo słaby i ograniczał się do znajomości raptem kilku podstawowych zwrotów, takich jak *bonjour*, dzień dobry, i *merci*, dziękuję, jednak bardzo chciałam zaimponować rodzinie Martina. Dlatego gdy przyszła moja kolej na złożenie zamówienia, uśmiechnęłam się i dumnie wyrecytowałam: *Je voudrais un connard aux pommes*. Przy stole zapanowała cisza, wszystkie spojrzenia były skierowane na mnie, a dziadek Martina zachłysnął się szampanem. *Je voudrais un connard aux pommes*, powtórzyłam głośno i wyraźnie, uśmiechnięta i dumna za swojej znajomości języka. Dopiero wtedy zauważyłam oburzenie na twarzach dziadka i babci, którzy patrzyli na mnie w osłupieniu, i zorientowałam się, że chyba strzeliłam jakąś gafę. Kelner powiedział coś do gości i nagle wszyscy zaczęli się śmiać. Odetchnęłam z ulgą. Jak się później okazało, przekręciłam słowo *canard* i zamiast zamówić *canard aux pommes*, czyli kaczkę w jabłkach, poprosiłam, aby kelner podał mi *connard aux pommes*, czyli... dupka w jabłkach.

Przepis na dupka lub kaczkę w jabłkach

2 kacze udka

4 twarde i kwaskowate jabłka

2 łyżki rodzynek

4 łyżki miodu

1 szklanka wytrawnego cydru

1 szalotka
½ czerwonej cebuli
kilka ząbków czosnku
gałka muszkatołowa
oliwa z oliwek
sól i pieprz

W misce przygotować marynatę z oliwy, miodu, soli, pieprzu, gałki muszkatołowej, drobno posiekanych szalotki, czerwonej cebuli i czosnku. Włożyć do niej kacze udka i odstawić na co najmniej godzinę do lodówki. Rodzynki zalać gorącą wodą, aby zmiękły. Obrane i pokrojone w ćwiartki jabłka poddusić w rondelku, dodać osączone rodzynki i 2 łyżki miodu. Wymieszać i odstawić.

Udka z marynatą wstawić do piekarnika rozgrzanego do 200 stopni na 10 minut, potem zmniejszyć temperaturę do 180 stopni i piec mięso przez około 30 minut, podlewając je marynatą i cydrem. Następnie dodać jabłka z rodzynkami i piec wszystko przez kolejnych 10 minut. Czas pieczenia może się wydłużyć lub skrócić w zależności od rozmiarów kaczych udek.

Podawać gorące.

Kuchnia przyszłości

Paryż wyznacza trendy kulinarne. Ostatnimi czasy bardzo modna stała się kuchnia molekularna, która – moim zdaniem – ma nikły związek z gotowaniem i jedzeniem. Jej mistrzowie to bardziej iluzjoniści-chemicy postawieni przed patelnią niż kucharze. Trudno jednak zaprzeczyć, że kuchnia molekularna proponuje niesamowicie kreatywny sposób przygotowywania posiłków, a efekty mogą być zaskakujące.

Jako typowa mieszkanka Paryża musiałam zapoznać się z tym sposobem przyrządzania jedzenia i któregoś wieczoru wybrałam się z przyjaciółmi do restauracji specjalizującej się w tego typu kuchni. Karta dań prezentowała się całkiem zwyczajnie i była wyjątkowo przejrzysta. Po krótkim zastanowieniu każdy z nas złożył zamówienie. Gdy podano mi główne danie, nie do końca byłam pewna, czy kelner nie

pomylił talerzy. Prosiłam o muszle Świętego Jakuba z groszkiem i marchewką. Spodziewałam się okrągławych małży w muszelkach z dodatkiem warzyw, a otrzymałam prawdziwe dzieło sztuki, którego nie śmiałam skosztować. Przejrzysta, delikatna muszla o jasnopomarańczowej barwie była zrobiona z marchewki i wyglądała jak barwny kryształ. Pod nią znajdowały się zielone wiórki, które okazały się groszkiem, i biały sorbet wyglądający jak lody, a w rzeczywistości będący małżami. Wygląd potrawy bardzo mnie zaskoczył. A potem na deser dostałam mango w sosie kokosowym przypominające jajko sadzone. Moje kubki smakowe nie popadły w ekstazę, jednak warto było spędzić wieczór w molekularnej restauracji choćby ze względów estetycznych. Dzięki temu teraz mogę się wypowiadać na temat tej przedziwnej kuchni.

Jedzenie na czterech kołach

Chyba nikomu nie muszę wyjaśniać, czym są przewodniki gastronomiczne Michelina, które stały się Biblią, Torą i Koranem wszystkich smakoszy na świecie. Przypomnę tylko, że producent opon, wydając swój przewodnik po barach i restauracjach, chciał pomóc swoim rodakom w łatwym znalezieniu dobrego lokalu w czasach, gdy o GPS-ie i iPhone'ach można było tylko pomarzyć. Nie przypuszczał jednak, że jego książka osiągnie tak wielki sukces. Przewodnik Michelina z biuletynu o przydrożnych barach zmienił się w wyznacznik standardów kulinarnych.

Dzisiejsi paryżanie wciąż mają słabość do małych barów. To właśnie na tym bazuje oryginalna koncepcja objazdowej restauracji z daniami na wynos, nazywanej *le camion gastronomique*, czyli gastronomiczną ciężarówką. To niewielkie furgonetki, które codziennie rozwożą żywność po różnych rejonach miasta. Plany ich przejazdu są dostępne na stronach internetowych poszczególnych firm.

Le camion gastronomique w większości oferują smaczne i zdrowe jedzenie. Mimo że wymyślili je Amerykanie, to świetnie sprawdzają się w tutejszych realiach. Gdy przez kilka lat pracowałam dla znanej firmy odzieżowej, miałam okazję korzystać z tego rodzaju furgonetki, która raz

w tygodniu przyjeżdżała pod nasz biurowiec. Ekologiczne burgery, prawdziwe włoskie pizze w kawałkach, chrupiące *panini*, kanapki, z mozarellą *di buffala*, pożywne, ale niskokaloryczne zupki to kilka przykładów z ciężarówkowego menu, którymi zachwyca się każdy paryżanin. Jediną wadą *camion gastronomique* są ceny. To, że sprzedaje się jedzenie z okna starego autobusu, nie oznacza, że kosztuje tyle co jednorazowy bilet. Niestety, zdrowe i modne posiłki mają wygórowane ceny.

Noc w Paryżu

Nie samym jedzeniem paryżanin żyje. Oprócz wspaniałych restauracji w stolicy można odwiedzić mnóstwo zdecydowanie bardziej rozrywkowych lokali. Bary, puby i kluby nocne, gdzie o muzykę dbają znani DJ-e, przyciągają imprezowiczów z całej Europy.

Paryskie dyskoteki cieszą się wieloma przywilejami, przykładowo mogą wybierać swoich klientów. W każdej z nich oprócz licznego grona ochroniarzy pracuje człowiek odpowiedzialny za selekcję gości. Mężczyznę, od którego zależy, czy wasz weekend będzie udany, nazywa się fizjonomistą. To on decyduje, kto zostanie wpuszczony do danej dyskoteki i zostawi w niej mnóstwo pieniędzy. Im lepszy klub, tym bardziej rygorystyczna selekcja. Wy tłumaczę wam, jak to działa. Aby lokal zarabiał pieniądze, klienci muszą je wydawać, a żeby chcieli je wydawać, to muszą mieć i chęć, i okazję. Dlatego wiele dyskotek przychylnie patrzy na grupki młodych dziewczyn chcących zaszaleć, gdyż lokal słynący z atrakcyjnych kobiet przyciąga wielu mężczyzn. A wśród nich zawsze znajdują się faceci pragnący postawić pięknej kobiecie kieliszek szampana za trzydzieści euro. Wiele dyskotek zawiera niepisane umowy z agencjami modelek, oferując dziewczynom całonocną zabawę. Ich obecność zachęca klientów do odwiedzenia lokalu.

Królowa w królewskim lokalu

Po raz pierwszy na całonocną imprezę wybrałam się właśnie do

klubu w Paryżu. Miałam wtedy szesnaście lat i wraz z koleżankami z agencji modelek postanowiłyśmy pójść na dyskotekę. Dziewczyny, które już wcześniej odwiedziły miasto, zdecydowanie lepiej wiedziały, które lokale są na czasie. Poszłyśmy więc na avenue des Champs Élysées do bardzo popularnej dyskoteki Queen. Przed klubem stała długa kolejka oczekujących na wejście. Był środek lata i bardzo upalna noc, dlatego mężczyźni w lekkim negliżu zbytnio mnie nie zdziwili. Moją uwagę zwróciło jednak to, że w tej wesołej gromadzie nie zauważyłam zbyt wielu kobiet.

Gdy weszłam do środka, nie odurzył mnie mocny zapach papierosów i potu, lecz widok dwóch młodych mężczyzn złączonych w namiętnym pocałunku. Stałam jak wryta. Po raz pierwszy wyjechałam za granicę z miasta, które w porównaniu do Paryża było prowincją, a moje doświadczenie z imprezami ograniczało się do przyjęć urodzinowych przyjaciół i balu na zakończenie szkoły podstawowej. Kulturę gejowską znałam tylko z filmów emitowanych w publicznej telewizji, a tu taka akcja. Koleżanka wzruszyła ramionami i pociągnęła mnie do głównej sali klubu.

Po chwili zobaczyłam ogromne pomieszczenie pełne tańczących ludzi, laserowe światła, dym i podium na środku dance flooru, na którym w rytm muzyki bujali się młodzi muskularni faceci bez podkoszulek. Stałam bez ruchu i nie mogłam się napatrzeć. Nagle ktoś szepnął mi do ucha grubym głosem: „Wszystko w porządku, złotko?”. Odwróciłam się i krzyknęłam z przerażenia. Zobaczyłam piękną kobietę w obcisłych szortach, jeszcze bardziej obcisłym gorsecie i w ogromnych butach na platformach, z długimi blond włosami i ostrym wieczorowym makijażem. To była najprawdziwsza *drag queen*... Jednocześnie piękna i przerażająca...

Do łóżka położyłam się dopiero wczesnym rankiem i mimo ogromnego zmęczenia nie mogłam zasnąć. Przed oczami wciąż miałam te niesamowite widoki, nadal dźwięczała mi w uszach głośna rytmiczna muzyka i ciągle czułam tę specyficzną mieszankę zapachu męskich perfum, potu i papierosów.

Queen był pierwszym klubem nocnym, w którym zobaczyłam zupełnie inną fascynującą stronę Paryża. Później wielokrotnie chodziłam

tam na imprezy w towarzystwie koleżanek, bo gdzie indziej młode, samotne dziewczyny mogą się bezpiecznie bawić, jeśli nie w dyskotecę dla gejów?

Najbardziej vipowski ze wszystkich VIP-ów

Z czasem poznałam równie fascynujące i niepowtarzalne miejsca, jak Queen: Miliarders, Cabaret, Baron, Étoiles czy Palais – najbardziej znane i modne lokale w mieście. Wejście do nich bez znajomości i układów graniczy z cudem. Jednak od dawna moim faworytem jest VIP Room, paryska dyskoteka popularna nawet poza granicami Francji. To właśnie tutaj gwiazdy kina i muzyki spędzają czas i organizują szalone imprezy w towarzystwie Jeana Rocha, właściciela lokalu, który z czasem stał się celebrytą.

VIP Room już zawsze będzie mi się kojarzyć z mnóstwem wspaniałych imprez z czasów młodości. To tutaj Mark Wahlberg podrywał moją koleżankę i żalił mi się, że ona nie chce się z nim umówić. To tutaj w toalecie dla kobiet pożyczyłam swój błyszczący Macy Gray i przytrzymałam popsute drzwi Charlotte Gainsbourg. To tutaj bawiłyśmy się z koleżankami w towarzystwie narodowej drużyny piłki nożnej i reprezentacji rugby po wygranych mistrzostwach. I to tutaj mój mąż wznosił toast z Wyclefem Jeanem, a ja siedziałam przy jednym stoliku z will.i.am'em. VIP to legendarny lokal, który odwiedza każda gwiazda będąca w Paryżu.

Na pewno moje przygody w tym klubie nie byłyby tak zwariowane, gdyby nie to, że mąż mojej przyjaciółki, również Polki, pracuje w nim jako fizjonomista.

Niedawno mój mąż, wielki fan zespołu The Police, wybrał się na ich koncert na stadion narodowy Saint-Denis. Ja i dziewczyny zostałyśmy w domu i stwierdziłyśmy, że spędzimy miły damski wieczór na plotkowaniu. Jednak po kolacji i kilku drinkach uznałyśmy, że nie będziemy siedzieć same w domu, i ruszyłyśmy na miasto. Nocną wycieczkę zakończyłyśmy właśnie w VIP-ie, gdzie kolega fizjonomista ulokował nas przy vipowskim stoliku. Po chwili okazało się, że podczas gdy nasi mężczyźni męczyci się na stadionie wśród tłumów, my

wysłuchałyśmy prywatnego koncertu w klubie, bo stolik był przeznaczony dla Stinga i jego kolegów...

Bar barowi nierówny

Paryskie bary i puby nie są czynne całą noc, ale można w nich miło spędzić czas. Niektóre z nich to bardzo oryginalne miejsca, na przykład Ice Cube w osiemnastej dzielnicy słynie z tego, że cały wystrój wykonano z lodu i trzeba uważać, aby na taborecie przy barze nie odmrozić sobie pupy. Innym interesującym lokalem jest pub Le Festin Nu, w którym zamiast tradycyjnych przekąsek do wina podaje się insekty w różnej postaci. Spotkacie tam śmietankę paryskich ekohipsterów, którzy uparcie walczą z globalizacją i zanieczyszczeniem środowiska między innymi poprzez konsumpcję świerszczy.

Wśród młodych paryżan bardzo modne stały się bary. Jednak nie są to miejsca, gdzie kilku podstarzałych i lekko niedomytych panów sączy piwo. Dzisiejsze paryskie bary stanowią kwintesencję tutejszego stylu życia. W mieście znajdziecie na przykład *bar à eau*, czyli bar, gdzie kupicie wody mineralne z niemal całego świata, *bar à tapas*, w którym podaje się pyszne przekąski w stylu hiszpańskim, *bar à huîtres*, gdzie możecie wpaść w czasie zakupów na targu, aby przy kontuarze wypić kieliszek białego wina i połknąć kilka ostryg. *Bar à ongles* to punkt kosmetyczny specjalizujący się w robieniu szybkiego manicure'u bez rezerwacji, a *bar à dents* to podejrzany gabinet, gdzie w piętnaście minut wybiela się zęby. Znam wiele innych barów, jednak moje serce całkowicie podbił szczyt absurdu: *bar à oxygène*, czyli bar tlenowy, gdzie zabiegani paryżanie zakładają na nos maski i przez kilkanaście minut wdychają świeże powietrze, zamiast pojechać na przykład nad ocean, niecałe dwie godziny drogi od miasta. Czasami poważnie się zastanawiam, czy nie otworzyć baru mlecznego, bo przecież tutaj przyjmie się chyba wszystko.

Koktajl *Parisienne Sling*

szampan

syrop z grenadyny

5 ml soku z cytryny

15 ml wina Saint-Raphaël

15 ml cointreau

15 ml syropu brzoskwiniowego

Sok z cytryny, wino Saint-Raphaël, cointreau i syrop brzoskwiniowy wymieszać w shakerze. Przebrać do kieliszków i dolać schłodzonego szampana. Na koniec wlać kilka kropel syropu z grenadyny.

Zamieńmy się

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam o klubie dla swingersów, pomyślałam, że mowa o dyskotecie, gdzie tańczy się rock and rolla i swinga. Gdy dowiedziałam się, jakie naprawdę jest przeznaczenie tych lokali, byłam bardzo zdziwiona.

Paryskie *clubs échangistes* to w większości ekskluzywne lokale na wysokim poziomie, a ich goście należą do śmietanki towarzyskiej. Wśród nich znajdują się aktorzy, piosenkarze, prezenterzy telewizyjni, a nawet politycy, co nikogo nie dziwi i nikt nie ma im za złe bywania w takich miejscach. Międzynarodową renomą cieszy się klub Les Chandelles znajdujący się w centrum miasta, w pobliżu Luwru. To właśnie tutaj bawią się najbardziej znani paryscy libertyni. Aby dostać się do Les Chandelles, trzeba zostać tam zaproszonym przez stałego bywalca lokalu.

Paryżanie doskonale wiedzą o istnieniu tego typu miejsc i nie wydają się tym zgorzeleni czy zbulwersowani. Któregoś wieczoru kilka lat temu, podczas kolacji w gronie przyjaciół, wyszłam na papierosa w towarzystwie koleżanki. Zobaczyłam, że kilka metrów dalej po przeciwnej stronie ulicy pod wielkimi zamkniętymi drzwiami stoi grupa ludzi, a wśród nich bardzo popularna piosenkarka. Wskazałam ją dyskretnie koleżance, zastanawiając się głośno, co ona tam robi. Koleżanka uśmiechnęła się, mówiąc, że artystka pewnie czeka na wejście do Les Chandelles. Na moje pytanie, czy to jakaś fajna dyskoteka, wybuchnęła śmiechem. „Paulina, chyba żartujesz. Naprawdę nie wiesz, co to Chandelles? Przecież to najbardziej znany klub swingersów w mieście”, wyjaśniła. I bez najmniejszego zażenowania, za

to z szelmowskim uśmiechem dodała: „Widocznie idzie się zabawić w sobotni wieczór”.

Następnego dnia w Internecie wyszukałam stronę tego wyjątkowego lokalu. Dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy na jego temat, między innymi tego, że w niedzielne popołudnia o piętnastej właściciele organizują tam brunch, podczas którego serwuje się wędzonego łososa, kanapeczki i smażone jajka. Szczeka mi opadła ze zdziwienia. No cóż, typowi Francuzi, nawet w takich miejscach myślą o jedzeniu. Po smacznym obiadku w klubie swingersów zamiast deseru idą schrupać... czyjąś żonę.



Paryskie sekrety

Wieża Eiffla, Łuk Triumfalny, katedra Notre Dame, Luwr lub Champs Élysées to miejsca, które odwiedzają wszyscy turyści przyjeżdżający do stolicy Francji. Jednak prawdziwy paryżanin na wieżę Eiffla wjechał raz w życiu lub... wcale! Nie oszukujmy się, mieszkając w stolicy, po pewnym czasie zaczynamy obojętnie przechodzić obok najwspanialszych dzieł architektury i sztuki. To przede wszystkim efekt ciągłego zabiegania. Gdy nadchodzi weekend, paryżanin, jak każdy, chce się rozerwać i zapomnieć o codzienności. Idzie do kina, teatru, na wystawę, spaceruje po mieście. Latem urządzi sobie piknik na trawie, a zimą pojeździ na łyżwach. Ale jeśli myślicie, że spotkacie go przed obrazem impresjonisty w Muzeum Orsay, to jesteście w błędzie. Prawdziwy paryżanin uda się na niebanalną wystawę czasową, zajrzy do niekonwencjonalnego kina, obejrzy nowatorską sztukę teatralną. Jeśli zdecyduje się na popołudniową wędrowkę po trotuarach miasta, na pewno nie wybierze miejsc zwykle odwiedzanych przez turystów. Mieszkaniec stolicy ma swoje ulubione sekretne zakątki, o których istnieniu turyści nawet nie wiedzą. Uchylę rąbka tajemnicy i opowiem wam o nieznanym atrakcjach Paryża.

Dziesiąta muza, czyli francuskie septième art

Francuskie kino od wielu lat cieszy się popularnością poza granicami kraju. Jest oglądane, podziwiane i krytykowane. W Paryżu działa obecnie około czterystu sal kinowych, a paryżanie uwielbiają chodzić na wieczorne czy weekendowe seanse. Może to czar rzucony przez braci Lumière, którzy właśnie w Paryżu, przy boulevard des Capucines, zorganizowali swój pierwszy filmowy pokaz? Może tęsknota za świetnymi latami kina paryskiego, kiedy w mieście funkcjonowało ponad dwa razy tyle przybytków dziesiątej muzy? A może po prostu zwykła chęć oderwania się od rzeczywistości i przeniesienia w filmowy świat fantazji? Niezależnie od powodu efektem miłości do filmów oglądanych na dużym ekranie są świetnie prosperujące sale kinowe, wśród których znajdziemy prawdziwe perełki.

Gdy pierwszy raz poszłam do kina La Pagode znajdującego się w siódmej dzielnicy, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Od wielu osób słyszałam, że jest to niezwykle miejsce, wyglądem przypominające, jak sama nazwa wskazuje, japońską pagodę. Odwiedzicie tu także wspaniały ogród, w którym można spokojnie poczekać na seans. Zachwyca was ściany i sufit magicznej sali kinowej zdobionej orientальnymi wzorami. Siedząc przy stoliku w ogrodzie, chwilami miałam wrażenie, że opuściłam Paryż i znalazłam się w Tokio, Osace czy Kobe.

Jak się później dowiedziałam, La Pagode może się pochwalić ciekawą historią. W 1895 roku ówczesny dyrektor ekskluzywnego domu handlowego Le Bon Marché François-Émile Morin postanowił podarować swojej żonie zafascynowanej japońską kulturą i sztuką wyjątkowy upominek. Morin kupił działkę w centrum miasta i zatrudnił architekta Alexandre'a Marcela, by zbudował świątynię wzorowaną na siedemnastowiecznym japońskim zabytku: sanktuarium Toshogu de Nikko. Mimo wysiłków męża pani Morin odeszła od niego kilka miesięcy po otrzymaniu подарunku. Zostawiła małżonka dla młodego mężczyzny poznanego podczas przyjęcia wydanego właśnie w pagodzie... Morin sprzedał budynek, który powoli popadał w ruinę. Dopiero na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku powstało tu pierwsze kino znajdujące się w siódmej dzielnicy. Oryginalny gmach natychmiast podbił serca paryskich intelektualistów. Wyświetlano niezależne produkcje. W latach sześćdziesiątych było to ulubione miejsce sympatyków Nowej Fali, pokazywano tu filmy tak ważnych dla tego nurtu twórców jak François Truffaut czy Eric Rohmer. W 1990 roku zarówno budynek, jak i jego wspaniały ogród wpisano do rejestru zabytków.

Dziś w kinie Pagoda nadal wyświetla się filmy niezależne, jednak ze względów finansowych poszerzono repertuar o bardziej komercyjne obrazy, na przykład filmy Tima Burtona, a nawet bajki Disneya. Organizuje się tu także różne imprezy związane z filmem. Pagodę warto odwiedzić nie tyle dla filmów, co ze względu na jej unikatową architekturę i niepowtarzalną atmosferę.

Kolejny obiekt, Le Grand Rex, zwany przez paryżan Reksem, to

więcej niż kino – to prawdziwa instytucja. Odbywają się tu najważniejsze imprezy kinematograficzne we Francji. To miejsce od zawsze zaskakiwało swoją postępowością i nowymi pomysłami. W 1957 roku Gary Cooper i Mylène Demongeot przecięli tu wstęgę na pierwszych ruchomych schodach w kraju. Kino Rex jako jedyne w całej Europie mogło się pochwalić tak nowoczesnym rozwiązaniem. W 1963 roku Alfred Hitchcock właśnie tutaj po raz pierwszy na Starym Kontynencie pokazał jeden ze swoich najgłośniejszych filmów: *Ptaki*. W 1988 roku Rex zaskoczył wszystkich największym w kraju i Europie ekranem kinowym, rewolucjonizując jednocześnie rynek filmowy – filmy na trzystu metrach kwadratowych ekranu zapierały dech w piersiach ówczesnym widzom. Na pokaz premierowy wybrano obraz należący do klasyki francuskiej: *Wielki błękit* w reżyserii Luca Bessona. Przez trzy lata salę kinową zapełniali chętni na podziwianie podwodnych krajobrazów będących jednym z głównych atutów tego filmu.

Le Grand Rex, czyli Wielki Rex, jak sama nazwa wskazuje, od zawsze miał ambicje, by stać się największym i najważniejszym kinem w kraju nad Sekwaną. Na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku Jacques Haïk, magnat filmowy zajmujący się produkcją i dystrybucją, postanowił spełnić swoje największe marzenie. Chciał stworzyć ogromny kompleks kinowy. Miał on pomieścić prawie pięć tysięcy widzów, zajmować obszar dwóch tysięcy metrów kwadratowych i szczyścić się salą wysoką na trzydzieści metrów zwieńczoną wspaniałą kopułą z motywem gwieździstego nieba. We współpracy z największymi architektami i dekoratorami Haïkowi udało się zrealizować ten wizjonerski projekt (jedynie liczba miejsc była mniejsza: kompleks mieścił trzy tysiące trzysta osób). W architekturze budynku widać wyraźną inspirację słynnym nowojorskim Radio City Music Hall. Sale Rexa, nazywane salami atmosferycznymi, zostały zaprojektowane przez najlepszych ówczesnych specjalistów od scenografii filmowej. We wnętrzach dominuje styl *art déco*, nastrój buduje gra światła i cieni oraz dobór barw. Wystrój można podziwiać na przykład podczas czterdziestominutowej wycieczki z przewodnikiem organizowanej przez kino.

Całkiem niedawno ponownie udostępniono publiczności

najbardziej spektakularny paryski budynek związany z kinematografią. Kino Louxor, bo o nim mowa, już wkrótce będzie obchodziło swoje setne urodziny, ale dzięki rewitalizacji wygląda, jak gdyby czas się dla niego zatrzymał. Na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku, gdy przemysł filmowy przeżywał rozkwit, zarówno we Francji, jak i na świecie zaczęto budować wielkie i efektowne kina zwane pałacami. Właśnie w tym okresie bogaty biznesmen Henri Silberberg postanowił zainwestować w przemysł filmowy. Wykupił więc piękny haussmannowski gmach w sercu miasta, żeby przekształcić go w ekskluzywną salę kinową. Architekt Henri Zipcy, wykorzystując panującą wówczas w Europie egiptomanie związaną z odkryciem grobowca Tutanchamona, zaprojektował kino nawiązujące do architektury i zdobnictwa starożytnego Egiptu. Za wystrój wnętrz odpowiadał dekorator Amédée Tiberti, który zamienił sale kinowe w grobowce, pałace i piramidy ozdobione barwnymi malowidłami i mozaikami. Wiele motywów dekoracyjnych zaczerpnięto ze sztuki egipskiej, między innymi skarabeusze. Jednak nic nieznaczące pseudohieroglify o wymyślnych kształtach to już wytwór wybujałej wyobraźni obu mężczyzn. Louxor jest jedynym w Paryżu obiektem tego rodzaju. Jeśli chcecie odwiedzić inne kino powstałe w tej samej epoce i utrzymane w tym samym stylu, musicie udać się aż za ocean, gdyż najbliższy taki obiekt znajduje się w Hollywood – to sławny Grauman's Egyptian Theatre. Początkowo kino Louxor wspaniale prosperowało i przynosiło spore zyski, jednak z czasem z powodu coraz większej konkurencji zaczęło podupadać. Funkcjonowało jako bar, klub nocny, a nawet dyskoteka gejowska. Jego fasada nielegalnie obklejana reklamami niszczała, a nieremontowane wnętrza traciły dawny blask. Na szczęście w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku ówczesny minister kultury, Jack Lang, postanowił wpisać kino Louxor na listę zabytków, a miłośnicy kultury i sztuki, mieszkańcy dzielnicy i organizacje ochrony zabytków uzyskali zgodę na remont budynku, którego koszty miało pokryć miasto. Po kilku latach niemal archeologicznych prac prowadzonych pod nadzorem Philippe'a Pumaina, kino Louxor znów zachwyca. Jego inauguracja odbyła się w kwietniu 2013 roku.

Obecnie placówka o dość awangardowym, czasami kontrowersyjnym repertuarze przyciąga nie tylko intelektualistów, ale również zwykłych paryżan, którzy pragną zobaczyć ten wyjątkowy obiekt. Co prawda, działalność kina Louxor to kropla w morzu, ale i ona pomaga odrodzić się wschodniej części osiemnastej dzielnicy niecieszącej się dobrą opinią wśród mieszkańców miasta. W pobliżu kina zaczęły się pojawiać sklepy ze zdrową żywnością czy hipsterskie restauracje. Paryż dał szansę Louxorowi, a jeśli go odwiedzicie, to przyznacie, że było warto.

Jaskinia skarbów

Północna część Paryża oprócz obleganych przez turystów perełek, takich jak bazylika Sacré Coeur i plac Pigalle, kryje również niezwykle miejsca, które odwiedzają głównie paryżanie. Jednym z nich jest Marché Saint-Pierre. Rynek Świętego Piotra to największy sklep w stolicy Francji specjalizujący się w sprzedaży tkanin. Nie przeczytacie o nim zbyt wiele na kartach książek o Paryżu, a jeszcze mniej informacji znajdziecie w przewodnikach turystycznych, jednak gdy zapytacie paryżanina, gdzie można kupić najlepsze jakościowo materiały, natychmiast poda wam właśnie ten adres. Znajdziecie tutaj zarówno cenne jedwabie, jak i syntetyczną lycrę, tkaniny w afrykańskie wzory, które przybyły do Paryża prosto z Czarnego Lądu, i tradycyjne lniane materiały z regionalnym haftem.

Od końca dziewiętnastego wieku popularność domów handlowych w Europie i na świecie ciągle wzrastała. W Paryżu powstał już wtedy legendarny Au Bon Marché (znany dziś pod nazwą Le Bon Marché), Aux Galeries Lafayette (dzisiejsze Les Galeries Lafayette Haussman) czy Grand Magasin du Printemps (aktualne Le Printemps). Ponieważ moda na ekskluzywne centra handlowe nadal trwała, dwóch młodych mężczyzn, kuzynów, postanowiło to wykorzystać. Przez kilka lat sprzedawali tkaniny codziennie przywożone z ich firmy w pobliskim Levallois-Perret na placu u stóp wzgórza z bazyliką Sacré Coeur. Jednak w pewnym momencie zdecydowali się na przeniesienie siedziby rodzinnego biznesu na paryski Montmartre. W ten sposób powstał

Marché Saint-Pierre. Wkrótce za ich przykładem podążyli konkurenci. Niedługo później robotnicze mieszkanca w okolicy zamieniły się w domowe szwalnie i tak w sercu Montmartre'u powstała dzielnica specjalizująca się w sprzedaży różnorodnych tkanin. Marché Saint-Pierre przetrwał do dziś.

Po raz pierwszy odwiedziłam ten sklep przed przyjęciem urodzinowym mojego męża. Kilka lat temu postanowiliśmy urządzić domówkę. Aby było zabawniej, zdecydowaliśmy się na imprezę tematyczną – motywem przewodnim były lata osiemdziesiąte. Chciałam przebrać się za Madonnę z epoki jej wielkiego hitu *Like a Virgin*. W sklepie bieliźniarskim kupiłam koronkowy gorset, znalazłam wielką kokardę do włosów, a także błyszczącą i wyjątkowo tandetną biżuterię, ale do kompletu brakowało mi tiulowej spódnicy. Po długich i bezskutecznych poszukiwaniach postanowiłam ją uszyć. Oczywiście, nie sama, ponieważ nie potrafię nawet dobrze przyszyć guzika. Chciałam zlecić to krawcowej. Do stworzenia tego stroju potrzebowałam kolorowego tiulu. I tu z pomocą przyszła mi przyjaciółka, która wysłała mnie właśnie do Marché Saint-Pierre.

Moje zaskoczenie było ogromne, gdyż ten obskurny z zewnątrz budynek okazał się prawdziwą jaskinią Ali Baby. Można tu znaleźć wszystkie możliwe tkaniny i akcesoria niezbędne do szycia. Sklep ma pięć pięter. Na parterze znajdziemy produkty po promocyjnych cenach i resztki kolekcji. Pierwsze piętro zajmuje bielizna i tekstylia. Są tu ręczniki, ściereczki, poszewki, ale również cała gama materiałów, z których sami możecie uszyć niezbędne wam rzeczy. Na drugim piętrze zgromadzono tkaniny przeznaczone do szycia ubrań. Jeśli podczas ostatniego paryskiego *fashion weeku* jakiś strój szczególnie przypadł wam do gustu, to bądźcie pewni, że w tym sklepie znajdziecie tkaninę, z której można uszyć bardzo podobną kreację. Lubię trzecie piętro, gdzie dostaniecie tkaniny służące do dekoracji mebli. Paryska klasa wyższa do tej pory obija kanapy i fotele, które często otrzymała w spadku po pradiadkach. Zamiast kupować tanie meble w sieciówkach, paryżanie wolą inwestować w lepsze, porządniejsze i z czasem zmieniać ich obicia. Czwarte piętro jest moim ulubionym, gdyż uważam je za kwintesencję paryskiego stylu i szyku. W Paryżu, ale i w innych regionach Francji nie

używa się tapet, lecz ściany „ubiera są” w piękne materiały. Na tej kondygnacji będziecie mogli podziwiać wyszukane tkaniny, często od znanych projektantów, oraz zobaczycie wyjątkowy paryski sposób ozdabiania wnętrz. Piąte piętro, królestwo zasłon i firanek, nie jest tak wyrafinowane jak poprzednie.

Mimo że Marché Saint-Pierre znajduje się w nieciekawej części osiemnastej dzielnicy i można by się spodziewać równie nieciekawych klientów, to zdecydowaną większość kupujących stanowią damy zamieszkujące lewy brzeg miasta.

Szły pchły koło drogi

Jeśli podczas waszego paryskiego spaceru udacie się daleko na północ miasta, pozostawiając w tyle bazylikę Sacré Coeur i romantyczny Montmartre, zawędrujecie na peryferie stolicy. Koniecznie zajrzyjcie tam na pobliski wspaniały targ staroci (i nie tylko) znany jako Marché aux Pucés, czyli pchli targ.

Pierwsi sprzedawcy pojawili się w tamtym rejonie już pod koniec dziewiętnastego wieku i zajęli miejsca obok obozowisk paryskich cyganów. Początkowo był to zwykły podmiejski rynek, na którym sprzedawano różnego rodzaju starocie. Jednak z czasem Marché aux Pucés zmienił charakter. Zdomowili się na nim handlarze antykami i zabytkowymi przedmiotami, którzy proponują produkty najwyższej jakości.

Dziś bazar dzieli się na kilka różnych targowisk. Jednym z bardziej malowniczych i popularnych jest Marché Dauphine, najmłodsza część targu, gdzie sprzedaje się zabytkowe meble z siedemnastego i osiemnastego wieku oraz przedmioty dekoracyjne i dzieła sztuki z dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Marché Antica, jak sama nazwa wskazuje, zachwyci was antykami, często w stylu Napoleona III czy *art déco*. Na Marché Biron znajdziecie dzieła sztuki i przedmioty użytkowe z różnych okresów, od początku siedemnastego wieku do czasów współczesnych. Jednak najpopularniejszym z tutejszych targów jest wyjątkowy Paul Bert Serpette. To niezwykle miejsce, w którym sprzedaje się właściwie wszystko: kiczowate reprodukcje obrazów

francuskich impresjonistów są tu prezentowane obok kolekcjonerskich figurek Tintina¹⁾, ręcznie zdobionych *oeufs de Fabergé* zwanych w Polsce jajami carskimi lub jajkami Fabergé, i mosiężnych lamp z dwudziestolecia międzywojennego.

1) Tintin – bohater serii komiksów belgijskiego rysownika Georges’a Remi *Przygody Tintina*; pierwszy komiks z tej serii wydrukowano w 1929 roku.

Targ oprócz kolekcjonerów coraz częściej przyciąga turystów poszukujących nietuzinkowych miejsc. Wśród kupujących można spotkać sławne osoby, takie jak Sharon Stone, Mick Jagger czy Julia Roberts. Natknęłam się tam na byłego premiera Francji Dominique’a de Villepina i aktorkę Katherine Heigl, a Martin uścisnął dłoń byłemu trenerowi francuskiej ekipy narodowej, Raymondowi Domenechowi.

Na pchlim targu spędzicie wspaniały poranek lub popołudnie, podziwiając prawdziwe dzieła sztuki wystawione obok tandetnych bibelotów. Zabytkowe klamki, stare żelazka, porcelanowe lalki czy wiklinowe koszyki mogą być ciekawą pamiątką z podróży.

Les puces, Pchły, jak potocznie paryżanie nazywają to wyjątkowe miejsce, stało się niezwykle modne, odkąd jeden z najbardziej znanych stylistów wnętrz i projektantów form użytkowych stworzył tu swój lokal. Philippe Starck, bo o nim mowa, jest właścicielem znajdującej się w sercu targowiska restauracji Ma Cocotte, Moja Kurka. Knajpa wyróżnia się nowoczesnym wystrojem zaprojektowanym przez właściciela, choć proponuje fantastyczne tradycyjne francuskie dania (z lekkimi naleciałościami amerykańskimi) idealnie pasujące do atmosfery pchlego targu. Przy ładnej pogodzie trzeba zarezerwować miejsce, gdyż taras restauracji zwykle jest oblegany.

Zielono w mieście

Podczas jednego z wiosennych spacerów po okolicy zapytałam Martina, skąd się wziął i do czego służy ten wielki rów ciągnący się przez prawie całą osiemnastą dzielnicę. Po chwili zastanowienia dodałam, że podobne widziałam również na południu i wschodzie

miasta. Mój mąż odpowiedział, że to Petite Ceinture, Mała Obwodnica, czyli dawna kolejowa obwodnica miasta. Nic więcej nie wiedział na ten temat. Wzruszyłam ramionami i stwierdziłam, że to wielka szkoda, iż tak oryginalne miejsce popadło w zapomnienie. Ta sytuacja miała miejsce kilka lat temu. Na szczęście okazało się, że nie byłam jedyną osobą w Paryżu, która tak sądziła. Całkiem niedawno Mała Obwodnica została zrewitalizowana, dzięki czemu stała się jedną z ciekawszych tras wycieczkowych miasta biegnących przez tereny zielone.

Petite Ceinture, długa na trzydzieści dwa kilometry, powstała w połowie dziewiętnastego wieku i początkowo służyła do przewozu towarów w obrębie miasta. Później wożono tędy także pasażerów. Jednak z czasem linia zaczęła przegrywać z nowoczesnym, bardziej rozbudowanym metrem. W latach trzydziestych dwudziestego wieku transport pasażerski na Małej Obwodnicy zawieszono, a kolejkę zastąpiły autobusy miejskie nazywane w skrócie PC. (Autobusy kursują do dziś, ale część linii została zlikwidowana i zastąpiona tramwajem przemieszczającym się po obwodnicy miasta).

Po wielu latach starań organizacji pozarządowych oraz przepychanek między urzędem miasta a zarządem kolei udało się zatwierdzić projekt odnowy zapomnianej trasy. Dziś można już korzystać z niewielkiego fragmentu zrewitalizowanej obwodnicy nazywanego przez mieszkańców Paryża prawdziwą ścieżką zdrowia. Na odcinku półtora kilometra można podziwiać rzadkie, a nawet zagrożone rośliny i zwierzęta. To oaza zieleni w środku metropolii. Ponad dwadzieścia gatunków ptaków wybrało sobie tę okolicę na dom. Promenadę spacerową wykonano według najnowszych standardów ekologicznych, drogę wyłożono drewnem, ustawiono tabliczki informacyjne dotyczące znajdujących się przy ścieżce okazów roślin, najdelikatniejsze z nich ogrodzono. Trasa dostosowana jest również do potrzeb najmłodszych spacerowiczów, jeszcze w wózkach, oraz osób niepełnosprawnych. Bez problemu można poruszać się po niej na rowerze. Aby zminimalizować negatywny wpływ na żyjące w tej okolicy zwierzęta, całkowicie zrezygnowano z nocnego i wieczornego oświetlenia, dlatego obiekt jest czynny tylko w ciągu dnia.

Zrewitalizowany odcinek trasy dawnej kolei obwodowej uważa się

za jedno z największych powstałych w całkowicie naturalny sposób skupisk flory i fauny w centrum miasta. Petite Ceinture to wspaniałe miejsce na rodzinny spacer czy weekendowy odpoczynek od miejskiego zgiełku.

Ponad miastem

Opowiadając o trasach widokowych, muszę koniecznie wspomnieć o najważniejszej z nich, która do dzisiaj wywołuje wiele kontrowersji zarówno wśród paryżan, jak i... nowojorczyków. Spór o to, czy pierwsza była paryska promenada La Coulée Verte, czy nowojorski High Line, trwa od wielu lat. Mimo że nadal nie został rozstrzygnięty, mieszkańcy obu metropolii muszą przyznać, że i francuska, i amerykańska trasa widokowa jest malownicza i niepowtarzalna.

W Paryżu od kilku lat widać efekty mody na odnawianie niszczących miejsc. Zielony korytarz znany jako Coulée Verte to dawna trasa kolejowa, która rozpoczęła się na placu Bastylli, a kończyła w podparyskim Vincennes. Dziś te cztery i pół kilometra wyjątkowego szlaku zachwyca mariażem dzikiej natury z architekturą wielkiego miasta. Spacerując piękną promenadą, zapomina się o stresie, zgiełku, trąbiących samochodach i zatłoczonych ulicach. Duża część trasy prowadzi ponad powierzchnią ziemi, dzięki czemu można podziwiać Paryż z dotąd nieznannej perspektywy.

Podczas wycieczki Coulée Verte przejdziecie między innymi po Wiadukcie Sztuki, gdzie można poszperać w małych butikach, i po moście Reuilly przerzuconym nad parkiem o tej samej nazwie. Warto się tam przespacerować i obejrzyć nietypową fontannę. Została umieszczona tuż przy wejściu do parku, można więc skorzystać z okazji i napić się chłodnej wody, wyjątkowej, bo... gazowanej!

W Paryżu niespodzianki czekają na każdym kroku, trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać.

Nad brzegiem rzeki Sekwany siedziałam i się śmiałam

Warte uwagi są również okolice Sekwany i kanałów. Zaczynające

się pod wieżą Eiffla, w okolicy mostu Alma, a kończące w pobliżu Luwru, przy Pont Royal, czyli Moście Królewskim, Les Berges, Brzegi, stanowią dziś jedną z bardziej popularnych tras spacerowych paryżan.

Wybrzeża Sekwany od zawsze inspirowały artystów licznie przybywających do miasta. Podczas wystawy światowej w 1900 roku stanowiły piękne tereny spacerowe. Kilkadziesiąt lat później paryżanie postanowili przerobić tę malowniczą promenadę na trasę szybkiego ruchu dla samochodów jadących ze wschodu na zachód miasta. W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku najpierw zabudowano prawy brzeg Sekwany, a następnie lewy.

Na szczęście po jakimś czasie władarze miasta się opamiętali i postanowili przywrócić brzegom Sekwany dawny wypoczynkowy charakter. Najpierw tymczasowo zamknięto drogę w okolicy paryskiego *hôtel de ville*, ratusza. Począwszy od 2002 roku, w okresie letnim przekształca się ten teren w miejską plażę znaną pod nazwą Paris Plage. Brzeg zasypuje się piaskiem, ustawia się na nim kolorowe leżaki, buduje się basen, a nawet organizuje naukę pływania. Paris Plage przyciąga tłumy paryżan i turystów.

Po ogromnym sukcesie tego efemerycznego projektu miasto zdecydowało się pójść o krok dalej. Drogi nad Sekwaną co niedzielę zamykano dla ruchu samochodowego. Odbywały się tu maratony, wyścigi rowerowe, a nawet zawody dla rolkarzy. Paryżanie znów pokochali Sekwanę. Po kilku latach sporów, negocjacji i przedstawiania projektów część drogi na brzegu rzeki zastąpiono promenadą nazywaną potocznie Les Berges.

Po raz pierwszy odwiedziłam to miejsce latem, gdy przyjechała do mnie rodzina. Wybraliśmy się tam wspólnie, zabierając też moją polską przyjaciółkę mieszkającą w Paryżu i jej córeczkę. Byliśmy zachwyceni fantazją i oryginalnymi pomysłami twórców tego unikatowego projektu. Wystarczy zejść po schodach ku rzece, aby całkowicie odizolować się od hałasu miasta. Na szerokiej promenadzie można aktywnie wypoczywać. Oprócz stałych atrakcji, jakimi są na przykład stoły do ping-ponga, szachownice, indiańskie tipi, ogrody z hamakami i małe gaje dla najmłodszych, organizatorzy proponują mnóstwo atrakcji tematycznych i sezonowych. Podczas mojego pierwszego pobytu na Les Berges było to

wystawa fotografii National Geographic oraz przedstawienia cyrkowe, w tym występy akrobatów. Wszyscy chętni mogli skorzystać z trampolin, nauczyć się zonglowania piłeczkami, a nawet fruwania na trapezie. Podczas mojej kolejnej wyprawy nad Sekwanę trwała akurat impreza tematyczna poświęcona sztukom walk wschodnich. Instruktorzy uczyli najmłodszych taekwondo i kung-fu, podczas gdy starsi paryżanie uprawiali tai-chi. Zapewniane przez merostwo atrakcje są w większości bezpłatne i mają na celu promocję sportu lub konkretnej organizacji. Po południu na promenadzie zwykle wysłuchacie koncertu lub obejrzenie występy artystów, między innymi klaunów i mimów.

W Les Berges można również kupić ekologiczny posiłek w budce ze zdrową żywnością, zjeść wspaniałe lody owocowe lub *crêpe au chocolat*, naleśniki z czekoladą. Można też zamówić butelkę schłodzonego różowego wina (w bardzo przystępnej jak na Paryż cenie) w jednym z barów i delektować się nim, odpoczywając na leżakach z widokiem na most Aleksandra III. Można również samemu urządzić sobie piknik w jednym z wielu miejsc przeznaczonych do tego celu. Jedną z największych atrakcji Les Berges są – moim zdaniem – puste metalowe kontenery przerobione na domki. Każdy kontener ma szklaną fasadę, miniaturowy ogródek ze stolikiem i krzesłami, a w środku wielkie kolorowe pufy. Taki nietypowy domek należy wcześniej zarezerwować na stronie internetowej, a później można już delektować się posiłkiem, chłodnym winem i pięknymi widokami, leżąc na trawie i słuchając muzyki dochodzącej z pobliskiej sceny. Tak właśnie paryżanie spędzają wolne weekendy, a teraz i wy możecie przez chwilę poczuć się jak mieszkańcy miasta światła.

Kanały nie tylko telewizyjne

Równie ciekawe jak Sekwana są paryskie kanały. Ich brzegi stanowią wspaniałe miejsce na spacer, a one same zapraszają do... spływu. Dziś uważa się je za jedno z najbardziej romantycznych miejsc w mieście, dawniej doprowadzały wodę do stolicy lub przewożono nimi różne surowce, w tym węgiel. Pisząc o wodnym Paryżu, muszę opowiedzieć wam o trzech ulubionych miejscach paryżan. Są to Canal

de l'Ourcq, Bassin de la Villette i oczywiście Canal Saint-Martin. Długi na sto osiem kilometrów Canal de l'Ourcq leży na północ od miasta, tylko mały jego odcinek przecina teren Paryża. Powstał dzięki Napoleonowi Bonaparte, który budując go, chciał rozwiązać ogromny problem, jakim był w stolicy brak dostępu do czystej wody pitnej. Kanał dostarczał wodę do piętnastu fontann na terenie miasta, służył również jako wodna droga transportowa połączona z Bassin de la Villette.

Znajdujący się niedaleko zbiornik wodny La Villette jest naturalnym przedłużeniem kanału l'Ourcq. To również wspaniała baza wodna, gdzie w słoneczne dni można wypożyczyć kajaki, rowery wodne, a nawet łódki z napędem elektrycznym, aby popłynąć w dół lub górę kanału. W czerwcu każdego roku obchodzone jest święto kanałów i zbiornika La Villette, zawsze połączone z licznymi atrakcjami, w tym pokazami sztucznych ogni.

Podczas spływu lub spaceru można podziwiać malowniczą i nadal mało znaną okolicę. Niedaleko place de la Bataille-de-Stalingrad natkniesz się na niedocenione dzieło architektury, jakim jest rotunda zbiornika La Villette, powstała w 1780 roku. Początkowo było to miejsce, w którym pobierano podatki od kupców pływających po kanałach, później mieściła się tu siedziba żandarmerii, a w końcu budowla stała się magazynem soli. Najpiękniej wygląda nocą dzięki oryginalnemu podświetleniu. Tuż obok w fontannie w upalne dni chlapią się paryskie dzieciaki.

Na południowym zachodzie w dawnych dziewiętnastowiecznych magazynach ulokowano sześciosalowe kino, kawiarnię oraz księgarnię. Nietypowość obiektu polega na tym, że aby przemieścić się z jednego punktu do drugiego, należy skorzystać z małej łódki.

Kiedyś z przyjaciółmi popłynęliśmy w kilkugodzinny rejs po kanale Ourcq. Mimo że dystanse do pokonania są niewielkie, to jednak wyprawa zajmuje dużo czasu. Podczas takiej wycieczki warto zatrzymać się na brzegu i napić się wina w knajpcie, w której rzadko spotyka się turystów, lub zatrzymać się na obiad w jednej z restauracji, gdzie menu dnia napisano kredą na czarnej tablicy. Na brzegu spotkamy młodych paryżan dyskutujących o polityce i palących papierosa za papierosem, starszych panów grających w *boules* i staruszki dokarmiające gołębie.

Okolica Bassin de la Villette jest bardzo *populaire*, jak mówią paryżanie, nie mając na myśli jej popularności, ale mieszkańców należących do typowej paryskiej klasy średniej.

Najbardziej znany paryski kanał – Saint-Martin – to również świetne miejsce na rejs barką widokową lub spacer nad wodą. Ma cztery i pół kilometra długości i w całości znajduje się na terenie miasta. Uroku dodają mu dwa ruchome mosty i liczne kładki dla pieszych. To właśnie tam filmowa Amelia puszczała na wodzie kaczkę. Również wzdłuż tego kanału spaceruje Natalie Portman wcielająca się w rolę jednej z bohaterek przeboju kinowego *Zakochany Paryż*. Na obu brzegach znajdują się liczne kawiarenki i restauracyjki, kilka niekonwencjonalnych galerii sztuki i – jak na stolicę mody przystało – butik odzieżowe. Jeśli chcecie spędzić bardzo paryskie popołudnie, to kupcie butelkę wina w jednym z okolicznych sklepów i siedząc na brzegu kanału, delektujcie się tym napojem, zanurzając czubki palców w zimnej wodzie.

Nowy Jork w Paryżu

Île aux Cygnes, Wyspa Łabędzi, leży na Sekwanie między piętnastą a szesnastą dzielnicą miasta. Powstała w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, ma niemal kilometr długości i tylko jedenaście metrów szerokości. Wspierają się na niej trzy potężne mosty. Na jednym z końców Île aux Cygnes stoi paryska Statua Wolności. Amerykanie podarowali Francji miniaturę sławnego posągu z okazji stulecia rewolucji francuskiej.

Wysepka, przypominająca kładkę rzuconą na sam środek Sekwany, mimo niewielkiej powierzchni została wspaniale zagospodarowana. Jest wyjątkowo zielona, gdyż oba jej dłuższe brzegi obsadzono drzewami, tworząc bardzo malowniczą aleję. Można stąd podziwiać nie tylko piękną panoramę miasta, ale również wznoszącą się nieopodal wieżę Eiffla. Na wyspie nie spotkacie zbyt wielu turystów, bo w większości nie wiedzą o jej istnieniu.

Île aux Cygnes odkryłam, gdy po raz setny płynęłam statkiem turystycznym po Sekwanie. Statuę Wolności widać już z daleka i to

właśnie mniej więcej na jej wysokości barki zawracają i ruszają w drogę powrotną. Któregoś razu zauważyłam jednak, że po tej wysepce przechadzają się ludzie. Postanowiłam sama sprawdzić, co oferuje Île aux Cygnes, i przyznam, że ani przez chwilę nie byłam rozczarowana. Serdecznie polecam spacer po Wyspie Łabędzi, byle nie w niedzielne i pogodne popołudnia, gdyż jest ona wtedy oblegana przez okolicznych mieszkańców.

W dół studzienki

Opowiem wam o dwóch miejscach, w których nigdy nie byłam ze względu na moją zaawansowaną klaustrofobię, ale są one na tyle ciekawe, że nie mogę o nich nie wspomnieć.

O pierwszym pisał Victor Hugo w *Nędznikach* oraz Umberto Eco w *Wahadle Foucaulta*. Kręcono tam kultową francuską komedię *Wielki włóczęga*, amerykańskie *Godziny szczytu 3*, a ostatnio jedną z części serii *Igrzyska śmierci*. I nawet główny bohater Disneyowskiego *Ratatuj*, uroczy szczur Remy, zamieszkiwał ich wnętrza. Mowa oczywiście o podziemnym labiryncie paryskich kanałów ściekowych – prawdopodobnie największym na świecie.

Wycieczka kanałami to jedna z najstarszych atrakcji turystycznych miasta. Kiedyś można było je zwiedzać, płynąc łódką lub jadąc specjalnymi wagonikami. Dziś o takich udogodnieniach możemy już tylko pomarzyć, mimo to paryskie kanały cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem mieszkańców metropolii.

Istnienie tego podziemnego miasta stolica zawdzięcza inżynierowi Eugène'owi Belgrandowi, który w okresie Drugiego Cesarstwa wprowadził rewolucyjne zmiany w systemie kanalizacyjnym stolicy. Dziś kanały mają łącznie dwa tysiące czterysta kilometrów długości, a o prawidłowe funkcjonowanie podziemnych instalacji dba około trzystu osób.

Wszyscy moi przyjaciele uznali wycieczkę za bardzo interesującą. Nie mogli się nadziwić, jak rozwinięty jest system kanalizacyjny Paryża i że każdy tunel, przejście czy najmniejsza cieśnina stanowi odzwierciedlenie nadziemnego pejzażu. Wszystkie kanały mają swoje

nazwy, które są adekwatne do nazw biegnących nad nimi ulic. Gdy zapytałam znajomych, czy jest to miejsce warte odwiedzenia, bez wahania odpowiedzieli, że tak. Jedna z koleżanek dodała, że wrażliwi powinni uzbroić się w zatyczki do nosa i mocno spryskać perfumami.

Sześć stóp pod ziemią... a nawet więcej

Najbardziej niezwykłą częścią podziemnego Paryża są katakumby. Nad wejściem do jednego z tuneli umieszczono słowa poety Jacques'a Delille'a: *Arrête! C'est ici l'empire de la mort*, Stój! Oto królestwo śmierci.

Paryskie katakumby wcale nie są takie stare, jakby się mogło wydawać. Aż do osiemnastego wieku wszystkie cmentarze znajdowały się w obrębie miasta. Największym i najstarszym, mającym ponad tysiąc lat, był ten znajdujący się w okolicy Les Halles. Fatalne warunki higieniczne, brak kanalizacji, ale również przepełnienie nekropolii otoczonych ze wszystkich stron zabudową mieszkalną przyczyniało się do wybuchów epidemii. Ze względów sanitarnych w 1785 roku podjęto decyzję o opróżnieniu miejskich cmentarzy. Kości zmarłych przeniesiono do podziemnych kamieniołomów, których tunele ciągnęły się głównie pod południową częścią stolicy i które już od wielu lat nie były eksploatowane. Ekshumacja zajęła piętnaście miesięcy. Prace odbywały się wyłącznie w godzinach nocnych przy akompaniamencie pieśni żałobnych śpiewanych przez księży. Kości przenoszono także później, zapełniając kolejne podziemne sale i korytarze. Szacuje się, że paryskie katakumby kryją szczątki prawie sześciu milionów ludzi, w tym tak znanych jak Danton czy Robespierre.

Wąskie i kręte korytarze paryskich kamieniołomów ciągną się nawet dwadzieścia metrów pod ziemią (mniej więcej taką wysokość ma pięciopiętrowy budynek) i mają długość około pięćdziesięciu kilometrów. Dla zwiedzających katakumby przygotowano trasę liczącą dwa kilometry. Dziś na szczęście zwiedzanie odbywa się przy oświetleniu elektrycznym, ale do początku lat osiemdziesiątych używano latarek lub świeczek.

Paryskie katakumby od zawsze pasjonowały paryżan, ale również

obcokrajowców. Już na początku dziewiętnastego wieku król Francji Karol X Burbon zabierał na podziemne spacerdy damy dworu. Pierwszy cesarz Austrii Franciszek II (I) Habsburg zszedł pod ziemię, aby podziwiać jedenaście tysięcy metrów kwadratowych wypełnionych ludzkimi kośćmi. Władca Francji Napoleon III, król Szwecji Oskar II i kanclerz Rzeszy Niemieckiej Otto Bismarck również nie pogardzili tą nietypową wycieczką. Najciekawszym wydarzeniem w historii paryskich katakumb był nielegalny koncert zorganizowany tam w 1897 roku. Paryska burżuazja i arystokracja tłumnie pojawiła się w podziemnych komnatach, aby w środku kwietniowej nocy wysłuchać utworów Chopina i Beethovena w wykonaniu czterdziestu pięciu wyśmienitych muzyków, między innymi artystów paryskiej opery. Także dziś chętnych do uczestnictwa w tego rodzaju atrakcjach nie brakuje, mimo że imprezy masowe na terenie podziemi nadal są zabronione. Bardzo popularne jest też nielegalne zwiedzanie niedostępnych dla turystów części katakumb. W paryskim mieście zmarłych rozgrywa się akcja amerykańskiego horroru *Jako w piekle, tak i na Ziemi*, który pojawił się na ekranach kin całkiem niedawno, w 2014 roku. Filmowe ujęcia katakumb Paryża są naprawdę świetne.

Sama z własnej woli nigdy nie zdecyduję się na taką podziemną wycieczkę, jednak jeśli szukacie nietuzinkowych atrakcji, to zwiedzanie katakumb będzie strzałem w dziesiątkę.

Tajemnicze przejścia

Po błądzeniu w kanałach i katakumbach wyjdźmy na powierzchnię, zaczerpnijmy świeżego powietrza (właściwie to paryskiego smogu) i przespacerujmy się po wyjątkowych krytych pasażach, zwykle omijanych przez turystów.

Czy zastanawialiście się kiedyś, skąd się wzięły galerie handlowe i dlaczego tak się nazywają? Galerie – kryte pasaże o przeznaczeniu handlowym – pojawiały się w różnych kulturach, przykładem może być choćby przypominający miasteczko handlowe kryty bazar w Stambule, którego historia sięga piętnastego wieku. Paryż drugiej połowy dziewiętnastego wieku mógł się już pochwalić dużą liczbą niewielkich,

ale eleganckich galerii handlowych nazywanych pasażami. Kryte galerie często powstawały wewnątrz budynków, a ich wejścia przypominały zwykłe bramy prowadzące do kamienic. Celem ich budowy było ułatwienie życia mieszkańcom, którzy dzięki zadaszonym obiektom handlowym mogli wygodnie robić zakupy nawet przy niesprzyjającej pogodzie. W okresie największej popularności tego typu konstrukcji w Paryżu istniało ponad sto pięćdziesiąt krytych pasaży. Jednak gigantyczna Haussmannowska przebudowa miasta w dziewiętnastym wieku oraz powstanie wielkich galerii handlowych, takich jak Printemps czy Galeries Lafayette, przyczyniły się do powolnego upadku krytych pasaży. Stopniowo traciły one klientów, wiele zostało rozebranych lub zaczęły pełnić inne funkcje. W dwudziestym wieku zapomniane budynki ponownie ożyły między innymi dzięki artystom, takim jak pisarz Paul Morand czy fotograf Robert Doisneau. Ten ostatni na ich tle robił zdjęcia zakochanym parom, dzięki czemu wykreował nowy atrakcyjny wizerunek tych miejsc. Dziś stanowią one jedne z ulubionych miejsc południowych przechadzek paryżan.

Pierwszym pasażem handlowym, który odkryłam – zupełnie przypadkiem – była Galerie Vivienne. W okolicy, przy rue Vivienne w drugiej dzielnicy, znajduje się duże studio specjalizujące się w reklamach telewizyjnych. Któregoś wiosennego popołudnia, gdy szłam tam na casting, zerwała się burza. Podobnie jak pozostali ludzie na ulicy, ja również pobiegłam w kierunku jednej z większych otwartych bram. Bardzo się zdziwiłam, gdy zamiast małego podwórka, typowego dla paryskich kamienic ujrzałam wspaniałą bogato zdobioną krytą pasaż.

Galerie Vivienne, zaprojektowana przez François-Jacques'a Delannoja, której inauguracja odbyła się w 1823 roku, stanowi najpiękniejszy i najbardziej okazały przykład tego typu zabudowy. Jej wygląd, wyraźnie zainspirowany architekturą grecko-rzymską, zapiera dech w piersiach. Szklany sufit opierający się na murowanych łukach wpuszcza do galerii światło dzienne. Kolumny i pilastry stanowią ważną część konstrukcji. Ściany pasażu ozdobiono płaskorzeźbami przedstawiającymi między innymi boginie i nimfy, a podłogę pokryto mozaiką, w której dominują motywy okręgów i gwiazd. Można tu zrobić zakupy w bardzo nieturystycznych

sklepikach, napić się herbaty i zjeść kawałek słodkiej tarty w herbaciarni A Priori Thé pod numerem 35 lub skosztować wykwintnego wina w enotece Legrand filles et fils pod numerem 7–11.

Najstarszy zachowany kryty pasaż w Paryżu to Passage des Panoramas. Powstał w 1800 roku, a jego nazwa pochodzi od dwóch malowideł przedstawiających panoramy Aten i Jeruzalem (te dzieła sztuki zostały zniszczone zaledwie trzydzieści lat po otwarciu galerii). Znajdujący się między paryską giełdą i operą budynek był przeznaczony dla zamożnych mieszkańców dzielnicy, którzy nie chcieli robić zakupów w brudzie i błocie (chodników i kanalizacji na początku dziewiętnastego wieku jeszcze w mieście nie było). Sam Émil Zola pisał o nim w powieści *Nana*, a Honoré de Balzac upamiętnił go w *Ojcu Goriot*. Passage des Panoramas jest również miejscem, gdzie po raz pierwszy użyto gazowego oświetlenia.

W tej paryskiej galerii znajduje się wyjątkowy butik grawerski Sterna, powstały w 1834 roku. Z usług pracujących tu grawerów korzystali europejscy władcy. Również politycy i przywódcy tacy jak Lenin, Stalin czy generał de Gaulle regularnie składali zamówienia u Sterna. W 2008 roku butik został przejęty przez sklep filatelistyczny, jednak zarówno wnętrza, jak i wystawa sklepu się nie zmieniły.

Dziś Passage des Panoramas jest ulubionym miejscem paryskich kolekcjonerów znaczków, gdyż powstały tu liczne sklepiki filatelistyczne, gdzie można kupić unikatowe egzemplarze marek pocztowych. Budynek połączono z kilkoma mniejszymi galeriami, jak Galerie des Variétés czy Galerie Montmartre. Razem tworzą największy kompleks krytych pasaży w mieście.

Nieco dalej na zachód, w dzielnicy Sentier słynącej z produkcji tekstyliów, a od niedawna z hipsterskich barów, znajduje się Passage du Caire, jeden z dłuższych i najstarszych krytych pasaży w stolicy. Wybudowany na pamiątkę wkroczenia Napoleona do Kairu przez długi czas był niezwykle modnym miejscem. W dziewiętnastym wieku mieściły się tu pracownie modystów, drukarnie oraz studia litograficzne. Dziś niestety budynek został opanowany przez hurtowników proponujących tandetną odzież...

Warto go odwiedzić ze względu na imponujący szklany sufit

przypominający sieć pająka oraz nietypową fasadę od strony place du Caire, gdzie znajduje się jedno z wejść do galerii. Godne uwagi są też zdobienia wnętrza. Pod numerem 2 znajdziecie piękną płaskorzeźbę, a właściwie trzy, które wyglądają, jakby przeniesiono je do Paryża prosto z Egiptu! Przedstawiają Hathor, egipską boginię nieba, radości i miłości, którą można rozpoznać po jej... krowich uszach. Obecność takich ozdób w Passage du Caire łatwo wyjaśnić: pasaż powstał na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku, gdy Francję opanowała moda na styl egipski na skutek udanej kampanii egipskiej Napoleona.

Paryskie wioski

Spacerując wzdłuż szerokich bulwarów lub nawet mniejszych uliczek w centrum Paryża, nie można dostrzec prawdziwych perełek ukrytych w głębi miasta. A tymczasem w stolicy Francji znajdziecie urocze miejsca, które wyglądają, jakby znajdowały się na typowej francuskiej prowincji, a nie w europejskiej metropolii. Bycie modelką w Paryżu pomogło mi dość szybko poznać miasto od podszewki. Dzięki licznym castingom organizowanym we wszystkich dzielnicach zupełnie przypadkiem odkryłam wiele wspaniałych zakątków.

Campagne à Paris, wioska w Paryżu, to skupisko malutkich domów jednorodzinnych w dwudziestym *arrondissement*. Kiedyś zamieszkiwali je robotnicy, których nie było stać na apartamenty w haussmannowskich kamienicach w centrum. Dziś ceny tych robotniczych domków biją rekordy i jeśli tylko któryś z budynków pojawia się na rynku nieruchomości, to znika, zanim jeszcze znajdzie się na oficjalnej liście ogłoszeń. Ta mała *village*, wioska, składa się z trzech wąskich i krótkich brukowanych uliczek: rue Paul Strauss, rue Jules Siegfried i rue Irénée Blanc. Otwarte są tylko dla ruchu wewnętrznego, dzięki czemu jest tu bardzo cicho. Ten zakątek Paryża zachwyca wyjątkową atmosferą. Wydaje się oazą spokoju całkowicie odciętą od zgiełku pobliskiej stacji metra Porte de Bagnolet i biegnącej nieopodal obwodnicy miasta.

Kolejny bajkowy zakątek Paryża, Cité des Fleurs, Miasto Kwiatów, po raz pierwszy odwiedziłam przy okazji wizyty u moich koleżanek

modelek. Agencja, z którą współpracowały dziewczyny, wynajmowała kilkupiętrowy dom znajdujący się właśnie na tej maleńkiej uliczce. Mimo że budynek nadawał się do remontu, to uliczka była i jest wyjątkowa. Na stacji metra Brochant człowiek, chcąc nie chcąc, zanurza się w zgiełk paryskiego bulwaru. Jednak chwilę później, wkraczając do Cité des Fleurs, ma się wrażenie, że oto opuściliśmy Paryż dwudziestego pierwszego wieku i przenieśliśmy się w koniec dziewiętnastego stulecia. Tu czas się zatrzymał...

Cité des Fleurs to długa na trzysta dwadzieścia metrów aleja, wyjątkowo zielona jak na stolicę. Przy domu numer 18 znajdziecie nawet wspaniały okaz orzecha włoskiego. Ta niezwykła, zamknięta bramami uliczka może się pochwalić nie tylko pięknymi dwupiętrowymi domami, ale również starannie zaprojektowanymi ogródkami oraz identycznymi pod względem rozmiaru ogrodzeniami poszczególnych posesji. Jej wygląd został określony przez radę ulicy składającą się z ówczesnych właścicieli budynków już w 1850 roku.

Kiedyś moje koleżanki narzekały na niemiłą właścicielkę, złe warunki mieszkaniowe i nieciekawą okolicę. Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Zamiast tureckich kebabów powstają tu winiarnie i sklepy z żywnością organiczną. Ostatnio podczas spaceru zajrzeliśmy do Cité des Fleurs i przyznam się, że z ogromnym sentymentem przechodziłam przez główną bramę prowadzącą na uliczkę. Ale o zamieszkaniu tu mogę tylko pomarzyć, gdyż niestety żaden z tutejszych domów nie jest na moją kieszeń.

Paul Gauguin, Amedeo Modigliani i Henri Cadiou mieszkali i tworzyli w tym wyjątkowym miejscu, jakim jest Cité fleurie, Kwitnące Miasto. Za metalową dokładnie zamkniętą bramą (trzeba się przez nią przeprawić cichaczem) znajduje się jedna z piękniejszych i najbardziej zielonych uliczek miasta. Domy wzniesiono z resztek materiałów wykorzystanych do konstrukcji budowanych na wystawę światową w 1900 roku; mają nietypowy i niepowtarzalny klimat, na styku metalowego postindustrializmu i romantycznych kwiatowych szklarni. Na uliczce, przed drzwiami domów, stoją kolorowe stoliki i krzesła, po chodniku wałęsają się leniwie koty, gdzieś tam można dostrzec balijskie parasole i drewniane leżaki, a nawet niedokończone obrazy

oparte o fasadę budynku. Tu nie mieszkają zwykli ludzie, ale prawdziwa wspólnota artystyczna.

Tuż obok znajduje się równie piękne i malownicze Cité Verte, Zielone Miasto. To uliczka, która – jak sama nazwa wskazuje – została zdominowana przez naturę. Zakradając się tu po cichutku, zatrzymajcie się na chwilę, zamknijcie oczy i posłuchajcie świergotu ptaków, które upodobały sobie to miejsce. *Ćśśś*, nie hałasujcie, bo przegonią was właściciele!

Co robić, aby się nie nudzić w Paryżu?

Jeśli wjechaliście już na wieżę Eiffla, popłynęliście w rejs po Sekwanie, zrobiliście zakupy na Champs Élysées, zwiedziliście katedrę Notre Dame, zobaczyliście wszystkie dzieła sztuki zarówno w Luwrze, jak i w Muzeum Orsay, a nawet poznaliście miejsca, do których turyści zwykle nie zaglądną, to mam dla was jeszcze kilka innych propozycji. Ta lista na pewno się wam przyda:

- wycieczka łódką o napędzie elektrycznym, kajakiem czy rowerem wodnym po paryskich kanałach to bardzo romantyczny sposób na spędzenie czasu;

- jeśli wolicie wiosłować, wypożyczcie łódkę w Lasku Bulońskim lub w Vincennes;

- za spokojnie? Potrzebujecie więcej adrenaliny? Sporty wodne na Sekwanie na pewno podniosą wam ciśnienie. Jazda na nartach wodnych, wakeboard, a nawet przejażdżka motorówką (do tego musicie mieć uprawnienia, bez nich nie wolno nawigować po Sekwanie) pozostawią wspaniałe wspomnienia;

- lot balonem sto pięćdziesiąt metrów nad Paryżem pozwoli wam zobaczyć miasto z nowej perspektywy. A przy okazji zmierzycie poziom zanieczyszczenia tutejszego powietrza i zobaczycie, że czerwony kolor oznaczający najwyższe poziomy pyłów zawieszonych przestanie się wam dobrze kojarzyć;

- piękne widoki można podziwiać z panoramicznego tarasu na ostatnim piętrze luksusowego domu handlowego Printemps. Oczywiście, po obejrzeniu dachów Paryża wybierzcie się na zakupy do galerii;

- wyjątkową panoramę zobaczycie, pijąc miętową herbatę na odkrytym tarasie kawiarni na ostatnim piętrze Instytutu Arabskiego;
- jeśli nadal mało wam paryskich widoków, to piąte piętro Muzeum Orsay i tamtejsza restauracja znajdująca się tuż za ogromnym zegarem zdobiącym fasadę budynku będą idealnym miejscem na kontemplację krajobrazu i konsumpcję bardzo paryskich kanapek: *baguette, jambon, beurre*, czyli bagietek z masłem i szynką;
- napijcie się przepysznej herbaty w bardzo paryskiej herbaciarni Mariages Frères. I nie zapomnijcie kupić kilku paczuszek herbaty na pamiątkę;
- skosztujcie makaroników z cukierni Ladurée, karmelowego eklerka z Fauchon czy przepyszного ciastka Opéra z Dalloyau. Mniam, palce lizać;
- zjedzcie obiad w najstarszej restauracji w Paryżu Le Procope, która nadal zachwyca siedemnastowieczną dekoracją. Pamiętajcie o wcześniejszej rezerwacji;
- skosztujcie gorącej czekolady *Africain*, afrykańskiej, z warstwą wyjątkowo lekkiej bitej śmietany w kawiarni Angelina. Wystrój w stylu *belle époque* oraz wykwintna klientela podbiją wasze serca;
- kupcie wspaniałe francuskie musztardy Maille, którymi zajadał się już Ludwik XV. Dziś królują one na paryskich stołach i uważa się je za dziedzictwo kulturowe;
- urządźcie sobie piknik nad Sekwaną lub w jednym z paryskich parków. Nie ma nic wspanialszego niż leniuchowanie na trawie w promieniach słońca;
- zjedzcie kolację u prawdziwego paryżanina w towarzystwie innych paryżan! Od niedawna bardzo popularne stały się posiłki u mieszkańców miasta, które można wykupić tak samo jak dania w restauracji;
- wybierzcie się do Pixel Bar, gdzie przemiły kelner pomoże wam skomponować drinka, którego następnie nazwiecie swoim imieniem i wpisze do oficjalnej karty. To oryginalny sposób na pozostawienie swojego śladu w Paryżu;
- jeśli poczujecie potrzebę skorzystania z toalety, wypróbujcie najpiękniejsze w mieście – znajdujące się w okolicy Madeleine. Są

unikatowe, bo do dziś zachowały szyk *art nouveau*;

- jeśli jesteście fanami piłki nożnej, koniecznie idźcie na Stade de France. Poczujecie dreszcz, stojąc na środku pustego stadionu;

- zdecydowanie bardziej sexy, ale wciąż aktywnym sposobem spędzania czasu będzie pływanie nocą w basenie w towarzystwie... naturystów. A więc majtki w dół i do wody;

- możecie również wynająć basen i spędzić romantyczny wieczór z masażem i kolacją w hotelu o mało oryginalnej nazwie Hotel – miejscu, do którego Johnny Depp zabierał Vanessę Paradis;

- jeśli spędzanie czasu w basenie nie jest dla was wystarczająco ekscytujące, to może zdecydujecie się na udział (bierny!) w kręceniu filmu dla dorosłych? Niektóre z paryskich teatrów proponują tego typu atrakcje;

- jeśli wolicie dreszczyk emocji innego rodzaju, idźcie do Salle Drouot, gdzie odbywają się licytacje zabytkowych i kosztownych przedmiotów. A może też coś kupicie?;

- możecie spędzić trochę czasu w sądzie i wziąć udział w prawdziwym procesie – w stolicy można posłuchać wystąpień młodych adwokatów szykujących się do obrony dyplomu, a przy okazji obejrzeć paryski trybunał od wewnątrz.

Mam nadzieję, że moje propozycje okażą się przydatne i że dzięki nim lepiej poznacie magiczne miasto, jakim jest stolica Francji. Teraz, wybierając się do Paryża lub mieszkając w nim, będziecie wiedzieć, czego szukać poza utartymi turystycznymi szlakami. Pamiętajcie jednak: to sekrety, którymi paryżanie niechętnie się dzielą, więc nie przyznawajcie się, że to ja je wam zdradziłam...



Paryski weekend

Niektórzy z was już kiedyś byli w Paryżu, inni niedługo tam pojadą, a jeszcze inni dopiero się nad tym zastanawiają. Mieszkańcy miasta spędzają wolny czas zupełnie inaczej niż turyści odwiedzający stolicę. Podzieliłam się z wami wieloma sekretami paryżan i opowiedziałam, w jaki sposób postrzegają swoje miasto. Mam dla was jeszcze jedną propozycję: spędźcie weekend jak paryżanie. Poczujcie się jak mieszkańcy stolicy i odpocznijcie tak, jak oni.

Sobotę rozpocznijcie od kawy i ciepłego *croissanta* w pobliskiej kawiarence. Przekartkujcie kupioną przed chwilą gazetę, poobserwujcie przechodniów, przysłuchajcie się rozmowie przy stoliku obok. Delektujcie się paryskim powietrzem, promieniami słońca, ciepłymi podmuchami wiatru i widokiem paryżan, którzy w sobotnie poranki nigdzie się nie śpieszą.

Udajcie się na jeden z tutejszych rynekczków, na którym znajdziecie świeże warzywa i owoce. Przyjrzyjcie się stoiskom z rybami i owocami morza. Wśród prezentowanych na nich morskich stworzeń znajdziecie wielkie krewetki, okazałe langusty, krwistoczerwone homary, a nawet żywe kraby. Zobaczcie, jak sprzedawca otwiera ostrygi dla swoich klientów, polewa je cytryną i podsuwa do spróbowania. Na innym stoisku obejrzyjcie sery: te małe, te pleśniowe i te wielkie twarde, które czasami mają rozmiar koła samochodowego. Wybierzcie to, co lubicie najbardziej, a zakupy schowajcie do wiklinowego koszyka.

Zapakujcie smakołyki, butelkę wina, koc i wsiądźcie na rower. Pojedźcie ulicami niezakorkowanego w sobotnie przedpołudnie miasta. Stojąc na światłach, podnieście głowę i zobaczcie, jak słońce oświetla majestatyczne fasady haussmannowskich kamienic.

Znajdźcie skrawek zieleni, może w jednym z paryskich parków, może na brzegu Sekwany, a może nawet nad jednym z tutejszych kanałów. Rozłóżcie koc, otwórzcie wino i delektujcie się świeżą bagietką oraz innymi przysmakami, które rano kupiliście na targu. Francuskie sery najlepiej smakują pod francuskim niebem.

Po południu idźcie w okolice sklepów i butików, gdzie paryżanie najchętniej robią zakupy. Przyjrzyjcie się, jakie mają buty i torebki, jakie

włożyli koszule i sukienki. Wejdźcie do nieznanych wam sklepików, w których znajdziecie zupełnie inny towar niż w popularnych sieciówkach.

Wieczorem wybierzcie się na kolację do restauracji, gdzie menu napisano na tablicy kredą, a kelnerzy to młodzi i uśmiechnięci ludzie w jeansach i conversach. Poproście o drinka lub lampkę szampana oraz o oliwki i delektujcie się aperitifem w promieniach zachodzącego słońca. Zamówcie kolację: przystawkę, danie główne, deser, wytrawne wino... Żyje się tylko raz.

A potem wybierzcie się na spacer... Nocą Paryż jest jeszcze piękniejszy. Przystańcie nad Sekwaną i... z uśmiechem odmachujcie turystom płynącym statkiem po rzece.

W niedzielny poranek kupcie *pain au chocolat* w pobliskiej piekarence i zjedzcie je, idąc na stację metra. Pojedźcie na pchli targ, gdzie możecie spędzić dużo czasu, oglądając zabytkowe meble, obrazy czy inne dzieła sztuki i rzemiosła. Przyjrzyjcie się paryżanom, którzy tu przyjechali, zobaczcie, jak bardzo są różni.

Około południa idźcie na brunch. Wybierzcie lokal, przed którym stoi długa kolejka, a w środku jest ogromny szwedzki stół. Delektujcie się muffinami na słono, pikantnymi tartami, przeróżnymi sałatkami, wędzonym łososiem i pieczenią na zimno.

Później pójźcie do malutkiego nieznanego wam jeszcze muzeum lub na wystawę czasową. Bez pośpiechu przyglądajcie się rzeźbom i obrazom, głośno komentujcie, a nawet róbcie ich szkice.

Później usiądźcie na tarasie uroczej kawiarenki. Zamówcie schłodzone różowe wino i rozkoszujcie się piękną pogodą, śmiechami przechodniów i głosami ulicy. Załóżcie okulary słoneczne, zapalcie papierosa i myślcie o niebieskich migdałach.

Wieczorem paryskim zwyczajem idźcie do kina. Nawet jeśli nie mówicie w języku Moliera, zdecydujcie się na francuską produkcję. Akcja wielu z nich toczy się w Paryżu... Po seansie wyjdźcie z kina i rozejrzyjcie się... To już nie film, naprawdę jesteście w stolicy Francji! I właśnie spędziliście prawdziwy paryski weekend!



Adresy

Paryż niejedną ma modę

Wymienione poniżej adresy to outletry, do których często zaglądam. Można tam kupić ubrania i buty paryskich marek po bardziej przystępnych cenach niż w zwykłych sklepach.

Alaïa

18 rue de la Verrerie

75009 Paris

<http://www.alaia.fr>

Chloé

8 rue Jean-Pierre Timbaud

75011 Paris

Jonak

44 boulevard de Sébastopol

75003 Paris

<http://www.jonak.fr>

Maje

44 avenue du Général Leclerc

75014 Paris

oraz

92 rue des Martyrs

75018 Paris

Repetto

24 rue de Châteaudun

75009 Paris

<http://www.repetto.fr>

Sandro

26 rue de Sévigné

75004 Paris

<http://www.sandro-paris.com>

Sonia Rykiel

64 rue d'Alésia

75014 Paris

<http://www.soniarykiel.com>

Zadig et Voltaire

22 rue du Bourg Tibourg

75004 Paris

<http://www.zadig-et-voltaire.com>

A oto trzy największe i najbardziej znane domy handlowe w Paryżu. Warto je odwiedzić, by zrobić zakupy, ale również by obejrzeć piękne wystawy oraz bogate wnętrza.

Bon Marché

24 rue de Sèvres

75007 Paris

<http://www.lebonmarche.com>

Galleries Lafayette

40 boulevard Haussmann

75009 Paris

<http://haussmann.gallerieslafayette.com>

Printemps

64 boulevard Haussmann

75009 Paris

<http://www.printemps.com>

Podaję adres fryzjera, który zniszczył moje włosy, abyście tam przypadkiem nie trafili. A tak na poważnie, to wspaniały artysta, kreujący trendy, więc jeśli macie ochotę na zmianę wyglądu...

Alexandre Zouari

1 avenue du Président Wilson

75016 Paris

<http://www.alexandre-zouari.com>

Butik, w którym będziecie mogli zrobić fantastyczne zakupy i skorzystać z porad właścicielki stylistki:

Thanx God I'm V.I.P

12 rue de Lancry

75010 Paris

<http://www.thanxgod.com>

Modystka, która zrobi wam kapelusz na zamówienie:

La Cerise sur le Chapeau

11 rue Cassette

75006 Paris

<http://www.lacerisesurlechapeau.com>

Butik, który zachwyci was pięknymi starodawnymi wnętrzami.

Można tu zamówić gorset szyty na miarę:

Claverie

234 rue du Faubourg Saint-Martin

75010 Paris

Tu kupicie piękne parasole z grawerowaną rączką, a także zreperujecie zniszczone parasolki:

PEP'S

Passage de l'Ancre

223 rue Saint-Martin

75003 Paris

<http://www.peps-paris.com>

Kolejne outlety popularnych marek wśród paryżan:

APC

20 rue André del Sarte

75018 Paris

<http://www.apc.fr>

Bel Air

36 avenue du Général Leclerc

75014 Paris

Colisée de Sacha (obuwie)

59 rue de Beaubourg

75004 Paris

Les Petites

11 rue de Marseille

75010 Paris

Miłość po parysku

Romantyczne i nastrojowe restauracje:

Le First Restaurant Boudoir

Hotel Westin
234 rue de Rivoli
75001 Paris
<http://www.lefirstrestaurant.com>

Restaurant Le Jules Verne
La Tour Eiffel
Champ de Mars
75007 Paris
<https://www.restaurants-tou Eiffel.com>

Restaurant Le 58 Tour Eiffel
La Tour Eiffel
Champ de Mars
75007 Paris
<https://www.restaurants-tou Eiffel.com>

Miejsca dla zakochanych:
Bateau Mouche (rejsy po Sekwanie)
Pont d'Alma
75016 Paris

Musée de la vie Romantique – Muzeum Romantyzmu
16 rue Chaptal
75009 Paris

Park Montsouris
boulevard Jourdan
75014 Paris

Square du Vert Galant
Saint-Germain l'Auxerrois
75001 Paris

Wspaniałe show i zgrabne tancerki:

Moulin Rouge
82 boulevard de Clichy
75018 Paris
<http://www.moulinrouge.fr>

Zakupy z pieprzykiem:
Chantal Thomass
211 rue Saint-Honoré

75001 Paris

<http://www.chantalthomass.fr>

Le Sexodrome

23 boulevard de Clichy

75009 Paris

Passage du Désir

23 rue Sainte-Croix de la Bretonnerie

75004 Paris

<http://www.passagedudesir.fr>

Paryskie hotele, w których warto się zatrzymać na romantyczny weekend:

Hotel Molitor

13 rue Nungesser et Coli

75016 Paris

Hotel Montmartre mon Amour

7 rue Paul Albert

75018 Paris

<http://www.hotelmontmartremonamour.com>

Hotel Vice Versa by Chantal Thomass

213 rue de la Croix de Nivert

75015 Paris

<http://viceversahotel.com>

Love Hotel à Paris

88 rue Saint-Denis

75001 Paris

<http://www.lovehotelaparis.fr>

Mama, tata, dziecko i... Paryż

Oto park pełen atrakcji, które serdecznie polecam wszystkim rodzicom i ich pociechom:

Jardin d'Acclimatation

Bois de Boulogne

75016 Paris

<http://www.jardindacclimatation.fr>

Restauracja, spa, miniprzedszkole czy żłobek – to wszystko oferuje Happy Families. Rodzice mogą tu zjeść obiad z przyjaciółmi, a dzieci poszaleć:

Happy Families

5 rue du Cloître Saint-Merri

75004 Paris

<http://happyfamilies.fr>

Muzea i parki, które zainteresują zarówno was, jak i wasze dzieci:

Jardin des Plantes – Ogród Botaniczny

57 rue Cuvier

75005 Paris

<http://www.jardindesplantes.net>

Musée des Arts Forains – Muzeum Karuzel

52 avenue des Terroirs

75012 Paris

<http://www.arts-forains.com>

Musée de l’Air et de l’Espace – Muzeum Lotnictwa

Aéroport de Paris – Le Bourget

93350 Le Bourget

<http://www.museeairespace.fr>

Musée de la Poupée – Muzeum Lalek

7 Impasse Berthaud

75003 Paris

<http://www.museedelapoupeeparis.com>

Miejsca, które również warto odwiedzić z najmłodszymi:

Aquarium de Paris – paryskie akwarium

5 avenue Albert de Mun

75016 Paris

<http://www.cineaqua.com>

ZOO de Vincennes – paryskie ZOO

53 avenue de Saint-Maurice

75012 Paris

<http://www.parczoologiqueparis.fr>

Paryskie przyjemności

Restauracje, o których wspominam w książce i które przetestowałam:

Brasserie Alsace

39 avenue des Champs-Élysées

75008 Paris

<http://www.restaurantalsace.com>

Cristal Room Baccarat

11 place des États-Unis

75016 Paris

<http://www.cristalroom.com>

Dans le Noir

51 rue Quincampoix

75004 Paris

<http://www.danslenoir.com>

Le Pain Quotidien

18 place de Marché Saint-Honoré

75001 Paris

<http://www.lepainquotidien.fr>

Mi Peru – restauracja peruwiańska

7 rue Rondelet

75012 Paris

<http://www.restaurantmiperu.com>

Tashi Delek – restauracja tybetańska

4 rue des Fossés Saint-Jacques

75005 Paris

Villa Corse – restauracja korsykańska

141 avenue de Malakoff

75016 Paris

<http://lavillacorservedroite.fr>

Paryskie ryneczki, na których możecie się zaopatrzyć w miejscowe specjały:

Marché des Enfants Rouges

38 rue de Bretagne

75003 Paris

Marché Raspail

boulevard Raspail

75006 Paris

Marché Saint-Honoré

place du Marché Saint-Honoré

75001 Paris

Cukiernie, kawiarnie i herbaciarnie, gdzie skosztujecie paryskich słodkości:

Dalloyau

101 rue du Faubourg Saint-Honoré

75008 Paris

oraz

2 place Edmond Rostand

75006 Paris

<http://www.dalloyau.fr>

Fauchon

30 place de la Madeleine

75008 Paris

<http://www.fauchon.com>

Ladurée

16–18 rue Royale

75008 Paris

oraz

75 avenue des Champs-Élysées

75008 Paris

<https://www.laduree.com>

Mariages Frères

17 place de la Madeleine

75008 Paris

oraz

30 rue du Bourg Tibourg

75004 Paris

<http://www.mariagefreres.com>

Pavillon Elysée Lenôtre

*10 avenue des Champs-Élysées
75008 Paris*

<http://www.lenotre.com/>

Restauracja serwująca dania kuchni molekularnej:

Camélia by Thierry Marx

251 rue Saint-Honoré

75001 Paris

Restauracja, w której można zjeść owady i robaki:

Festin Nu

10 rue de la Fontaine du But

75018 Paris

<http://www.lefestinnu.com>

Lodowy bar, idealny na gorące dni:

Ice Kube

1–5 passage Ruelle

75018 Paris

Najlepszą zupę cebulową w mieście można zjeść w:

Au Pied de Cochon

6 rue Coquillière

75001 Paris

<http://www.pieddecochon.com>

Najwspanialsze lody od 1934 roku serwuje:

Maison Berthillon

29–31 rue Saint-Louis en l'Île

75004 Paris

<http://www.berthillon.fr>

Najstarsza kawiarnia-restauracja w Paryżu:

Le Procope

13 rue de l'Ancienne Comédie

75006 Paris

<http://www.procope.com>

Wspaniałe tradycyjne restauracje:

Bouillon Racine

3 rue Racine

75006 Paris

<http://www.bouillon-racine.com>

Bouillon Chartier

7 rue du Faubourg Montmartre

75009 Paris

<http://www.bouillon-chartier.com>

Restauracje, które zapewnią ucztę kulinarną i intelektualną:

Le Franc

Fundacja Muzeum Louis Vuitton

8 avenue Mahatma Gandhi

75116 Paris

Monsieur Bleu

Muzeum Palais de Tokyo

20 avenue de New York

75116 Paris

<http://monsieurbleu.com>

Restauracje sławnych szefów kuchni:

L'Acajou by Jean Imbert

35 rue de la Fontaine

75016 Paris

<http://www.l-acajou.com>

Le Galopin by Romain Tischenko

34 rue Saint-Marthe

75010 Paris

<http://www.le-galopin.com>

Le Quinzième by Cyril Lignac

14 rue Cauchy

75015 Paris

<http://www.restaurantlequinzieme.com>

Paryskie kluby nocne:

Queen

102 avenue des Champs-Élysées

75008 Paris

<http://www.queen.fr>

VIP Room

188 rue Rivoli

75001 Paris

<http://www.viprooom.fr>

Klub tylko dla odważnych i pełnoletnich:

Les Chandelles

1 rue Thérèse

75001 Paris

<http://www.les-chandelles.com>

Paryskie sekrety

Oryginalne i piękne kina:

La Pagode

57 bis rue de Babylone

75007 Paris

<https://www.etoile-cinemas.com/pagode>

Le Grand Rex

1 boulevard Poissonnière

75002 Paris

<http://www.legrandrex.com>

Le Luxor

170 boulevard de Magenta 75010 Paris

<http://www.cinimalouxor.fr>

Dom handlowy, w którym kupicie artykuły
sukienniczo-pasmanteryjne:

Marché Saint-Pierre

2 rue Charles Nodier

75018 Paris

<http://www.marchesaintpierre.com>

Pchli targ:

Marché aux Puces

93400 Saint-Ouen

<http://www.marcheauxpuces-saintouen.com>

Restauracja na pchlim targu:

Ma Cocotte

106 rue des Rosiers

93400 Saint-Ouen
<http://www.macocotte-lespuces.com>

Oazy zieleni:

Île aux Cygnes

75015 Paris

(Metro Bir-Hakeim)

La Coulée Verte

75012 Paris

(Metro Daumesnil)

La Petite Ceinture

75016 Paris

(Metro Michel-Ange – Auteuil lub Ranelagh)

Les Berges

lewy brzeg Sekwany

75006–75007 Paris

(metro Assemblée Nationale lub Invalides)

<http://lesberges.paris.fr>

Paryskie kanały:

Bassin de la Villette

quai de la Loire

75019 Paris

Canal de l'Ourcq

Port de l'Arsenal

75004 Paris

Canal Saint-Martin

Port de l'Arsenal

75004 Paris

Marin d'Eau Douce – wynajęcie łódki na spływ po kanałach

37 quai de la Seine, 75019 Paris

<http://www.marindeaudouce.fr>

Podziemne atrakcje Paryża:

Katakumby paryskie

1 avenue du Colonel Henri Rol-Tanguy (place Denfert-Rochereau)

75014 Paris

<http://www.catacombes.paris.fr>

Musée des Égouts de Paris – Muzeum Kanałów Paryskich

wejście przy Pont d'Alma, na lewym brzegu Sekwany, naprzeciwko

93 quai d'Orsay

75007 Paris

Tajemnicze pasáže:

Galerie Vivienne

4 rue des Petits Champs

75002 Paris

Passage des Panoramas

między boulevard Montmartre i rue Saint-Marc

75002 Paris

<http://www.passagedespanoramas.fr>

Passage du Caire

między rue Saint-Denis i place du Caire

75002 Paris

Paryskie wioski:

Campagne à Paris

75020 Paris

(metro Port de Bagnole)

Cité des Fleurs

75018 Paris

(metro Brochant)

Cité Fleurie

65 boulevard Arago

75013 Paris

Cité Verte

147 rue Léon-Maurice Nordmann

75013 Paris

Sporty wodne na Sekwanie:

Centre Nautique

4 rue David d'Angers

75019 Paris

Lot balonem nad Paryżem:

Ballon Air de Paris

Parc André Citroën

75015 Paris
<http://www.ballondeparis.com>

Miejsca z widokiem:

Café des Hauteurs

Musée d'Orsay

1 rue de la Légion d'Honneur

75007 Paris

<http://www.musee-orsay.fr>

Institut du Monde Arabe

1 rue des Fossés Saint-Bernard (place Mohammed V)

75005 Paris

<http://www.imarabe.org>

Świetna gorąca czekolada:

Angelina

226 rue de Rivoli

75001 Paris

<http://www.angelina-paris.fr>

Własnoręcznie skomponowany koktajl:

Pixel Bar

10 rue Dauphine

75006 Paris

Pływanie na golasa:

Basen Roger le Gall

34 boulevard Carnot

75012 Paris

Prywatny basen:

L'Hotel

13 rue des Beaux-Arts

75006 Paris

<http://www.l-hotel.com>

Paryskie licytacje:

Sale de vente Drouot

9 rue Drouot

75009 Paris

<http://www.drouot.com>

Proces sądowy:

Bibliothèque du Palais de Justice de Paris

4 boulevard du Palais

75005 Paris

Bibliografia

Jean Laurent Cassely, Camille Saféris, *Je parle le parisien. Dictionnaire franco-parisien*, Parigramme, Paris 2013.

Sylvie Charrier, *Paris enfants par quartier*, L'indispensable, Davézieux 2012.

Lorànt Deutsch, *Metronome. A History of Paris from the Underground Up*, St. Martin's Griffin, London 2013.

Terry Jones, Avril Mair (red.), *Fashion Now*, Taschen, Köln 2005.

Clive Lamming, *La grande histoire des transports urbains*, Atlas, Paris 2011.

Catherine Laulhere-Vigneau (red.), *Parisiennes*, Flammarion, Paris 2007.

François Legrand, *Souvenirs de Paris, hauts lieux disparus*, Parigramme, Paris 2013.

Arnaud Passalacqua, *L'autobus et Paris*, Economica, Paris 2011.

Julian Pepinster, *Le métro de Paris*, La vie du rail, Paris 2010.

Patrick Rambourg, *Histoire de la cuisine et de la gastronomie françaises*, Perrin, Paris 2010.

<http://www.elle.fr>

<http://www.evous.fr>

<http://www.histoire-en-ligne.com>

<http://www.lesinrocks.com>

<http://www.paris-atlas-historique.fr>

<http://www.paris.fr>

<http://www.pariszigzag.fr>

<http://www.pratique.fr>

<http://www.topito.com>

Podziękowania

Napisanie książki to wcale nie taka prosta sprawa, zwłaszcza jeśli – tak jak ja – jest się całkowitym nowicjuszem w tej dziedzinie. Moja przygoda z pisaniem zaczęła się od bloga, dlatego to właśnie wam, moi drodzy blogowi czytelnicy, pragnę podziękować za zainteresowanie i doping. Dziękuję Wydawnictwu Pascal za to, że dało mi szansę, a w szczególności pani redaktor Justynie Tomas za ogromną pomoc i wsparcie. Jestem wdzięczna moim paryskim przyjaciółom i znajomym za wszystkie spotkania, rozmowy, a nawet kłótnie, które miały miejsce podczas zbierania materiałów do książki. Ogromne podziękowania składam moim wspaniałym i cudownym rodzicom, gdyż to dzięki ich wyrozumiałości kilkanaście lat temu rozpoczęłam swoją paryską przygodę. Dziękuję również mojej kochanej młodszej siostrze Marcie, która była moim powiernikiem i krytykiem przez ostatnie miesiące i która niezłomnie we mnie wierzyła. Dziękuję moim malutkim dziewczynkom, Liliance i Ophelci, które były wyjątkowo wyrozumiałe i pozwoliły mi zrealizować moje plany. Najbardziej jednak chciałabym podziękować mojemu kochanemu i najwspanialszemu na świecie mężowi Martinowi, który wytrzymał ze mną przez ten trudny okres, wspierał, doradzał, pomagał i był zawsze przy mnie.

Spis treści

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Dedykacja
Wstęp
Paryżanie
Na walizkach
Paryż niejedną ma modę
Przemierzając Paryż wzdłuż i wszerz
Za żelaznymi bramami kamienic
Miłość po parysku
Mama, tata, dziecko i... Paryż
Paryskie przyjemności
Paryskie sekrety
Paryski weekend
Adresy
Bibliografia
Podziękowania

